

Popiel:
Ewaluacja, pieniądze i etyka

Matusiewicz:
MDPI, Elsevier, Springer, PTG

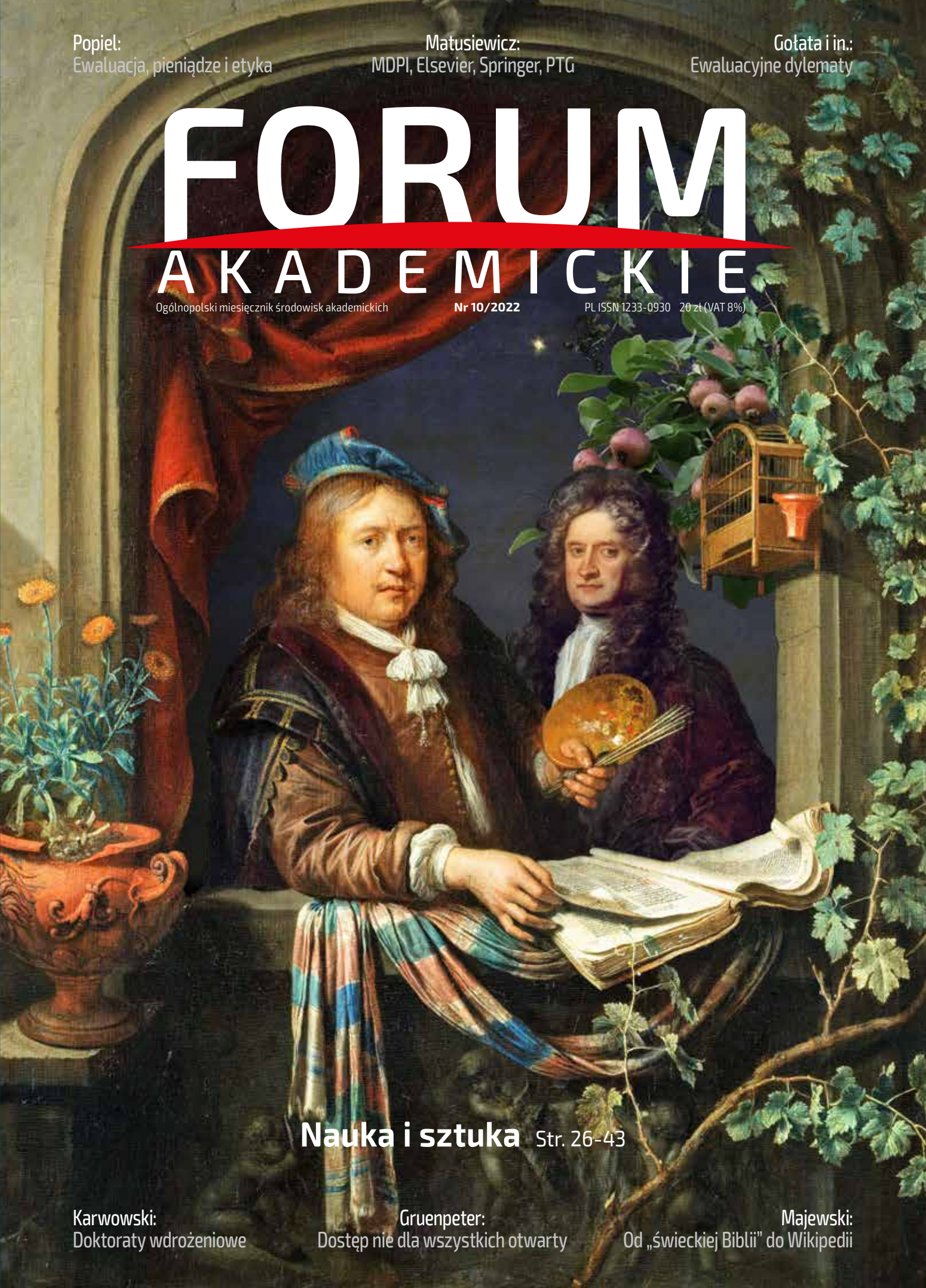
Gołata i in.:
Ewaluacyjne dylematy

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 10/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Nauka i sztuka Str. 26-43

Karwowski:
Doktoraty wdrożeniowe

Gruenpeter:
Dostęp nie dla wszystkich otwarty

Majewski:
Od „świeckiej Biblii” do Wikipedii

30 FORUM AKADEMICKIE LAT

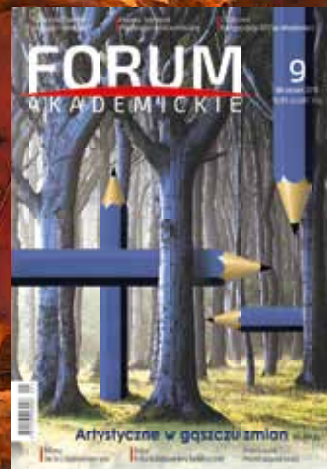
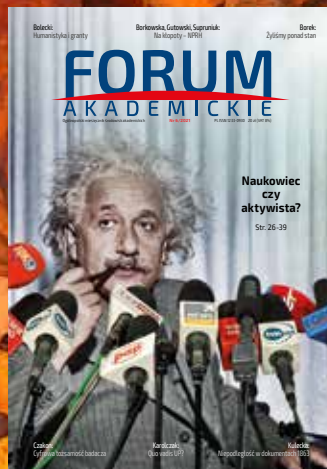
„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali

ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objawiamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;

prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,

w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok

i 86 zł za pół roku.



Redakcja

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Nagrody NCN po raz dziesiąty	6
Pierwsi laureaci	7
Praktyki redakcyjne: Elsevier, Springer, MDPI, PTG – <i>Marta Matusiewicz</i>	8
Perłowy jubileusz RGIB	10
Politechnika Lubelska nowym liderem – <i>Mariusz Karwowski</i>	11
Nie wylejmy KPA z kąpielą – <i>Marcin Chałupka</i>	12
PWN, PZWL – czytaj za darmo – <i>materiał sponsorowany</i>	20

Po ewaluacji

Rak na bezrybiu – <i>Marek Kosmowski</i>	13
Takie same dane – odmienne wyniki – <i>Zbigniew Osiński</i>	14
Zwycięstwo inżynierii ewaluacyjnej – <i>Elżbieta Gołata</i>	16
Nie tylko „Slot” – <i>Zbigniew Pater</i>	19

ROZMOWA FORUM

Ewaluacja, pieniądze i etyka – <i>rozmowa z prof. Jackiem Popielem, rektorem UJ</i>	22
--	----

NAUKA I SZTUKA

Nauka i sztuka – <i>Roman Konik</i>	26
Trudny związek – <i>Ewa Bugaj</i>	29
Odległe, a tak sobie bliskie – <i>rozmowa z prof. Ewą Ziembą z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, od 2021 roku w EASA</i>	33
Fotografia w malarstwie – <i>Dariusz Markowski</i>	35
Magia, która działa – <i>Robert Musioł</i>	40

ŻYCIE NAUKOWE

Praktyczne doktoraty – <i>Mariusz Karwowski</i>	44
Nauka otwarta na zmiany – <i>Natalia Gruenpeter</i>	47

Z archiwum nieuczciwości naukowej (193)

Za plagiat – nagana – <i>Marek Wroński</i>	50
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Akademickie wyróżnienia – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	53
---	----

Polsko-rzymska perspektywa – <i>rozmowa z dr. Dariuszem Karłowiczem, filozofem, dyrektorem programowym Instytutu Kultury św. Jana Pawła II w Angelicum</i>	56
Czas sukcesów, nie tylko sportowych – <i>rozmowa z prof. Alojzym Z. Nowakiem, prezesem AZS</i>	59
Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	62

Z LABORATORIÓW

Tradycja i nowoczesność – <i>Anna Kostrzyńska-Miłosz</i>	63
Problem z encyklopedią – <i>Paweł Majewski</i>	67

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Kawa, witamina C, sterydy i paprocie – <i>Marcelina Smużewska</i>	70
--	----

Pro publico bono (2)

Kolejny raz na czarnej liście – <i>Piotr Hübner</i>	73
--	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Książki nadesłane	66
Budowniczość polskiej logiki – <i>Mariusz Karwowski</i>	77
Potrzeba rewizji – <i>Bogdan Bernat</i>	77
Koniec (bez)troski? – <i>Aneta Zawadzka</i>	78
Poszukuje i broni prawdy – <i>Mikołaj Krasnodębski</i>	78
Taki pejzaż... – <i>Juliusz Gałkowski</i>	79
Ludzie i ryby – <i>Katarzyna Krzyżanowska</i>	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Zrozumstwo na przykładzie frazeologii – <i>Piotr Mildner-Nieckowski</i>	76
--	----

Na marginesach nauki

Wielkość Rosji – <i>Leszek Szaruga</i>	80
---	----

Projekt okładki – *Sławomir Makal*

FORUM Akademiczne Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXIX Nr 10 (347) Październik 2022

prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmiedt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapt” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dofinansowano z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki.

Gaudeamus igitur

WARSZAWA Prawie 1,2 mln studentów i ok. 28,5 tys. doktorantów rozpoczęło nowy rok akademicki. W ostatnich 5 latach liczba studiujących w Polsce zmniejszyła się o 5%, podczas gdy w grupie cudzoziemców nastąpił wzrost o 20%. Trend spadkowy można było zaobserwować jedynie na uczelniach publicznych i kościelnych. Na uczelniach niepublicznych liczba studentów ogółem wzrosła o 27%, zaś o prawie 40% w grupie obcokrajowców. Ponad połowa cudzoziemców pochodzi z państw sąsiadujących, przede wszystkim z Ukrainy (36 tys.) i Białorusi (11 tys.). W ub.r. do grupy 10 krajów, skąd pochodzi najwięcej studentów zagranicznych, dołączyły Zimbabwe i Nigeria. Zagraniczni studenci stanowią obecnie blisko 7% ogółu zaków w naszym kraju – 12 lat temu było niecały 1%. Trend wzrostowy utrzymuje się od 2005 roku. Według danych OPI-PIB w Polsce działa 369 uczelni: 131 publicznych, 221 niepublicznych i 17 kościelnych. Wśród blisko 100 tys. akademików jest ok. 9,7 tys. profesorów, 21 tys. doktorów habilitowanych i 45,8 tys. doktorów.

Poznaliśmy tegorocznych noblistów

SZTOKHOLM Jak co roku na początku października ogłoszono nazwiska laureatów Nagrody Nobla. W dziedzinie fizjologii i medycyny uhono-



Fot. Frank Vinken

wano szwedzkiego biologa Svante Pääbo (na fot.) za odkrycia dotyczące genomów wymarłych człowiekowatych i ewolucji homo sapiens. W dziedzinie fizyki doceniono Francuza Alaina Aspecta, Amerykanina Johna F. Clausera i Austriaka Antona Zeilingera zajmujących się mechaniką kwantową. Ich eksperymenty związane ze splątaniem fotonami, ustaleniem naruszenia nierówności Bella i pionierską informatyką kwantową utworzyły drogę dla nowej technologii opartej na informacjach kwantowych. Nobla z chemii otrzymali Carolyn R. Bertozzi i K. Barry Sharpless (oboje USA) oraz Duńczyk Morten Meldal za rozwój nowych metod syntezy chemicznej, które pozwoliły uprościć proces syntezy nawet skomplikowanych cząsteczek. Laureaci każdej z dziedzin otrzymują złoty medal z wizerunkiem patrona nagrody i kaligrafowany dyplom. Od 2020 r. wartość finansowa Nobla wynosi 10 mln koron szwedzkich (980 tys. euro).

Nowa Rada Metrologii

WARSZAWA Prof. Adam Woźniak, prorektor Politechniki Warszawskiej ds. rozwoju, został nowym przewodniczącym Rady Metrologii działającej przy Głównym Urzędzie Miar. W skład tego gremium wchodzi przedstawiciele organów państwowych, przemysłu i nauki. W drugiej kaden-



Fot. GUM

cji środowisko naukowe reprezentują: Janusz Gajda (AGH), Grzegorz Królczyk (Politechnika Opolska), Dariusz Łoś (Wojskowe Centrum Metrologii), Dariusz Mazurkiewicz (Politechnika Lubelska), Janusz Mindykowski (Polskie Stowarzyszenie Pomiarów, Automatyki i Robotyki), Jerzy Śladek (Politechnika Krakowska), Jarosław Smyła (Łukasiewicz – Instytut Techniki Innowacyjnych EMAG), Teresa Sosnowska (Polski Komitet Normalizacyjny), Roman Szewczyk (Łukasiewicz – Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów PIAP). Rada działa od 2017 r. Jest podmiotem wspierającym rozwój metrologii w Polsce, m.in. opiniuje stan i kierunki rozwoju krajowej metrologii.

Sztuczna inteligencja pod Wawelem

KRAKÓW Centra Doskonałości AI wspierające rozwój sztucznej inteligencji w Polsce powstaną na Uniwersytecie Jagiellońskim i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Dr Krzysztof Geras, adiunkt z NYU School of Medicine, na Wydziale Matematyki i Informatyki UJ stworzy za 20 mln zł platformę uczenia multimodalnego i uczenia ze wzmocnieniem dla indywidualizacji opieki onkologicznej. Z kolei dr Ayan Seal z Indian Institute of Information Technology, Design and Manufacturing w Jabalpur zrealizuje na AGH wart 19,5 mln zł projekt „Integracja wnioskowania, uczenia się, optymalizacji i interpretacji w celu przyspieszonej komercjalizacji inteligentnych systemów oprogramowania nowej generacji”. W ramach Centrów prowadzone będą badania podstawowe, przemysłowe, prace rozwojowe lub przedwdrożeniowe w dziedzinie sztucznej inteligencji, prowadzące do wprowadzenia nowego rozwiązania na rynek. Konkurs zorganizowały wspólnie NCBR i NCN.

Poduszkowiec dla służb

WARSZAWA Poduszkowiec patrolowo-ratowniczy PRC-650 to najnowszy produkt Łukasiewicza – Instytutu Lotnictwa. Powstał z myślą o potrzebach pogotowia wodnego, policji, straży pożarnej, straży granicznej. Jest przeznaczony do działań ratowniczych i patrolowych na wodach śródlądowych, szczególnie w warunkach zimowych na kruchym lodzie oraz na akwenach o niskim stanie wód. Jego cechą szczególną jest bardzo łatwy pilotaż, wysoka stabilność i bezpieczeństwo lotu. To szczególnie istotne podczas akcji w trudnych warunkach pogodowych. W projekcie zastosowane zostały najnowsze doświadczenia zespołu ILOT z zakresu optyma-



Fot. ILOT

lizacji aerodynamicznej, nowoczesnych technik wytwarzania oraz projektowania struktur kompozytowych. Poduszkowiec oferuje przestronne warunki podróży dla 7 osób (w tym pilot) z możliwością dodatkowych 2 miejsc. Podczas akcji ratunkowej możliwe jest ułożenie uszkodzowanego na desce ortopedycznej wzdłuż kabiny. Kokpit wyposażono w rozbudowany system wskaźników oraz komputer pokładowy z nawigacją GPS.

Ochronią przed pożarem i hałasem

KRAKÓW Centrum Bezpieczeństwa Pożarowego i Akustyki powstaje przy Sieci Badawczej Łukasiewicza – Instytucie Ceramiki i Materiałów Budowlanych. Budowa obejmuje halę do badań materiałowych ze strefą badań realizowanych w postaci otwartego ognia oraz badań ogniowych w komorach zamkniętych. Jednostka będzie wyposażona także w infrastrukturę do badań izolacyjności akustycznej od dźwięków powietrznych w postaci stanowiska do badań pochłaniania dźwięku. W Centrum podejmowane będą prace na rzecz wykorzystania materiałów odpadowych jako komponentów ulepszających właściwości ogniowe i aku-

styczne materiałów budowlanych. Naukowcy zajmą się także m.in. najważniejszymi właściwościami materiałów związanymi z bezpieczeństwem pożarowym w budownictwie (reakcją na ogień, odpornością ogniową ścian oraz badaniem stopnia rozprzestrzeniania ognia przez ściany zewnętrzne i dachy), a także akustyką. W przedsięwzięcie zaangażowane są także: Politechnika Krakowska, Akademia Górniczo-Hutnicza, Uniwersytet Rolniczy w Krakowie i Szkoła Aspirantów Państwowej Straży Pożarnej w Krakowie.

Mleczna nagroda

DELHI/OLSZTYN Dr inż. Aleksander Surazyński, związany z Wydziałem Nauki o Żywności Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, otrzymał prestiżową nagrodę przyznaną przez Międzynarodową Federację Mleczarską. Jest pierwszym Polakiem wyróżnionym IDF Award. Został doceniony za swój dorobek naukowy i wdrożeniowy. Jest autorytetem w świecie mleczarstwa. Specjalizuje się w zakresie chemii mleka, mikrobiologii i technologii mleczarstwa. Przez lata był ekspertem FAO, czyli Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa. W Indiach, Chile, Kolumbii, Wenezueli czy w Botswanie wdrażał nowe technologie w mleczarstwie. Stworzył instytut mleczarski w Indiach, który jest największą taką placówką w tym kraju. Jego prace i ekspertyzy zaowocowały licznymi publikacjami i 21 patentami. Wśród nich jest m.in. popularny twaróg grani czy sourage, oba o obniżonej zawartości tłuszczu.



Fot. UWMA

tyką. Naukowcy zajmą się m.in. badaniami eksploatacyjnymi, w tym oceną środowiska pracy pilota, projektowaniem i budową bezzałogowych statków powietrznych. Opracują system monitorowania i nadzoru statków powietrznych w przestrzeni. Powstanie naziemna stacja łączności satelitarnej i laboratorium pomiarów radiowych. Będzie też możliwy rozwój systemów obserwacji optycznych. Zakres badań obejmie także pomiary zanieczyszczenia powietrza. Ma to być jedno z najważniejszych centrów badawczych dla potrzeb transportu lotniczego, logistyki, monitorowania, nadzoru oraz neutralizacji zdarzeń i katastrof. Jego powstanie kosztowało 36 mln zł.

Medal za nanocząsteczki

ŁÓDŹ Prof. Maria Bryszewska, kierownik Katedry Biofizyki Ogólnej Uniwersytetu Łódzkiego, otrzymała Medal im. Davida Shugara przyznawany przez Polskie Towarzystwo Biofizyczne. Laureatka w latach 1992–1995 była prezesem tej organizacji. Doceniono jej wybitne osiągnięcia naukowe i znaczący wkład w rozwój biofizyki w Polsce. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się wokół biomedycznych właściwości nanocząsteczek – dendrymerów, nanocząstek złota i srebra – oraz możliwości ich zastosowania w charakterze nośników leków i genów w terapii ukierunkowanej, czyli w obszarze nanonauk. Jest reprezentantką Pol-



Fot. NCN

ski w COST (Europejskim Programie Współpracy w Dziedzinie Badań Naukowo-Technicznych), gdzie w kadencji 2021–2024 zasiada w Radzie Naukowej. W ub.r. PTB obchodziło 50-lecie swojego istnienia.

Pionierka z Polski

WROCŁAW Prof. Kazimiera A. Wilk z Politechniki Wrocławskiej jako pierwsza kobieta na świecie i pierwszy naukowiec z Polski otrzymała prestiżową The Kash Mittal Award. Uehonorowano ją za osiągnięcia w obszarze syntezy nowych surfaktantów wielofunkcyjnych, w tym głównie biogodnych surfaktantów cukrowych. Jest uznaną specjalistką w zakresie innowacyjnych technologii chemikaliów specjalistycznych, w szczególności otrzymywania produktów o wysokiej wartości dodanej: surfaktantów specjalistycznych, dekorowanych polimerów, a także projektowania racjonalnych technik enkapsulacji leków w nano-



Fot. Arch. prywatne

nośnikach polimerowych i surfaktantowych do spowolnionego uwal-

niania. Zajmuje się również wytwarzaniem ekologicznych formułacji kosmetycznych i surfaktantowych. Stworzyła szkołę naukową „Enkapsulowanie substancji aktywnych w nanośnikach polimerowych i surfaktantowych”. Od 2020 r. kieruje Laboratorium Technologii Organicznej i Farmaceutycznej.

Odlotowy kampus

KAŹOLEWO Na byłym już lotnisku nieopodal Grodziska Wielkopolskiego otwarto nowy kampus Politechniki Poznańskiej. Będą tam realizowane innowacyjne projekty związane z lotnictwem, kosmonautyką i robo-



Fot. PP

tyką. Naukowcy zajmą się m.in. badaniami eksploatacyjnymi, w tym oceną środowiska pracy pilota, projektowaniem i budową bezzałogowych statków powietrznych. Opracują system monitorowania i nadzoru statków powietrznych w przestrzeni. Powstanie naziemna stacja łączności satelitarnej i laboratorium pomiarów radiowych. Będzie też możliwy rozwój systemów obserwacji optycznych. Zakres badań obejmie także pomiary zanieczyszczenia powietrza. Ma to być jedno z najważniejszych centrów badawczych dla potrzeb transportu lotniczego, logistyki, monitorowania, nadzoru oraz neutralizacji zdarzeń i katastrof. Jego powstanie kosztowało 36 mln zł.

Doktorat h.c. – prof. Roman Słowiński

HERAKLION Wiceprezes PAN oraz założyciel i kierownik Zakładu Inteligentnych Systemów Wspomagania Decyzji w Instytucie Informatyki Politechniki Poznańskiej otrzymał 14 września tytuł doktora honoris causa Hellenic Mediterranean University. Doceniono jego wkład w rozwój badań operacyjnych i inteligentnych systemów wspomaganie decyzji. Jest m.in. autorem oryginalnej metodyki wspomaganie decyzji w oparciu o wiedzę odkrytą z niekompletnych danych, za którą w 2005 roku otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Do jej stworzenia wykorzystał autorską dominacyjną teorię zbiorów przybliżo-

nych. Wzbogaca ona metodykę sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego w aspekcie uczenia się preferencji. Znajduje ona różnorakie zastosowania we wspomaganie decyzji, m.in. w medycynie, przemyśle, farmacji, projektowaniu i diagnozowaniu urządzeń technicznych, w ochronie środowiska i w marketingu. Prezentował ją w numerze 5/2021 FA.

Doktorat h.c. – prof. Alojzy Z. Nowak

WROCŁAW Rektor Uniwersytetu Warszawskiego i prezes Akademickiego Związku Sportowego otrzymał tytuł doktora honoris causa Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, której od 1 października patronują Polscy Olimpijczycy. Prof. Alojzy Nowak jest związany z UW od 1984 r. Kierował Zakładem Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych oraz Katedrą Gospodarki Narodowej na Wydziale Zarządzania. W latach 2006–2012 i 2016–2020 był jego dziekanem. Stał też na czele Centrum Europejskiego UW. W kadencji 2012–2016 był prorektorem UW



Fot. Arch. prywatne



Fot. Andrzej Nowak

ds. badań naukowych i współpracy. Od czterech lat jest prezesem AZS. Funkcję tę pełni pro publico bono.

Doktorat h.c. – prof. Joseph H.H. Weiler

ŁÓDŹ Prawnik, specjalista w dziedzinie prawa konstytucyjnego, międzynarodowego i unijnego, współtwórca Deklaracji Praw i Wolności Człowieka Parlamentu Europejskiego, otrzymał tytuł doktorat hono-



Fot. UK

ris causa Uniwersytetu Łódzkiego. Jest wykładowcą New York University, gdzie kieruje katedrą im. Jeana Monneta. W przeszłości był rektorem Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji. Jego opus magnum stanowi *The Constitution of Europe* (Cambridge, 2003) – zbiór esejów napisanych w ciągu dziesięciu lat. Główny tekst, *The Transformation of Europe*, uchodzi za najważniejszy wkład Weilera w refleksję nad integracją europejską. Weiler od lat jest związany z Polską. Jego rodzina pochodzi z Zamościa, gdzie jego dziadek i wcześniejsi przodkowie byli rabinami przez około czterysta lat. To jego 14 doktorat honoris causa.

Doktorat h.c. – prof. Tadeusz Markowski

SZCZECIN Wykładowca Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Łódzkiego, a w latach 2002–2005 jego dziekan, otrzymał tytuł doktora honoris causa Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego. To 61 osoba wyróżniona tą godnością przez ZUT. Doceniono go za osiągnięcia



Fot. ZUT

naukowe i organizacyjne z zakresu ekonomicznych uwarunkowań planowania przestrzennego, zarządzania miastem oraz kształtowania koncepcji zintegrowanego planowania rozwoju, a także inspirowania szerokiej interdyscyplinarnej współpracy środowisk naukowych i praktyki. Specjalizuje się w zagospodarowaniu przestrzennym kraju i regionów, teorii planowania przestrzennego, polityce rozwoju lokalnego i regionalnego, planowaniu strategicznym oraz marketingu terytorialnym. Do 2020 roku kierował Katedrą Zarządzania Miastem i Regionem. Przewodniczył Komitetowi Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, który pod jego kierownictwem istotnie przyczynił się do opracowania przyjętej w 2011 r. koncepcji przestrzennego zagospodarowania kraju.

U komunikologów bez zmian

GDAŃSK Prof. Iwona Hofman została ponownie wybrana na prezesa Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej. Będzie to jej czwarta kadencja na tym stanowisku. W latach 2016–2019 była dziekanem Wydziału Politologii Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej. Obecnie stoi na czele Instytutu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS, w którym prowadzi Katedrę Dziennikarstwa i Pracownię Badań nad Instytutem Literackim w Paryżu. Realizuje badania w zakresie publicystyki i myśli politycznej polskiej emigracji po 1945 r., koncentrując się na dorobku Jerzego Giedroycia i „Kultury”. W kręgu jej zainteresowań naukowych są ponadto problemy współczesnego dziennikarstwa, związki mediów i polityki, teoria gatunków dziennikarskich. PTKS zostało powołane w 2007 roku. Dzięki staraniom jego członków „nauki o mediach” wpisano jako nową dyscyplinę na listę MEiN.



Fot. Arch. prywatne

Historycy z nowym-starym prezesem

ZIELONA GÓRA Prof. Krzysztof Mikulski został ponownie wybrany na prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego. Kieruje organizacją od 2003 roku (z przerwą na lata 2013–2015). To dziewiętnasty prezes w historii PTH. Jest dyrektorem Instytutu Historii i Archiwistyki UMK, w którym zawiaduje Katedrą Historii Nowożytnych i Krajów Niemieckich. Specjalizuje się w dziejach miast i mieszczaństwa, demografii historycznej, historii gospodarczej i społecznej oraz prozopografii i genealogii szlachty polskiej okresu średniowiecza i czasów nowożytnych. Jego zainteresowania naukowe dotyczą zwłaszcza państwa krzyżackiego w XIII–XV w. i ziem polskich ze szczególnym uwzględnieniem Prus Królewskich w XV–XVIII. PTH zostało utworzone w 1886 we Lwowie. Skupia zarówno zawodowych historyków, jak i miłośników historii. W 46 oddziałach zrzesza ponad 3 tys. członków. Co pięć lat organizuje powszechne zjazdy historyków (w 2024 r. w Białymstoku).



Fot. Andrzej Romaniuk

Już nie tylko metaliczne

WARSZAWA Politechnika Warszawska jako pierwsza w Polsce może pochwalić się najnowszą generacją transmisyjnym mikroskopem elektronowym Spectra 200 (S)TEM. Będzie wykorzystywany do charakteryzacji struktury na poziomie atomowym wszystkich rodzajów materiałów. Urządzenie stanęło w Laboratorium Mikroskopii Elektronowej. Do tej pory badania prowadzone w pracowni skupiały się na analizie materiałów metalicznych, a teraz rozszerzą się o półprzewodniki, ceramikę i materiały polimerowe. Jedną z największych zalet aparatu jest nowy typ detektorów EDX do analizy składu chemicznego. Umożliwiają one robienie map rozmieszczenia pierwiastków stopowych w rozdzielczości nawet 4K przy stosunkowo krótkim czasie ekspozycji 10–20 minut.

Nowością jest także specjalny uchwyt i oprogramowanie do tomografii elektronowej, pozwalającej na badanie przestrzennego rozmieszczenia elementów mikrostruktury w preparatach z użyciem różnych technik obrazowania, a także z wykorzystaniem spektrometrii EDX.

Zorganizują i zarządzają po nowemu

ŁÓDŹ Wydział Organizacji i Zarządzania Politechniki Łódzkiej ma nową siedzibę. Inwestycja pochłonęła ponad 18 mln zł. Na czterech wyremontowanych piętrach mieści się 17 nowoczesnie wyposażonych sal dydak-



Fot. PL

tyczno-seminaryjnych, 2 sale konferencyjne oraz 24 pokoje dla pracowników, a także dziekanat i 20 pomieszczeń dla administracji. Dla studentów wydzielono atrakcyjne strefy chilloutu oraz specjalne miejsca na działalność kół naukowych. W sumie Wydział zajmuje 3270 m². Na południowej fasadzie budynku zamontowano panele fotowoltaiczne, a wewnątrz proekologiczną wentylację. Wydział oferuje studia w języku polskim, angielskim i francuskim. We współpracy z Klubem 500 realizuje unikatowy w skali kraju projekt Certyfikacji Menedżerów Województwa Łódzkiego. Od 2017 r. przy Wydziale działa Rada Biznesu, w skład której wchodzi przedsiębiorstwa z obszaru Polski centralnej o uznanej renomie i pozycji gospodarczej.

W duchu międzyreligijnego dialogu

LUBLIN Centrum Relacji Katolicko-Żydowskich otwarte w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II. Prace nad powołaniem jednostki trwały od kilku miesięcy. Na patrona wybrano urodzonego w Warszawie żydowskiego filozofa, teologa i poetę Abrahama Jozuę Heszela. Poza działalnością naukową i badaniami dotyczącymi historii, kultury, wspólnego dziedzictwa oraz dialogu międzyreligijnego, Centrum ma się przyczynić do budowania relacji między studentami z Polski i Izraela. W planach są także projekty społeczno-kulturalne, sympozja, konferencje, debaty. Dyrektorem jednostki jest ks. prof. Mirosław Wróbel, kierownik Sekcji Nauk Biblijnych KUL, tłumacz Biblii Aramejskiej, badacz literatury rabinicznej.

Nike, Złota Róża i Gombrowicz

WARSZAWA Prof. Jerzy Jarniewicz z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego otrzymał Nagrodę Literacką Nike za najlepszą książkę minionego roku. Wyróżniono jego najnowszy tom poetycki pt. *Mondo cane*. Tytuł nawiązuje do włoskiego filmu *Pieski Świata* z 1962 roku, który



Fot. UL

zapoczątkował nurt szokujących obrazów dokumentalnych nurtu „mondo” pokazujących na ekranie prawdziwą śmierć. Po raz szósty w 26-letniej historii Nike nagrodzono tomik poezji. Prof. Jarniewicz, który kieruje Zakładem Literatury i Kultury Brytyjskiej w Instytucie Anglistyki UŁ, był już nominowany do Nike w 2019 roku. Z kolei na Festiwalu Nauki w Warszawie Złotą Różę za najlepszą książkę popularnonaukową roku

przedstawiciele organizatorów, miesięcznika „Nowe Książki” i Instytutu Książki wręczyli Agnieszce Krzemińskiej, autorce publikacji *Grody, garnki*

i uczeni. *O archeologicznych tajemnicach ziem polskich*. Recenzję tej pozycji zamieściliśmy w numerze 6/2022 FA. Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza przyznawaną przez samorząd Radomia debiutującym pisarzem odebrała dr Barbara Woźniak, adiunkt w Zakładzie Socjologii Medycyny UJ Collegium Medicum. Jej powieść „Niejedno” opowiada o roku (akademickim) z życia pracownika naukowego, który opiekuje się chorującym na alzheimera ojcem.

SWPS wśród europejskich uniwersytetów

WARSZAWA Uniwersytet SWPS dołączył do sojuszu European Reform University Alliance, stając się 22 (a pierwszą prywatną) polską uczelnią o statusie Uniwersytetu Europejskiego. W tym roku akademickim kształci 15 tys. studentów i 4,4 tys. słuchaczy studiów podyplomowych. Otrzymała na razie status partnera stowarzyszonego z ERUA, oficjalne przystąpienie nastąpi w przyszłym roku. Konsorcjum skupia obecnie 5 uczelni: Université Paris 8 (Francja – lider), Roskilde Universitet (Dania), Universität Konstanz (Niemcy), University of the Aegean (Grecja), New Bulgarian University (Bułgaria), na których studiuje ponad 80 tys. osób. Miano European Universities uzyskały dotąd 44 sojusze, które skupiają 340 instytucji szkolnictwa wyższego z 31 krajów.

Medale dla profesorów UJ

KRAKÓW Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego Andrzej Białas i Jacek Purchla odebrali brązowe medale Cracoviae Merenti. Zostali uhonorowani w uznaniu szczególnych zasług dla Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Prof. Białas od lat działa dla dobra krakowskiego środowiska naukowego i zabiega, by Kraków był wiodącym ośrodkiem



Fot. Adam Koprowski

naukowym w Polsce i na świecie. Jest jednym z inicjatorów Krakowskiej Szkoły Fizyki Teoretycznej – corocznych tygodniowych spotkań fizyków starszego i młodszego pokolenia z kraju i zagranicy. Zajmuje się fizyką teoretyczną i fizyką wysokich energii. Z kolei prof. Purchla przewodniczy obecnie Radzie Uczelni UJ. Prowadzi badania nad rozwojem miast, historią społeczną i historią sztuki XIX i XX wieku, jak również teorią i ochroną dziedzictwa kulturowego. Od 1991 r. związany jest z Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie jako jego założyciel i dyrektor (do roku 2017). W latach 2016–2017 sprawował funkcję przewodniczącego Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Andrzej Charytoniuk, Ewa Chojnacka, Monika Chrobak, Renata Czeladko, Anna Korzekwa-Józefowicz, Lech Kryszalowicz, Mateusz Lipka, Anna Modzelewska, Małgorzata Syrdak-Sliwa, Jolanta Szajbe, Krzysztof Szymański, Robert Szwed, Paweł Spiechowicz, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Nagrody NCN po raz dziesiąty

Do 30 osób powiększyło się grono laureatów Nagrody Narodowego Centrum Nauki. W tym roku wyróżniono badaczy zajmujących się ekonomią złożoności, ekologią lasów i poszukiwaniem ciemnej materii. Kapituła, złożona z członków Rady NCN, dyrektora NCN i przedstawicieli fundatorów, rozpatrywała propozycje, które mogło w tym roku nadsyłać ponad 650 osób. Nominowano 71 kandydatek i kandydatów, urodzonych nie wcześniej niż w 1981 roku.

Wpływ ograniczonej racjonalności

W kategorii nauki humanistyczne, społeczne i o sztuce wyróżniono **dr hab. Karolinę Safarzyńską** z Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. To jedna z nielicznych w Polsce badaczek zajmujących się ekonomią złożoności, behawioralną i eksperymentalną oraz zmianami klimatycznymi. Doceniono jej nowatorskie modele teoretyczne pozwalające na badanie wpływu ograniczonej racjonalności, różnorodności preferencji i interakcji społecznych na polityki klimatyczne. – W systemach złożonych, a takim jest gospodarka, wiele czynników wpływa na siebie równocześnie. Jeśli założymy, że gospodarka praktycznie nigdy nie jest w punkcie równowagi i uwzględnimy, że ludzie wchodzą w rozmaite interakcje społeczne i nie zawsze są racjonalni, to możemy oddziaływać na ich zachowania nie tylko za pomocą bodźców finansowych, ale także wpływając na sieci społeczne i odwołując się do emocji – przekonuje.

Tworzy modele teoretyczne, które pozwalają na badanie kombinacji polityk: interwencji behawioralnych i polityk makroekonomicznych, aby skutecznie przeciwdziałać zmianom klimatycznym. W swoich pracach pokazała m.in. że efekt sieciowy może zwiększać prawdopodobieństwo kryzysów finansowych na skutek polityk klimatycznych, a różnorodność preferencji konsumentów wpływać na wysokość podatku węglowego. Celem jej obecnie realizowanego projektu jest zaproponowanie nowych modeli makroewolucyjnych do analizy gospodarki obiegu zamkniętego.

Jak się rodzą drzewa

W dziedzinie nauk o życiu nagroda trafiła do **dr. hab. Michała Bogdziewicza** z Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się ekologią lasów, biologią lat nasennych (czyli takich, w których drzewa produkują wyjątkowo dużo nasion) i wpływem zmian klimatu na reprodukcję drzew. – Wiemy, jak drzewa rosną i jak umierają, a bardzo mało o tym, jak się rodzą.

Takie dane bardzo trudno zgromadzić. Przyjęto za fakt, że nasiona po prostu są. Monitoringi rozpoczęto dopiero kilkadziesiąt lat temu. Żeby poznać, jak drzewa rosną w różnych warunkach i jak wpływają na nie zmiany klimatu, można wywiercić rdzenie i zmierzyć, jak one rosły nawet sto czy dwieście lat temu. Żeby sprawdzić, jak drzewo produkuje nasiona, trzeba co roku, przez kilkadziesiąt lat, jechać w to samo miejsce – tłumaczy.

W swoich pracach opisał m.in. w jaki sposób ocieplenie klimatu zmienia wzorce produkcji nasion przez buka zwyczajnego, wykazując, że coraz więcej nasion niszczone jest przez owady czy niezapylnych – co może zagrażać naturalnym odnowieniom drzew. Wiosną tego roku, jako pierwszy Polak, otrzymał Tansley Medal – jedno z najważniejszych na świecie wyróżnień dla biologów zajmujących się roślinami. W tym roku został też laureatem prestiżowego ERC Starting Grant, dzięki czemu od stycznia na UAM działać będzie Centrum Biologii Lasu. W 2016 r. otrzymał wyróżnienie w konkursie „Skomplikowane i proste”, organizowanym przez „Forum Akademickie”, za artykuł *Google, Google, powiedz przecie, gdzie epidemia grypy na świecie?*

W poszukiwaniu ciemnej materii

W kategorii nauki ścisłe i techniczne uhonorowano **dr. hab. Piotra Wcisło** z Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jego badania służą wykryciu ciemnej materii przy użyciu optycznego zegara atomowego. – Istnieją makroskopowe obiekty ciemnej materii, tzw. defekty topologiczne. Defekt taki można wyobrazić sobie jako ścianę, która „przełatuje” przez Wszechświat i w momencie gdy zetknie się ze standardową materią, najczulsze urządzenie na świecie, czyli optyczny zegar atomowy, zacznie „tykać” nieco inaczej – wyjaśnia.

Do niedawna zakładano, że aby sprawdzić odchylenia w pracy zegara, trzeba mieć inny, referencyjny, umożliwiający porównanie pomiarów. Badacz z UMK dowodzi, że można użyć nawet pojedynczego optycznego zegara atomowego, który jest czuły na poszukiwane zaburzenia. Wystarczy, że jako wzorzec częstości potraktuje się nie tylko ultrazimne atomy, ale także wnękę optyczną, jeden ze standardowych elementów takiego zegara. Obecność poszukiwanego obiektu zmanifestuje się wówczas jako różnica dwóch częstotliwości: światła pochłanianego przez atomy oraz przechodzącego przez wnękę. Pomiary wykonuje w Krajowym Laboratorium Fizyki Atomowej, Molekularnej i Optycznej w Toruniu. Innym przykładem

jego pionierskiej działalności jest unikalny w międzynarodowej skali system pozwalający przenieść wiodące technologie spektroskopii laserowej w reżim temperatur kriogenicznych. Jego zadaniem jest badanie teorii kwantowej dla molekuł na niespotykanym dotąd poziomie dokładności.

Laureaci otrzymali statuetki, dyplomy i po 50 tys. zł. Uroczystość odbyła się w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach. Patronem medialnym wydarzenia było „Forum Akademickie”.



Fot. Michał Lepiecki

MK, AKJ

Pierwsi laureaci

Po raz pierwszy wręczono Nagrody Instytutu De Republica za wybitne osiągnięcia naukowe. Przyznano je najzdolniejszym młodym naukowcom, a także uczynom, którzy swoją pracą, całym dorobkiem oraz działalnością międzynarodową stanowią inspirację dla młodych pokoleń. Kandydatów mogły zgłaszać uczelnie, podstawowe jednostki organizacyjne uczelni, instytuty badawcze, jednostki naukowe i komitety naukowe Polskiej Akademii Nauk, wydziały lub komisje Polskiej Akademii Umiejętności, stowarzyszenia naukowe oraz osoby prywatne. Napłynęło blisko sto zgłoszeń. Nagrody wręczono w pięciu kategoriach.

W dziedzinie nauk humanistycznych uhonorowano **dr. Wojciecha Ejsmonda** z Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN, który odczytał inskrypcje i podjął się konserwacji zachowanych przedstawień naściennych w nieznannej wcześniej świątyni bogini Hathor położonej niedaleko Luksoru. Współkierował także badaniem mumii Tajemniczej Damy przechowywanej w warszawskim Muzeum Narodowym.

W dziedzinie nauk społecznych nagrodę odebrała **dr hab. Agnieszka Hamerlińska** z Instytutu Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jej monografia pt. *Onkologopedia-logopedia wobec chorób nowotworowych* otworzyła nowy dział w logopedii i pedagogice specjalnej – onkologopedię. Opracowała także urządzenie służące do terapii hiposomii.

W dziedzinie sztuki doceniono **dr. Jana P. Matuszyńskiego**, reżysera i wykładowcę z Instytutu Sztuk Filmowych i Teatralnych Szkoły Filmowej im. K. Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W jego dorobku znajdują się m.in. takie filmy, jak *Ostatnia rodzina* (2016), *Żeby nie było śladów* (2021) czy seriale *Wataha* i *Król*.

W zakresie umiędzynarodowienia przyznano ex aequo dwie nagrody, które trafiły do badaczek związanych z Uniwersytetem Warszawskim. **Prof. Joanna Madalińska-Michalak** z Wydziału Pedagogicznego jest prekursorką badań dotyczących przywództwa edukacyjnego w Polsce. Opracowała nowatorskie w skali światowej narzędzie badawcze – Skalę Poczucia Odpowiedzialności Zawodowej Nauczycieli. Prowadzi także badania poświęcone polityce kształcenia nauczyciela w Polsce i na świecie. To jedyne badania tego typu realizowane w oparciu o nowatorskie metody i integrujące dorobek różnych nauk, w tym pedagogikę oraz nauki o zarządzaniu i jakości. Jest jedynym

przedstawicielem Polski w Radzie Dyrektorów ds. Europy w Międzynarodowej Radzie ds. Edukacji Nauczycieli. Z kolei **dr hab. Monika Płużyczka** z Wydziału Lingwistyki Stosowanej kieruje międzynarodowym konsorcjum badawczo-naukowym i szkoleniowym ELIT, które otrzymało 2,5 mln euro z programu Horyzont 2020 na badanie procesów mentalnych zachodzących w recepcji długich tekstów, także literackich. Opracowała program międzynarodowego i interdyscyplinarnego kształcenia młodej kadry naukowej, współtworzyła Stavanger Declaration o przyszłości czytania w dobie cyfryzacji, jest autorką platformy naukowo-badawczej TRANSLATON służącej do komunikowania wyników badań i doświadczeń naukowo-badawczych i zawodowych w zakresie translatoryki.

Również dwóch laureatów nagrodzono za ich dorobek naukowy. **Prof. Andrzej Przyłębski** z Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu to znawca filozofii niemieckiej. W orbicie jego zainteresowań są: neokantyzm, hermeneutyka, filozofia praktyczna niemieckiego idealizmu. Stworzył autorski system filozofii hermeneutycznej, na który składają się dzieła: *Hermeneutyczny zwrot filozofii*, monografia *Gadamer, Etyka w świetle hermeneutyki*, *Dlaczego Polska jest wartością. Wprowadzenie do hermeneutycznej filozofii polityki* oraz *Hermeneutyka. Od sztuki interpretacji do teorii i filozofii rozumienia*. Na UAM utworzył Zakład Hermeneutyki Kultury oraz zainicjował powstanie Polskiego Towarzystwa Fenomenologicznego. Z kolei **dr hab. Zbigniew Wawer**, dyrektor Muzeum Łazienki Królewskiej w Warszawie, jest historykiem wojskowości, wybitnym znawcą umundurowania i znaków polskich jednostek z okresu II wojny światowej. Napisał wiele prac poświęconych organizacji wojsk polskich na obczyźnie i dziejom II Korpusu generała Andersa. Zrealizował kilkadziesiąt filmów dokumentalnych poświęconych dziejom polskiej wojskowości w czasie II wojny światowej. W latach 2012–2016 kierował Muzeum Wojska Polskiego. Od października 2011 r. jest profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Polityki Społecznej i Stosunków Międzynarodowych Politechniki Koszalińskiej.

Wszyscy laureaci otrzymali statuetkę zaprojektowaną przez dr. hab. Macieja Zychowicza oraz nagrody pieniężne w wysokości 10 tys. zł.

MK



Fot. Konrad Zilewski

Praktyki redakcyjne: Elsevier, Springer, MDPI, PTG

Dr Maria Matusiewicz, adiunkt w Katedrze Polityki Transportowej i Integracji Gospodarczej Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego, przedstawia przykłady praktyk redakcyjnych kilku czasopism naukowych publikowanych przez czołowych wydawców zagranicznych oraz jednego periodyku polskiego.

Na podstawie własnego doświadczenia przedstawię podejście redakcji czasopism w trzech ważnych wydawnictwach do nadsyłanych artykułów naukowych, a więc poniekąd i do ich autorów. Moje uwagi dotyczą etyki, transparentności, kosztów i czasu.

Obecnie mam trzy artykuły w różnych czasopismach Elseviera i jedno w czasopiśmie Springera, nad którymi prace były prowadzone w latach 2020 i 2021. Trzy z tych prac są współautorskie. W „Sustainable Materials and Technologies” (Elsevier) już po zakwalifikowaniu artykułu do recenzji wraz z dwoma współautorami z innych uczelni czekaliśmy pół roku na znalezienie przez redaktora recenzentów, aż podjęliśmy decyzję o anulowaniu zgłoszenia publikacyjnego. Wówczas redakcja skontaktowała się z nami z przeprosinami i zaproponowała resubmission, obiecując, że tym razem oczekiwanie na pierwszą decyzję (wysłanie do recenzji lub odrzucenie) i proces znalezienia recenzentów pójdzie sprawnie. Skorzystaliśmy z propozycji. Na pierwszą decyzję czekaliśmy ponownie jednak 3 tygodnie, które tym razem nie oznaczały poszukiwania recenzentów, a odrzucenie z powodu... 66% plagiatu. Oczywiście nasza praca nie była plagiatem w żadnym stopniu. Po wielu interwencjach okazało się, że system skojarzył nasze zgłoszenie z poprzednim, zeszłorocznym i zdiagnozował: 58% podobieństwa artykułu, 100% podobieństwa autorów i 45% podobieństwa w abstrakcie. Byłoby zrozumiałe, że redaktor takie zgłoszenie odrzuca, gdyby nie fakt, że był poinformowany o tym, że to resubmission. Dziwi, że po tak wysokim wyniku nie wglębił się w sytuację, tylko odrzucił artykuł. To zaniedbanie i brak profesjonalizmu. Oczywiście, sytuacja jest odkręcana i znów jesteśmy przepraszani, ale pierwszy raz wysłaliśmy ten artykuł do tego czasopisma w październiku 2021. Po bezpodstawnym oskarżeniu o plagiat i przywróceniu artykułu na ścieżkę publikacyjną, przywrócono status „z redaktorem”, lecz nadal bez pierwszej decyzji. Pat, taki sam jak podczas pierwszego submission. Opiekun czasopisma próbował kontaktować się z kolejnymi redaktorami, bezskutecznie. Trzeba było interwencji w Zarządzie Elseviera, który doprowadził do spotkania w MS Teams z opiekunem czasopisma i wiceprezydentem ds. transparentności recenzji. Zapewnili oni, że zajmą się osobiście znalezieniem recenzentów, ponieważ trzech kolejnych redaktorów nie wykonało swojej pracy i nie reagowało na dyspozycje przełożonych.

W czasopiśmie „Transport Policy” (Elsevier) czekałam 10 tygodni na samo znalezienie recenzentów, już po pierwszej decyzji i zakwalifikowaniu artykułu do recenzji. Pracownicy wydawcy próbowali mi pomóc dotrzeć do redaktora i przekonać go, by zaprosił więcej recenzentów, skoro dotychczasowi nie odpowiedzieli na zaproszenie do recenzji. Okazało się to bezskuteczne, więc byłam zmuszona do anulowania zgłoszenia. W obu przypadkach problemem było zaniedbanie redaktora prowadzącego, nieczytanie wiadomości „researcher’s support” (pierwszy kontakt z autorami, który jednak niewiele pomaga)

oraz brak kontroli nad tym, którzy recenzenci zaakceptowali zaproszenie do recenzji, a którzy nie.

Redakcja „Sustainable Sciences” (Springer) potrzebowała trzech tygodni na konkluzję, że artykuł jest „out of scope”, mimo że trafiliśmy do czasopisma po skorzystaniu z narzędzia Springera zwanego Journal Suggester, które na podstawie tytułu i abstraktu sugeruje czasopisma zgodne z tematyką. W żadnej z tych sytuacji nie ma mowy o opóźnieniu spowodowanym przez recenzentów. Długi czas oczekiwania na recenzję jest rzeczą zrozumiałą, ale przetrzymywanie naszych zgłoszeń tygodniami w redakcjach bez pierwszej decyzji oraz brak standardów dotyczących zapraszania recenzentów jest sabotowaniem naszej pracy. To zaniedbania redaktorów, którzy przez tygodnie i miesiące de facto zamrażają wyniki naszych prac, co je pośrednio sabotuje i dezaktualizuje. Od 2021 roku próbuję w poważnych (?) wydawnictwach opublikować artykuły zaakceptowane przez redaktorów jako odpowiednie do recenzji. Dwa z nich były prezentowane na różnych konferencjach. W MDPI żadna z tych sytuacji nie mogłaby mieć miejsca. Redakcje są szalenie responsywne i transparentne na wszystkich etapach, od zgłoszenia zaczynając.

Opisane sytuacje dotyczyły problemów technicznych i organizacyjnych, jednak miałam też do czynienia z sytuacjami skrajnie nieetycznymi. Recenzent czasopisma „Heliyon” (Elsevier) napisał do mnie z propozycją, bym napisała pozytywną recenzję swojego artykułu w jego imieniu, a „w zamian” – bo zapewne założył, że to dla mnie nęcąca oferta – mam zacytować jego artykuł. Również w „Heliyon”, wg submission tracker (strona, która pozwala śledzić, do ilu recenzentów wysłano zaproszenie do recenzji, ilu odpowiedziało i ilu skończyło recenzję) 4 września osiągnięto wystarczającą liczbę recenzji, po czym czekaliśmy dwa tygodnie na przesłanie decyzji redaktora.

Redaktor naczelny czasopisma punktowanego „Prace Komisji Geografii Komunikacji” Polskiego Towarzystwa Geograficznego, komunikujący się ze mną impertynckim tonem (pocztą elektroniczną), a nie chcąc być za ten styl korespondencji odpowiedzialnym, podał się za swojego kolegę z redakcji. Wyszło to na jaw tylko dlatego, że nie pozwoliłam sobie na taki ton rozmowy i interweniowałam u wydawcy. Redaktor, którego tożsamością się posłużono, zrezygnował z dalszej współpracy z czasopismem, ale naczelny pozostał na stanowisku.

Takie sytuacje nie mogłyby mieć miejsca w MDPI, ponieważ wydawnictwo pracuje w sposób transparentny i efektywny. Jedyne „grzechem” MDPI wydaje się być tempo pracy redakcji, co czyni błędne wrażenie, jakoby były one łowcami publikacji. Dzięki zatrudnieniu dużego zespołu redakcyjnego na decyzję o losach tekstu czeka się dobie, a na recenzję 2 tygodnie. Ponieważ nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, efektywność postrzegamy jako zarzut. To absurd.



Tabela 1. Tabela przedstawia impact factor, wielkości opłat publikacyjnych oraz średni czas publikacji dla czasopism, o których mowa w niniejszej wypowiedzi, z którymi miałam lub mam do czynienia.

Czasopismo (wydawca)	Impact factor	Opłata publikacyjna	Średni czas publikacji
„Sustainable Materials and Technologies” (Elsevier)	10.681	3340 USD	5 tygodni*
„Transport Policy” (Elsevier)	6.173	2 870 USD	11 tygodni*
„Heliyon” (Elsevier)	3.92	1 950 USD	40 dni
„Sustainability Sciences” (Springer)	7.934	3 390 USD	2 tygodnie
„Environment, Development and Sustainability” (Springer)	4.08	2 780 USD	5 tygodni
„Sustainability” (MDPI)	3.889	2 000 CHF	30 dni
„Processes” (MDPI)	3.352	2 000 CHF	30 dni

*nie w opisanym przez Autorkę przypadku

To nie koniec przykładów. Jeden z moich artykułów miał być rozdziałem w książce wydawanej przez Elseviera. Przez rok trwały procedury redakcyjne, które odbywają się przez system Elsa pozwalający podglądać postępy prac wszystkich autorów. Na miesiąc przed publikacją redaktor naczelny przestał odpowiadać na wiadomości redakcji i cały projekt został anulowany. Ponieważ badanie będące podstawą mojego rozdziału już miało 1,5 roku, bardziej niż zwykle naglił mnie czas, zatem (z sukcesem) spróbowałam w „Processes” (MDPI). Po czym okazało się, że mój wydział już nie premiuje artykułów publikowanych w MDPI, choć punkty pozyskujemy. Premie za publikacje w czasopismach punktowanych nie są bez znaczenia przy naszych realnie malejących pensjach w obecnej sytuacji gospodarczej.

Czy MDPI jest wydawcą drapieżnym (ang. predatory), stosującym politykę „płacisz-masz”? Współczynnik akceptacji artykułów do publikacji na to nie wskazuje. Każdy, kto próbował opublikować w MDPI, wie, że odsetek odrzuceń jest wysoki już na etapie redakcyjnym, a recenzje są rzetelne, skrupulatne i często negatywne. MDPI ma liczne wartościowe czasopisma, niekiedy z wysokimi IF i wysokim wskaźnikiem cytowania. Trudno mówić o zasadzie „płacisz-masz”, jeśli acceptance rate wynosi mniej niż 30%. Sama jestem potwierdzeniem tej statystyki – zgłaszałam artykuły do różnych czasopism MDPI 9 razy, a opublikowano mi 3 prace. Średni impact factor wszystkich, bardzo licznych czasopism MDPI to 2.217. Mediana procesu publikacyjnego to 37 dni. Recenzent, akceptując zaproszenie do współpracy, deklaruje termin nadesłania recenzji – w opcjach podana jest sugestia 7 lub 10 dni lub zaproponowany przez siebie czas; 2 dni przed upływem wybranego terminu przychodzi przypo-

mnienie. Presja jest na tyle skuteczna, że recenzje są zwykle dostarczane w ciągu 10 dni.

Od 2019 roku napisałam dla różnych czasopism MDPI około 30 recenzji, z czego około jedną trzecią negatywnych. Za recenzje nie otrzymuje się wynagrodzenia, ale voucher o wartości 100 CHF do wykorzystania przy ewentualnej publikacji – oczywiście, niezależnie od tego, czy recenzja jest negatywna, czy pozytywna. Przyjęłam też 7 zaproszeń do recenzji od Elseviera, oczywiście bez wynagrodzenia, jednak również bez vouchera. Mam wrażenie, że rzekoma presja na recenzje pozytywne oraz rzekoma strategia „płacisz-masz” to plotki osób nie mających doświadczenia we współpracy z nimi. Trudno też mówić o „bulwersująco” wysokich opłatach w MDPI, jeśli w porównaniu z konkurencją są najtańsi (Tabela 1).

Uważam, że piętnowanie MDPI nie przynosi nam korzyści, nie jesteśmy w uprzywilejowanej sytuacji rankingowej i jeśli mamy wartościowe badania i oryginalne prace, nie warto opóźniać ich publikacji, stawiając na nieefektywnych wydawców, których reputacja często nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Sugerowałabym, by nie zniechęcać naukowców do publikowania w czasopismach MDPI, zwłaszcza gdy nadal brakuje nam publikacji, by osiągnąć dobrą pozycję w rankingach uczelni.

„Millennialsi są trochę w rozkroku między szacunkiem do boomerów a inspiracją pokoleniami X, Y, Z, jednak kiedy Zetki, przyzwyczajone do natychmiastowej gratyfikacji, zaczną pracować na uczelniach, nie będą nawet próbować w tradycyjnych wydawnictwach wiedząc, że owoce pracy przyjdą z co najmniej rocznym opóźnieniem i będą publikować w MDPI. Nie ma powodów, by efektywność traktować jak zarzut.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”. Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Perłowy jubileusz RGIB

Rada Główna Instytutów Badawczych rozpoczęła działalność w 1992 roku na mocy ustawy o jednostkach badawczo-rozwojowych, stając się organem przedstawicielskim tych podmiotów. Zadanie, jakie jej wyznaczono, polega na uczestniczeniu w polityce gospodarczej i społecznej, a w szczególności naukowej i innowacyjnej, poprzez reprezentację instytutów wobec organów władzy państwowej, samorządowej, organizacji naukowych, gospodarczych i społecznych oraz środowisk opiniotwórczych. Przedstawia im swoje opinie i postulaty, mające na celu rozwiązywanie problemów wspólnych dla środowiska instytutów, jak również dla rozwoju nauki, poprawy innowacyjności i efektywności gospodarki, rozwoju kadr badawczych, a zwłaszcza młodych naukowców czy badań i wdrożeń innowacyjnych technologii.

Jednym z inicjatorów utworzenia tego organu był prof. Paweł Szewczyk, który został wybrany pierwszym przewodniczącym (1992–1995, Instytut Przetwórstwa Tworzyw Sztucznych „Metalchem”). Po nim stery przejmowali profesorowie: Jerzy Wasilewski (1995–1998, Instytut Ciężkiej Syntezy Organicznej „Błachownia”), Zbigniew Śmieśzek (1998–2007, Instytut Metali Nieżelaznych) i Leszek Rafalski (2007–2022, Instytut Budowy Dróg i Mostów), za którego kadencji jednostki badawczo-rozwojowe stały się instytutami badawczymi. W tym czasie we współpracy z Radą powstał projekt odpowiadającej na nowe wyzwania ustawy o instytutach badawczych, którą Sejm przyjął w 2010 roku. Od czerwca 2022 r. na czele 31-osobowego gremium stoi prof. Henryk Skarżyński (Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu).

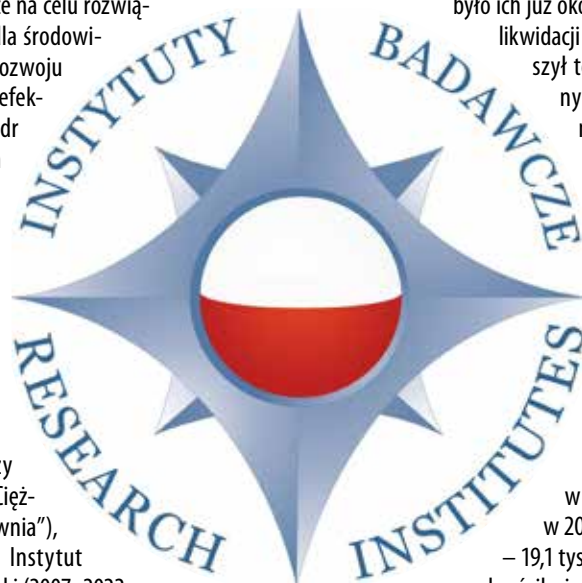
RGIB reprezentuje obecnie 91 instytutów badawczych, w tym instytuty techniczne (31), przyrodnicze i rolnicze (13), medyczne (19), humanistyczne (3) oraz 26 wchodzących w skład Sieci Badawczej Łukasiewicz (za wyjątkiem Łukasiewicz – PORT). Status Państwowego Instytutu Badawczego mają 23 jednostki. Instytuty wypełniają ważne zadania i obowiązki służb publicznych, a rozwiązania tworzone w działających w nich ponad 650 akredytowanych laboratoriach służą polskiej nauce, bezpieczeństwu i obronności kraju. Najstarszym instytutem badawczym jest Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego

– Państwowy Zakład Higieny założony w 1918 r. Ponad sto lat mają też: Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej (1919), Państwowy Instytut Geologiczny (1919), Morski Instytut Rybacki w Gdyni (1921), Instytut Chemii Przemysłowej (1922).

Obecna liczba instytutów badawczych jest najniższa w historii. Dość powiedzieć, że jeszcze na początku transformacji ustrojowej działało 297 takich placówek. Później część zlikwidowano, inne podlegały restrukturyzacji i w efekcie na przełomie wieków było ich już około 240. Konsolidacja i dalszy proces likwidacji na początku minionej dekady zmniejszył tę liczbę jeszcze o połowę. W kolejnych latach z mapy Polski zniknęły następne placówki badawczo-rozwojowe. W ślad za tym (ale tylko do pewnego momentu) spadał też poziom zatrudnienia. Jak wynika z zestawienia przygotowanego przez prof. L. Rafalskiego dla Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jeszcze w 1989 r. w instytutach tych pracowało 72 tys. osób. Później następował systematyczny spadek zatrudnienia: w 1991 – 65,8 tys., w 1993 – 49,6 tys., w 1995 – 39 tys., w 1997 – 26,1 tys., aż w 2005 r. zanotowano najniższą wartość – 19,1 tys. Od tego czasu tendencja się jednak odwróciła: już w 2007 r. było 21 tys., w 2009 – 24,5 tys., w 2011 – 30 tys., a w latach 2015–2016 – 40 tys. pracowników. W końcu 2020 r. zatrudnienie wynosiło 38,8 tys.

W ostatnich latach doszło do sieciowania. W 2018 r. powstały: sieć instytutów energetycznych ENERGIA i Polska Sieć Instytutów Badawczych Transportu POLTRIN, a rok później utworzono Łukasiewicza.

Udział instytutów badawczych w efektach finansowych komercjalizacji przekracza 80% wszystkich wdrożeń zrealizowanych przez jednostki naukowe w Polsce. W 2019 r. ich przychody wyniosły 7,5 mld zł. Jak wskazuje w swojej prezentacji prof. Rafalski, obecna formuła funkcjonowania tych podmiotów jest zbliżona do rozwiązań zagranicznych. W Niemczech działa np. podobna sieć Fraunhofer oraz inne instytuty nadzorowane przez ministrów (m.in. BAST), we Francji – sieć Carnot.



Prof. Henryk Skarżyński, dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, przewodniczący Rady Głównej Instytutów Badawczych:

Zmieniające się przez ostatnie 30 lat uwarunkowania zewnętrzne nie omijały instytutów badawczych. Ostatnia reforma w nauce pozwoliła na wyłonienie nowej struktury zarządzania i kierowania większymi zespołami badawczymi, które mają szansę na konkurowanie o środki finansowe na arenie międzynarodowej i krajowej. Zmiany w prawie formalnie dają możliwość zacieśnienia współpracy międzyinstytutowej i międzyśrodkowej, pozwalającej na uzyskanie lepszych efektów naukowych. To może być jedną z podstaw



dobrego, efektywnego wykorzystywania środków oferowanych na badania i rozwój nauki przez NCN, NCBR, ABM oraz instytucje unijne.

Słyszysz się często, że nakłady na naukę są zbyt niskie. To prawda, ale sam wzrost nakładów nie rozwiąże wszystkich problemów. Chciałbym, by instytuty swoją efektywną działalnością, ceniąc kreatywność swoich liderów, pokazały wszystkim, jakie znaczenie mają badania i wdrożenia ich wyników dla rozwoju naszego społeczeństwa. Nikt nie może liczyć na szczególne

MK

względem, instytuty też. Zatem od aktywnej postawy naszych zespołów zależeć będzie, jak zostaniemy ocenieni i finansowani. Bezpośrednich dotacji jest mało, ale można skorzystać z innych dostępnych środków. O finansowanie konkretnych projektów musi starać się szersze grono niż tylko sami naukowcy.

Jednym z priorytetów działalności Rady Głównej Instytutów Badawczych na najbliższe lata będzie koncentracja na maksymalnym wykorzystaniu potencjału, który posiadają instytuty, a także na owocnej współpracy z ich otoczeniem: instytucjami rządowymi,

samorządowymi, środowiskiem uczelni, towarzystwami naukowymi oraz organizacjami pozarządowymi tak, aby jak najlepiej realizować politykę naukową oraz innowacyjną Polski na arenie krajowej i międzynarodowej. Zorganizowana z okazji naszego jubileuszu na gościnnym terenie Politechniki Warszawskiej wystawa pokazała, że potencjał, możliwości organizacyjne i specjalistyczne kadry instytutów badawczych są dobrze przygotowane do podjęcia tych wyzwań.

Politechnika Lubelska nowym liderem

Po trzech latach dominacji Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego na pozycję lidera wynalazczości wysorowała się Politechnika Lubelska. Z zestawienia za rok 2021 przygotowanego przez Urząd Patentowy RP wynika, że choć to firmy wysyłają większość zgłoszeń patentowych, to pod względem liczby otrzymanych praw wyłącznych przodują uczelnie, głównie techniczne (w pierwszej dziesiątce do tej kategorii nie należy tylko trzeci w rankingu Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu ze 118 patentami). Znamienne, że aby stanąć na podium za 2020 rok, wystarczył wynik dwucyfrowy. Tym razem poprzeczka była zawieszona znacznie wyżej – najlepsza uczelnia z liczbą patentów mniejszą niż 100 (Politechnika Poznańska – 97) zajęła dopiero 7 miejsce.

Spośród 136 decyzji o udzieleniu patentu wydanych nowemu liderowi ponad 1/3 dotyczyła wynalazków opracowanych na Wydziale Mechanicznym (50). Niewiele mniej patentowali pracownicy Wydziału Elektrotechniki i Informatyki (39) oraz Wydziału Inżynierii Środowiska (31). Jednym z autorskich rozwiązań jest sposób wytwarzania mieszanki mineralno-asfaltowej z zastosowaniem związku organicznego. Pozwala on na zastąpienie części kruszywa i asfaltu granulatem asfaltowym, który jest materiałem pochodzącym z recyklingu zdegradowanych nawierzchni drogowych. Dzięki temu zwiększyła się odporność mieszanki na działanie wody i mrozu, a przy okazji ograniczono ilość wprowadzanych do niej związków chemicznych w porównaniu do dotychczas znanych sposobów modyfikacji z zastosowaniem chitozanu. Oprócz tego inżynierowie z PL opatentowali m.in. urządzenie do walcowania prętów stalowych; biodegradowalną kompozycję polimerową; urządzenie i sposób do określania niejednorodności umocnienia warstwy wierzchniej, zwłaszcza elementów maszyn; wykorzystanie popiołów jako materiałów funkcjonalizowanych stosowanych w inżynierii środowiska, budownictwie i rolnictwie; a także układ, sposób oraz produkt komputerowy do rezonansowej kompensacji pulsacji prądu, głównie elektrochemicznych magazynów energii.

Politechnika Lubelska wyprzedziła Politechnikę Łódzką (121), która jako jedyna obroniła miejsce na podium z poprzedniego rankingu. W czołówce są także politechniki: Śląska (116), Warszawska (106) i Wrocławska (102). Dopiero 8 miejsce, mimo większej liczby patentów niż w 2020, zajął dominujący w ostatnim czasie Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie (96). Pierwszą dziesiątkę zamykają Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (95) i Politechnika Rzeszowska (69). Na 12 miejscu sklasyfikowano pierwszy w wykazie klasyczny uniwersytet – Śląski (42), a tuż za nim uplasował się Uniwersytet Medyczny w Lublinie (39). Najwyżej spoza uczelni – na 14 miejscu – znalazł się Instytut Nafty i Gazu – Państwowy Instytut Badawczy (39).

W sumie w zestawieniu ujęto 17 uczelni technicznych, 9 uniwersytetów klasycznych, 5 przyrodniczych/rolniczych i 5 medycznych. W gronie blisko 50 sklasyfikowanych podmiotów znalazły się także 4 instytuty Sieci Badawczej Łukasiewicza, 3 państwowe instytuty badawcze i 3 instytuty Polskiej Akademii Nauk. Z 3244 patentów i 544 praw ochronnych przyznanych polskim wynalazcom podmioty naukowe zgarnęły ponad połowę (2091). Z tej puli najwięcej było patentów uczelnianych (43,45%), a następnie autorstwa pracowników instytutów badawczych (6,63%) i jednostek PAN (2,48%). Wszystkie kategorie, łącznie z firmami i osobami fizycznymi, otrzymały znacznie więcej patentów niż rok wcześniej: szkoły wyższe o blisko 700, instytuty badawcze o prawie 80, jednostki PAN o 27. Najwięcej decyzji dotyczyło nowatorskich rozwiązań w zakresie chemii wysokotemperaturowych związków organicznych (323), pomiarów (204), technologii medycznych (199), maszyn specjalistycznych (175) i narzędzi mechanicznych (169).

W 2021 r. do UPRP wpłynęło 35 028 zgłoszeń (nieco mniej niż rok wcześniej, kiedy było ich 35,6 tys.), z czego 20 962 w trybie krajowym. Przyjęto także 631 wniosków na ochronę wynalazków, znaków towarowych i wzorów przemysłowych za granicą. Urząd Patentowy zakończył łącznie 37 084 postępowań prowadzonych w ramach procedury zgłoszeniowej, w tym udzielił w trybie krajowym 19 748 praw wyłącznych na przedmioty własności przemysłowej. Podmioty krajowe zgłosiły do ochrony w trybie krajowym i międzynarodowym 4267 wynalazków i wzorów użytkowych (mniej o ponad 700 niż w 2020 r.). W stosunku do poprzedniego zestawienia spadła także liczba zgłoszonych wynalazków (z 4098 do 3488). Dominowały aplikacje w dziedzinie maszyn specjalistycznych, inżynierii lądowej, pomiarów, chemii materiałów podstawowych i technologii medycznych. Wśród podmiotów zgłaszających nadal dominuje sektor gospodarki (choć cały czas z utrzymującą się tendencją spadkową: tym razem z 45,54% do 43,4%), w którym o innowacje dbają głównie małe i średnie przedsiębiorstwa zatrudniające do 250 osób (75,7% zgłoszeń). To przede wszystkim spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą i spółki akcyjne. Podmioty naukowe były autorami 1550 wniosków. Gros z nich (1232) pochodziło ze szkół wyższych. Ponadto 252 aplikacje wysłały instytuty badawcze, a 66 instytuty PAN.

Na miano najbardziej innowacyjnych województw zasłużyły w ubiegłym roku: mazowieckie (562 patenty), śląskie (413), małopolskie (364) i dolnośląskie (332). Na koniec grudnia w Polsce pozostało w mocy 374 337 praw wyłącznych na przedmioty własności przemysłowej, w tym m.in. 18 727 patentów na wynalazki, 3889 praw ochronnych na wzory użytkowe i 93,4 tys. patentów europejskich.

Mariusz Karwowski

Nie wylejmy KPA z kąpielą

Marcin Chałupka, radca prawny specjalizujący się w prawie i instytucjach szkolnictwa wyższego i awansu naukowego, polemizując z prof. Grzegorzem Węgrzynem, kolejny raz zabiera głos w sprawie stosowania Kodeksu postępowania administracyjnego w procedurach awansowych.

Pod datą 3-02-2022 FA opublikowało mój tekst *Recenzja kontrolowana... recenzja kontrolowana...*, w którym wskazałem różnicę pomiędzy „recenzją negatywną” a „nierzetelną” oraz podkreślałem, że przedstawianie zjawiska pozywania recenzentów czy zarzucania im czynów zabronionych w kategorii „pozew za opinię naukową” nie służy jego zrozumieniu. Do tematu nawiązał prof. G. Węgrzyn w publikacji *Sąd nie rozstrzyga o prawdzie naukowej* (FA 7-8/2022), w której można się dopatrzeć postulatu odejścia od stosowania KPA w postępowaniach awansowych. Do argumentów Pana Przewodniczącego odnoszę się polemicznie wg kolejności ich podniesienia.

Z faktu, iż „nie ma i nigdy nie będzie sztywnych wytycznych, jakie warunki należy spełnić, aby nadać stopień czy tytuł naukowy”, nie wynika, że stronie postępowania nie należy się jego przeprowadzenie wedle gwarancji procesowych zawartych np. w KPA, stosowanym choćby odpowiednio. Z faktu, iż zasadnym wydaje się ustalenie daty dorobku, jaki podlega ocenie, a KPA nakazuje orzekać wg stanu faktycznego z chwili decyzji, nie wynika, że należy pozbyć się KPA z postępowań w pozostałym zakresie. Można dokonać wyłączenia w tym zakresie, podobnie z językiem obcym jako dopuszczalnym dla recenzji. Pan Przewodniczący podnosi, że „Podstawy decyzji administracyjnej muszą być jednoznaczne i kwantyfikowalne, precyzyjne i klarowne”. Tymczasem istnieje spory katalog tzw. decyzji uznaniowych, których jednak nie utożsamiamy z dowolnymi. Stąd, jeśli w ustawie zapisano przesłankę awansu („znaczny wkład”), to zadaniem recenzenta wydaje się zdefiniowanie, jak rozumie te pojęcia oraz czy i dlaczego w dorobku kandydata dopatruje się ich lub nie. Czy to przerasta zdolności osoby posiadającej zazwyczaj co najmniej habilitację? „Istotnej aktywności” nie należy w recenzji, zgodnie z art. 221 ust. 8 PSWN, oceniać, bo ten odsyła jedynie do art. 219 ust. 1 pkt 2. Skoro „nie ma precyzyjnych parametrów awansu naukowego”, to cieszymy się z tych, które są. Chyba nie jest naszym celem brak jednoznacznego sformułowania w ustawie przesłanki ustawowej awansu, co miało miejsce w latach 2011-18. To, iż recenzenci nie są zgodni, bo, jak twierdzi Pan Przewodniczący: „To, co jednemu wydaje się odkrywczym, inny uzna za banalne”, nie stanowi żadnego problemu, gdyż to organ awansowy musi podjąć decyzję, a nie recenzent. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy dwaj eksperci przedstawią negatywne recenzje, bo wówczas decyzja komisji habilitacyjnej nie może być pozytywna (art. 221 ust. 10 ustawy). Na marginesie powstaje potrzeba dopuszczania opinii neutralnej komisji habilitacyjnej, czego ustawa nie wyklucza, bo gdyby dwie recenzje negatywne, nawet istotnie wadliwe formalnie, oznaczały obbligo opinii negatywnej, a w konsekwencji odmowy nadania stopnia, mogłoby to wywołać w wątpliwości konstytucyjnej wręcz natury.

Biorąc pod uwagę łatwość potencjalnego usunięcia niedogodności wskazywanych przez Pana Przewodniczącego, bez „wylewania KPA z kąpielą”, odnoszę wrażenie, że uparte dążenie do całkowitego wyeliminowania stosowania KPA może być poczyna-

tane jako potwierdzające, że to nie tyle owe niedogodności przeszkadzają, co sama obecność regulacji utrudniających „ocenie od serca”, np. bez jakiegokolwiek wymaganego przez KPA uzasadnienia. Jeśli chcemy, by postępowanie korporacyjno-inkwizycyjne stało się jeszcze bardziej „uznaniowe”, to po co w ogóle cała procedura? Niech dana rada zagłosuje za lub przeciw kandydatowi, przecież każdy jakiś pogląd na temat jego dorobku

ma, a kto nie ma, ten doczyta albo się wyłączy. Aby prawo do sądu nie było iluzoryczne, nie wystarczy, by podstawę do skargi dawały tak oczywiste błędy, jak wyliczenie kworum; chodzi przede wszystkim o to, by racja decyzyjna organu oceniającego, czy jest „znaczny wkład”, czy też go nie ma, poddawała się weryfikacji logicznej. By nie była jednozdaniowa, np. „nie ma, bo tak uważam”. Sądy nigdy nie rozstrzygały i nie rozstrzygają o tym, czy jest „znaczny wkład”, ale powinny eliminować recenzje, których autor posługuje się nieaktualnymi przesłankami, w oczywisty sposób myli stan faktyczny, daje wyraz osobistemu stosunkowi do kandydata, czy narusza jego dobra osobiste lub zniesławia go. Czy doprawdy chcemy, by takie recenzje mogły się ostać? Czy organ pro-

wadzący postępowanie lub RDN zawsze je wyeliminuje, i w oparciu o co – bez stosowania KPA?

O pozywaniu do sądów już pisałem w przywołanym na wstępie artykule. Odnosząc się do stanowiska RGNiSW, nie zgadzam się, że postępowanie awansowe „nie ma charakteru administracyjnego”, bo właśnie ma, choć z istotnymi odrębnościami. Zaś o tym, czy dane postępowanie ma określony charakter, np. administracyjny, nie decyduje „istota” danego postępowania (bo tę każdy, kto przeszedł przez procedury awansowe, może rozumieć inaczej), ale właśnie wola ustawodawcy, który dane postępowanie w konkretny sposób traktuje, np. nakazując w nim stosować KPA. Wszak i wydawanie decyzji dotyczących pozwolenia na broń można by „zwolnić” z KPA, bo przesłanka z art. 10 ust. 1 ustawy o broni i amunicji jest trudna do uchwycenia w kwantyfikowany sposób („jeżeli wnioskodawca nie stanowi zagrożenia dla samego siebie, porządku lub bezpieczeństwa publicznego oraz przedstawi ważną przyczynę posiadania”). Może także zawarte w art. 90. PSWN („Zapomogę może otrzymać student, który znalazł się przejściowo w trudnej sytuacji życiowej”) pojęcie „trudnej sytuacji życiowej” jest zbyt niejasne, by nakazywać stosowanie KPA? A może w ogóle odejdziemy od awansu naukowego jako benefitu regulowanego prawem publicznym? Niech tytuły i stopnie będą sprawą wyłącznie uczelnianą, zaś z ich nie/posiadaniem niech nie wiążą się żadne prawem regulowane możliwości. W „świecie wolnym od KPA” każdy może ocenić każdego poza uciążliwą procedurą prawną, zatrudnić go za prywatne pieniądze, nadać tytuł, jaki chce. A jeśli tego nie chcemy, bo wolimy awans naukowy dający konkretne regulowane prawem benefity i możliwości, to wypada znosić to, że pewien rodzaj kontroli nad korporacją naukową jest. A właśnie odpowiednie stosowanie KPA jest jej przejawem i narzędziem.



Fot. Damian Budzyński

Rak na bezrybiu

Oto znamy wyniki ewaluacji jednostek naukowych. Aż 80% jednostek ma kategorię A lub B+, zaś 90% jednostek ma kategorię A, B+ lub B. Małe zróżnicowanie ocen uzyskanych przez poszczególne jednostki wynika z możliwości poddania się ocenie w tych dyscyplinach, w których jednostka liczyła na korzystny wynik, a ponadto wielu naukowców skupiło się właśnie na ciułaniu ministerialnych punktów, także kosztem innych wartości, np. poszukiwania prawdy. Wyniki ewaluacji jednostek naukowych świadczą głównie o tym, że kierownictwo większości instytucji trafnie oceniło, w których dyscyplinach można uzyskać dobry wynik i sprawnie doprowadziło do spełnienia tej samospelniającej się przepowiedni. Natomiast niewiele mówi o kondycji nauki polskiej w ogóle ani nawet o tym, które jednostki są lepsze od pozostałych.

Międzynarodowa pozycja Polski w poszczególnych dyscyplinach nauki jest bardzo zróżnicowana. W tabeli porównano wybrane wskaźniki bibliometryczne (WoS[®]) charakteryzujące wkład Polski do światowej matematyki i ekonomii. Takie porównanie ma sens, kiedy w porównywanych dyscyplinach: kategorie wg WoS[®] w znacznym stopniu pokrywają się z podziałem stosowanym przez MEN; dominują publikacje z pojedynczą afiliacją lub z niewielką ich liczbą (w odróżnieniu np. od astronomii i medycyny klinicznej); liczby jednostek, które poddały się ocenie, są zbliżone; liczby naukowców, publikacji i cytowań są zbliżone zarówno w skali Polski, jak i w skali światowej.

Tabela 1. Pozycja Polski w świecie (2012-2022) w matematyce i ekonomii

	Polska	matematyka	ekonomia
Liczba publikacji	26	16	30
Liczba cytowań	23	18	37
Średnia liczba cytowań 1 publikacji	127	58	88
Liczba top papers	26	26	43
Liczba państw	148	92	95

Top papers to prace, które w skali roku znalazły się w 1% najczęściej cytowanych prac w danej dyscyplinie. Z tabeli 1 wynika, że nasi matematycy zajmują w międzynarodowym zestawieniu lepsze lokaty niż nauka polska jako całość, za wyjątkiem top papers, gdzie lokaty matematyków i nauki polskiej jako całości są jednakowe, natomiast ekonomiści wypadają znacznie gorzej. Zauważmy także niezłą korelację pomiędzy poszczególnymi parametrami ekstensywnymi – bez względu na kryterium różnica między lokatami zajmowanymi przez naszych matematyków i ekonomistów jest zbliżona. Znacznie większą różnicę obserwujemy w średniej liczbie cytowań przypadającej na jedną publikację, która jest parametrem intensywnym. 88. lokata ekonomistów (wobec 127. lokaty nauki polskiej jako całości) nie jest powodem do dumy, gdyż jest to 7. miejsce od końca (nauka polska jako całość zajmuje 22. miejsce od końca). Nota bene, dekadę temu uzalaliśmy się z Adamem Proniem na łamach FA nad słabym, jak nam się wówczas wydawało, wynikiem Polski w średniej liczbie cytowań przypadającej na jedną publikację – wówczas byliśmy na setnym miejscu. Nie spodziewaliśmy się, że w 2022 roku będzie o wiele gorzej.

Rankingowe różnice między matematyką a ekonomią: 14 miejsc w liczbie publikacji i 19 miejsc w liczbie cytowań, przekładają się na ogromne różnice w liczbach bezwzględnych. Publikacje naszych matematyków stanowią 2.5% produkcji światowej wobec 1% udziału ekonomistów, zaś cytowania naszych matematyków stanowią 2% produkcji światowej wobec niespełna 0.5% udziału naszych ekonomistów. Dorobek polskich matematyków i polskich ekonomistów jest w grubym przybliżeniu sumą dorobku poszczególnych jednostek naukowych. Przy założeniu, że rozkłady dorobku pomiędzy poszczególne jednostki w matematyce i w ekonomii mają podobny charakter (reguła Pareta, 20% przyczyn powoduje 80% skutków), można przypuszczać, że także przeciętna polska jednostka, która poddała się ocenie w dyscyplinie matematyka, wypada w skali światowej znacznie lepiej niż przeciętna jednostka, która poddała się ocenie w dyscyplinie ekonomia.

Ministerialnej ocenie poddało się 27 jednostek w dyscyplinie matematyka i 47 w dyscyplinie ekonomia. Wyniki ewaluacji przedstawiono w Tabeli 2.

Tabela 2. Wyniki ewaluacji MEiN w roku 2022: matematyka i ekonomia

Udział % jednostek w kategorii	matematyka	ekonomia
A+	11	0
A	30	17
B+	41	68
B	15	13
C	4	2
średni wynik	2.3	2

Średni wynik obliczono, licząc 4 punkty za kategorię A+, 3 punkty za kategorię A, 2 punkty za kategorię B+ i 1 punkt za kategorię B (kategoria C bez punktów). Średnie wyniki w obu dyscyplinach są zbliżone do siebie oraz do średniego wyniku wszystkich jednostek bez względu na dyscyplinę (2.2), czemu akurat trudno się dziwić, skoro punktem odniesienia w każdej dyscyplinie jest przeciętna jednostka polska, czyli, jak wynika z Tabeli 2, kategoria B+ (2 punkty). Rozkład ocen w matematyce jest szerszy niż w ekonomii: więcej jest jednostek ponadprzeciętnych (A+ i A), ale też nieco więcej słabeuszy (B i C). Czy jednak faktycznie słabeuszy? Na podstawie Tabeli 1 stawiam hipotezę, że kategoria B w matematyce w porównaniu z jednostkami z innych krajów wypada lepiej niż B+ w ekonomii.

Wiele jednostek szczyści się uzyskaniem dużej liczby kategorii A i A+. Zanim jednak wyciągniemy z tego daleko idące wnioski, warto sprawdzić, w jakich dyscyplinach przyznano te wysokie kategorie i jak w tych dyscyplinach wypada Polska na arenie światowej. Jeżeli słabo, to nawet nasi liderzy w tych dyscyplinach mogą zajmować odległe miejsca w skali światowej. Prawdopodobnie ktoś już wcześniej wpadł na pomysł, że w dyscyplinach, które stoją w Polsce na relatywnie niskim poziomie, można małym kosztem uzyskać znakomite wyniki ewaluacji (na bezrybiu i rak ryba). A jeżeli nie zrozumiał tego teraz, to skorzysta z mojej rady w kolejnej ewaluacji.

Marek Kosmułski

Takie same dane – odmienne wyniki

Na marginesie wyników ewaluacji dyscyplin naukowych

Niedawno ogłoszone wyniki ewaluacji dyscyplin naukowych wywołały szereg kontrowersji. Można było się tego spodziewać, zważywszy choćby na wcześniejsze negatywne głosy dotyczące szczegółowych zasad reformy nauki.

Skutki reformy nie dla wszystkich okazały się pozytywne, co niewątpliwie wzmocniło krytycyzm zarówno tych, którzy od dawna krytykują poszczególne aspekty reformy, jak i tych, którzy dopiero teraz dostrzegli jej wady. Między innymi okazało się, że system ewaluacji nauki oparty na punktacji czasopism, ściśle związanej ze wskaźnikami cytowania (IF, SNIP), stworzył duże problemy w naukach humanistycznych i społecznych. Praktyka pokazała, że publikowanie artykułów w większości polskich czasopism nie przyniesie punktów w liczbie wystarczającej na potrzeby oceny (i uzyskania kategorii innej niż B lub C). Stąd też różnorodne „ratownicze” zabiegi ministra nauki Przemysława Czarnka oraz ekipy wdrażającej reformę. System okazał się więc podatny na manipulacje danymi ewaluacyjnymi. Efektem są coraz bardziej słyszalne głosy wskazujące na woluntaryzm w punktacji czasopism i sugerujące, że jest on źródłem wypaczeń w procesie przyznawania kategorii naukowych (oko.press, wywiad w Emanuelem Kulczyckim, „Ewaluacja nauki to porażka”).

W tym momencie, jako „odwieczny” przeciwnik wykorzystywania wskaźników bibliometrycznych do ferowania ocen w nauce, mógłbym wrzucić ramionami i przywołać frazę „widział gały, co brały”. Widziały, że bazy Scopus i Web of Science indeksują jedynie kilkanaście procent czasopism z nauk humanistycznych i społecznych, deprecjonując przy tym te, które nie są wydawane w języku angielskim przez wielkie koncerny wydawnicze. Widziały, że wskaźniki typu Impact Factor i SNIP wskazują na cytowalność (jakoby tożsamą z wpływem na rozwój nauki) czasopism, a nie artykułów. Stąd też sugerowanie, że każdy artykuł opublikowany w czasopiśmie zdobywającym stosunkowo dużo cytowań wywiera istotny wpływ na rozwój nauki i zasługuje na stosunkowo dużą liczbę punktów parametryzacyjnych, nie jest zasadne. Widziały, że do obliczania każ-

dego z wymienionych wskaźników przyjmuje się cytowania jedynie z okresu kilku lat, a nie wszystkie, że pomija się cytowania zdobyte w czasopismach i książkach, które nie zostały zindeksowane w rzeczonych bazach itp., itd.

Jednakże w niniejszym artykule nie chciałbym ograniczyć się do tego, co jest powszechnie (w środowisku naukowym) znane i z satysfakcją zauważyć: a nie mówiłem?. Chciałbym bowiem wskazać na inny problem z danymi o cytowaniach (i nie tylko), który w powiązaniu z zarzutami o rasizm, stawianymi jakoby obiektywnym algorytmem przetwarzania danych (ithardware.pl, P. Czajkowski, „Predyktoryne algorytmy AI opieki społecznej oskarżane są o rasizm”), powinien skłaniać do ostrożności w ich wykorzystywaniu, zwłaszcza tych, które pochodzą z niezbyt kompletnych baz. Problem ten w nielicznej jeszcze literaturze naukowej określa się mianem „takie same dane – różne rezultaty” (researchgate.net, J. Glaser, W. Glanzel, A. Scharnhorst, Same data - different results? Towards a comparative approach to the identification of thematic structures in science”). Dostrzegłem ten problem, badając dane bibliograficzne oraz dane o liczbie i źródłach cytowań pochodzące z baz Scopus i Web of Science z wykorzystaniem różnych metod analizy.

Algorytmy stosowane przez redakcje obu baz, służące do przydzielania czasopismom wskaźników wpływu (IF, SNIP), opierają się na zliczaniu cytowań zdobytych przez artykuły opublikowane w danym czasopiśmie. Uwzględniane są cytowania z kilku ostatnich lat pochodzące ze źródeł indeksowanych w danej bazie. Nie bierze się pod uwagę, czy cokolwiek łączy artykuł cytowany z cytującym – np. tematyka, dyscyplina naukowa, źródło publikacji itp. Należy podkreślić, że takie powiązania świadczą o istnieniu silniejszego niż same cytowania związku pomiędzy publikacjami. Przykładem może być współcytowanie: jeśli publikacje A i B są cytowane przez C, można powiedzieć, że istnieją pomiędzy nimi powiązania, nawet jeśli cytowania nie odnoszą się bezpośrednio do siebie. Podobnie, jeżeli A i B cytują te same publikacje (C, D, E), to istnieje pomiędzy nimi widoczny związek tematyczny.

Tabela 1. Publikacje wskazane przez bazę Scopus jako najczęściej cytowane (w domyśle: wywierające największy wpływ na badania kultury cyfrowej) – decyduje ogólna liczba cytowań

Lp.	Autorzy	Dane bibliograficzne	Liczba cytowań
1	Van Dijck J.	Users like you? Theorizing agency in user-generated content Media, Culture and Society, 2009	656
2	Nardi B.	My life as a Night Elf Priest: An anthropological account of world of Warcraft, 2010	353
3	Shifman L.	Memes in a digital world: Reconciling with a conceptual troublemaker, Journal of Computer-Mediated Communication, 2013	267
4	Greenhow C. Lewin C.	Social media and education: reconceptualizing the boundaries of formal and informal learning, Learning, Media and Technology, 2016	241
5	Deuze M. Bruns A. Neuberger C.	Preparing for an age of participatory news, Journalism Practice, 2007	236
6	Shifman L.	An anatomy of a YouTube meme, New Media and Society, 2012	228
7	Parikka J.	A geology of media, 2015	224
8	Beer D.	Social network(ing) sites...revisiting the story so far: A response to danah boyd & Nicole Ellison, Journal of Computer-Mediated Communication, 2008	220
9	Van Dijck J. Nieborg D.	Wikinomics and its discontents: A critical analysis of Web 2.0 business manifestos, New Media and Society, 2009	194
10	Duffy B.E.	The romance of work: Gender and aspirational labour in the digital culture industries, International Journal of Cultural Studies, 2016	184

Tabela 2. Publikacje uznane przez aplikację CiteSpace za wywierające największy wpływ na badania kultury cyfrowej (pozycja w sieci współcytowań zależna od liczby cytowań w innych publikacjach z tej samej sieci)

Lp.	Autorzy	Dane bibliograficzne	Liczba cytowań
1	Jenkins H.	Convergence Culture: Where Old and New Media Collide, New York: New York University Press, 2006	69
2	Manovich L.	The Language of New Media, Cambridge: MIT Press, 2001	53
3	Van Dijk J.	The Culture of Connectivity: A Critical History of Social Media, New York: Oxford University Press, 2013	28
4	Benkler Y.	The Wealth of Networks: How Social Production Transforms Markets and Freedom. New Haven and London: Yale University Press, 2006	24
5	Jenkins H. Ford S. Green J.	Spreadable Media. Creating Value and Meaning in a Networked Culture, New York: New York University Press, 2013,	23
6	Turkle S.	Alone Together Why We Expect More from Technology and Less From Each Other, New York: Basic Books, 2011	21
7	Jenkins H.	Confronting the Challenges of Participatory Culture. Media Education for the 21st Century, Chicago: MacArthur Foundation, 2009	20
8	McLuhan M.	Understanding Media, New York: Routledge, 1964	18
9	Turkle S.	Life on the Screen: Identity in the Age of the Internet, Cambridge: MIT Press, 1995	15
10	Deleuze G.	A Thousand Plateaus: Capitalism and Schizophrenia. Minneapolis: University of Minnesota Press, 1987	14

W ten sposób algorytmy programów do analizy danych bibliograficznych (np. CiteSpace) łączą dokumenty cytujące i cytowane w jednym klastrze (grupa podobnych tematycznie publikacji). Kolejnym przykładem może być siła (intensywność) relacji współwystępowania specjalistycznych terminów kluczowych. Dlaczego nie uznać, że cytowania zdobyte przez daną publikację w dokumentach należących do tej samej sieci współcytowań (klastrów) lub opatrzone podobnym zestawem słów kluczowych, mają większą wartość niż cytowania pochodzące z publikacji nie mających widocznego związku tematycznego z pracą cytowaną? Bo jest to bardziej skomplikowane niż metoda stosowana przez wspomniane bazy bibliograficzne? A może nie ma o co kruszyć kopii, bowiem niezależnie od metody wynik (wykrycie najbardziej wpływowych czasopism, autorów i publikacji, przydzielenie IF lub SNIP) będzie bardzo podobny?

Odpowiedź na ostatnie pytanie możliwa jest dzięki prostemu badaniu. Z bazy Scopus pobrałem dane bibliograficzne oraz o cytowaniach publikacji związanych z terminem Digital Culture. Następnie wykorzystałem te dane do przeprowadzenia dwóch analiz mających odpowiedzieć na pytanie, które publikacje wywarły największy wpływ na badania kultury cyfrowej? Pierwsza analiza sprawdziła się do wykorzystania funkcjonalności bazy Scopus. Uzyskałem listę publikacji najczęściej cytowanych w innych źródłach indeksowanych w tej bazie. Do drugiej analizy wykorzystałem program CiteSpace. Aplikacja ta służy do wizualizacji i analizy danych bibliograficznych pobranych z niektórych naukowych baz danych. Na podstawie danych bibliograficznych poszczególnych tekstów naukowych oraz listy cytowań użytych w tych tekstach CiteSpace generuje wizualizacje sieci powiązań (m.in. współcytowaniami) i klastry tematyczne, z których można odczytać różnorodne trendy, prawidłowości i wzorce. Porównanie wyników obu analiz jest bardzo ciekawe.

Jeżeli porównamy obie listy publikacji, to zauważymy nie tylko fakt, iż są w 100% różne (rozszerzenie obu list nawet do pierwszych stu publikacji zmienia obraz sytuacji jedynie w niewielkim stopniu). Istotne jest także to, że według algorytmów bazy Scopus największy wpływ na badania kultury cyfrowej wywierają artykuły w czasopiśmie, a według algorytmów CiteSpace publikacje książkowe. Obie listy powstały na bazie tych samych danych bibliograficznych. Różne były metody analizy i podejście do znaczenia danych. Scopus premiuje ogólną liczbę cytowań, a CiteSpace cytowania w sieci współcytowań, w ramach klastra tematycznego. Wybór metody analizy danych prowadzi się w tym przypadku do rozstrzygnięcia dylematu: czy publikacja wywiera wpływ ogólnie na rozwój nauki (wszelkich dyscyplin), czy na rozwój określonej tematyki badawczej? W związku z tym poja-

wia się kolejne pytanie: które czasopismo/książki powinny być wyżej punktowane – te, które uzyskują ogólnie dużo cytowań, czy te, które uzyskują dużo cytowań w klastrach tematycznych? Przecież każde czasopismo/książka może wywierać różny wpływ na każdą z dyscyplin/specjalności naukowych, którą reprezentuje. Dlaczego właściwe miałoby być stosowanie wskaźników uśredniających te wpływy? Bo jest to łatwiejsze? Ale czy pozwalające na obiektywizację ocen? Pierwszy system nie sprawdził się w praktyce, a drugi jest bardzo skomplikowany i pracochłonny (każde czasopismo powinno mieć wyliczonych tyle współczynników wpływu, ile obszarów tematycznych reprezentuje).

Aby jeszcze bardziej skomplikować omawiany problem, należy wspomnieć o artykule, którego autorami są Aleksandra Mrela, Veslava Osińska i Oleksandr Sokolov, a który ukazał się na łamach czasopisma „Bulletin of the Polish Academy of Sciences, Technical Sciences” (<https://journals.pan.pl/dlibra/publication/141988/edition/123960/content>). Zaprezentowano w nim nową koncepcję analizy danych bibliograficznych (w tym cytowania), której celem byłoby obliczanie wpływu publikacji na rozwój wiedzy. Autorzy zaproponowali, aby oszacowania wkładu w rozwój wiedzy dokonywano, biorąc pod uwagę nie tylko bezpośrednią liczbę cytowań poszczególnych tekstów, lecz także pośrednie dziedziczenie cytowań między artykułami cytowanymi a cytującymi w ramach sieci cytowani (wartość publikacji zależna nie tylko od cytowań, które zdobyła, lecz także od cytowań, które zdobyły publikacje cytujące). Nie wątpię, że także i ta metoda analizy danych bibliograficznych da inne rezultaty, w sensie wskazania na publikacje o istotnym dla nauki znaczeniu, niż sugerują to wskaźniki baz Scopus i Web of Science. Przypomnieć jeszcze wypada, że dla wielu dyscyplin humanistycznych i społecznych zasoby obu baz są wyjątkowo niekompletne, co podważa „naukowość” wszelkich analiz dokonywanych na podstawie danych z nich pochodzących. Może więc pora zrezygnować z prób „ujarzmienia” danych bibliograficznych (w tym cytowań), a system ewaluacji nauki oprzeć na innych, bardziej jednoznacznych i obiektywnych z punktu widzenia metodologii nauk, podstawach. Pamiętajmy bowiem, że te same dane nie zawsze dają takie same wyniki analiz, a algorytmy przetwarzania danych bywają wysoce zawodne.

Zbigniew Osiński, UMCS w Lublinie

Zwycięstwo inżynierii ewaluacyjnej

Prof. Elżbieta Gołata, prorektor ds. nauki i współpracy z zagranicą Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, komentuje przebieg i wyniki ewaluacji ze szczególnym uwzględnieniem nauk o zarządzaniu i jakości oraz ekonomii i finansów.

Wyniki aktualnej ewaluacji wskazują na wysoki poziom ocenianych jednostek. Ponad jedna trzecia uzyskała najwyższe kategorie: A+ (65) oraz A (323). Uwzględniając kategorię B+ (582 dyscypliny) okazuje się, że w 85% przypadków krajowe instytucje naukowe reprezentują poziom upoważniający do prowadzenia szkół doktorskich, doktoryzowania oraz nadawania stopnia doktora habilitowanego w ocenianych dyscyplinach. Ponad 70% (196) jednostek podanych ocenie uzyskało uprawnienia naukowe we wszystkich zgłoszonych dyscyplinach. Dla 87 jednostek decyzja o przyznaniu kategorii B lub C oznaczała pozbawienie bądź nieprzyznanie uprawnień akademickich. Trzydzieści jednostek nie uzyskało uprawnień w żadnej ze zgłoszonych dyscyplin. Dla 25 spośród nich była to jedyna dyscyplina poddana ewaluacji.

Ten pozornie piękny obraz ma jednak głębokie rysy wynikające z wątpliwości i zastrzeżeń dotyczących zasad i sposobu przeprowadzenia ewaluacji. Wyniki kategoryzacji spowodowały falę odwołań. Nie sposób wymienić tutaj wszystkich podnoszonych zarzutów i problemów, ale trzeba zwrócić uwagę na zmiany procedur w trakcie okresu oceny (ostatnia została wprowadzona w końcu grudnia 2021 r.), niezgodne z rozporządzeniem zmiany na listach czasopism, brak transparentności, szczególnie w kryterium trzecim, czy spowodowane pandemią wydłużenie okresu ewaluacji oraz podział czasu jej trwania na dwie części.

Pod względem liczby przyznanych kategorii przodują dwie dyscypliny z zakresu nauk ekonomicznych: nauki o zarządzaniu i jakości (NoZiJ) – 55 jednostek oraz ekonomia i finanse (EIF) – 47 jednostek. Zauważmy, iż jednocześnie są to dwie dyscypliny, w których przyznano relatywnie najmniej kategorii A (odpowiednio 16% i 17%), a żadna jednostka nie otrzymała kategorii A+. Wszystkie publiczne uniwersytety ekonomiczne oceniono jednakowo przyznając im kategorię B+.

Tabela: Liczba jednostek według przyznanej kategorii w dyscyplinach ekonomicznych

Dyscyplina/kategoria	A+	A	B+	B	C	łącznie
Nauki o zarządzaniu i jakości	-	9 16%	34 62%	7 13%	5 9%	55 100%
Ekonomia i finanse	-	8 17%	33 70%	5 11%	1 2%	47 100%

W dyscyplinie ekonomia i finanse blisko 90% ewaluowanych jednostek spełnia wymogi do prowadzenia postępowań doktorskich i habilitacyjnych. Wśród najlepszych, obok niekwestionowanych Uniwersytetu Warszawskiego czy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, są takie uczelnie, których żaden ekonomista pytany o przodujące w tej dyscyplinie ośrodki by nie wskazał. W naukach o zarządzaniu i jakości dylemat byłby jeszcze większy. Czy rzeczywiście przodujące pod względem naukowym uczelnie ekonomiczne w Polsce to Federacja Naukoma WSB-DSW, Akademia Finansów i Biznesu Vistula, Akademia Górniczo-Hutnicza i Politechnika Opolska? O czym więc mówią wyniki ewaluacji? Czy są one rzetelne i wiarygodne? Poniższe rozważania są próbą uporządkowania kontrowersji związanych z obecną ewaluacją.

1. Dziedziny i dyscypliny naukowe. Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce głosi promocję interdyscyplinarności, ale jej

nie wdraża w życie. Tegoroczna ewaluacja została po raz pierwszy przeprowadzona w dyscyplinach naukowych ogłoszonych w wykazie z 20 września 2018 r., który miał zapewniać zgodność ze standardami międzynarodowymi. Jednak to brak zgodności z systematyką dziedzin i dyscyplin OECD był uzasadnieniem przedstawionej 29 czerwca 2022 propozycji kolejnych, dyskusyjnych zmian w wykazie. Przeprowadzenie kategoryzacji dyscyplin, a nie jak wcześniej jednostek naukowych, wydaje się logiczne, szczególnie w dużych uczelniach prowadzących badania w wielu obszarach, często na bardzo zróżnicowanym poziomie.

W sytuacji uczynienia dyscyplin przedmiotem kategoryzacji, ogłoszenie ich wykazu w 2018 r., a więc w trakcie ewaluacji, oznaczało naruszenie reguły następstwa czasowego, zgodnie z którym powinniśmy znać zasady przed rozpoczęciem okresu oceny. Do końca listopada 2018 r. wszyscy prowadzący badania naukowe zostali zobowiązani do złożenia deklaracji o pracy w dziedzinie i dyscyplinie. Można powiedzieć, że od tego wszystko się zaczęło, gdyż już w momencie wyboru jednej bądź dwóch dyscyplin trzeba było wykazać się znajomością „inżynierii ewaluacyjnej”. Wybierając dwie dyscypliny należało zadeklarować odpowiedni podział czasu, co jednocześnie oznaczało zobowiązanie do publikacji odpowiedniej liczby slotów w tych dyscyplinach.

Dodatkowo zdecydowano, że czasopisma, w których badacze publikują swoje osiągnięcia, powinny być przypisane do dyscyplin. Rozpętało to akcję lobbowania, by jak najwięcej periodyków, w których specjaliści z danej dziedziny zwykli publikować swoje prace, miało przypisaną określoną dyscyplinę, a najlepiej kilka. Artykuły w czasopismach, którym wskazano dyscyplinę zgodną z deklarowaną przez autora, były automatycznie uznawane za związane z daną dyscypliną. W konsekwencji interdyscyplinarność badań została „ukarana” poprzez odrzucanie w procesie ewaluacji tych osiągnięć naukowych, które oceniający uznali za niewłaściwie przypisane do dyscyplin, zazwyczaj jedynie na podstawie braku zgodności deklarowanej (i ocenianej) dyscypliny z tą, do której przypisane zostało czasopismo. Informacja taka była generowana jako alert w systemie SEDN.

2. Liczba N. Idea ewaluacji zakładała uwzględnienie osiągnięć wszystkich pracowników, którzy zadeklarowali prowadzenie badań naukowych w danej dyscyplinie (tzw. liczba N). W kryterium pierwszym oznacza to zobowiązanie każdego pracownika do publikowania wyników swoich badań. Słusznie, naukowiec powinien publikować. Brak publikacji powiązane z „karą” dla jednostki oznaczającą umniejszenie liczby (3N) ocenianych osiągnięć o trzy (w przypadku niedopełnienia innych wymogów, jak brak deklaracji, o sześć). Zapisy te spowodowały gremialnie podejmowaną przez wiele uczelni akcję „czyszczenia” liczby N. Pracowników, którzy nie mieli publikacji albo których artykuły ukazały się w nisko punktowanych czasopismach, przesuwano na etaty dydaktyczne, co oznaczało, że ich dorobek nie był uwzględniany w ewaluacji. Nie wnikając w szczegóły, taka procedura, prowadząca do wyboru jedynie kilkunastu pracowników, których osiągnięcia decydowały o wyniku ewaluacji, mogła być bardzo głęboka. Ustawa wyraźnie precyzuje, że jednostka podlega ewaluacji w dyscyplinie, w której zatrudnia co najmniej 12 pracowników prowadzących badania naukowe.

Jednostki o „małej” i „dużej” liczbie N nie są porównywalne, gdyż inne są możliwości motywowania pracowników oraz podejmowania

działań zapewniających publikacje przynoszące pożądane w ewaluacji rezultaty. W konsekwencji zauważyć można wyraźny związek wysokich ocen w ewaluacji z małą liczbą N. Wśród 8 jednostek, które uzyskały kategorię A w ekonomii i finansach, jedynie dwie: Uniwersytet Warszawski oraz Uniwersytet Mikołaja Kopernika, mają liczbę N większą niż 35. Połowa jednostek ma liczbę N oscylującą wokół 20. W przypadku nauk o zarządzaniu i jakości korelacja między liczbą N a uzyskaną kategorią jest jeszcze wyraźniejsza. Wśród 9 liderów ewaluacji nie ma żadnej dużej jednostki, nieliczne są średnie, a większość to podmioty małe, które idealnie wpisały się w wymogi rozporządzenia o ewaluacji. „Czyszczenie” liczby N spowodowało, że w konsekwencji ewaluacji, w „nauce” przodują uczelnie o małej liczbie pracowników prowadzących badania naukowe. Szczególny przypadek stanowi Federacja Naukowa WSB-DSW, w której połączenie czterech uczelni daje liczbę zaledwie kilkunastu pracowników prowadzących badania naukowe. Czyli przodująca w zakresie działalności naukowej uczelnia, to taka, w której dosłownie kilku pracowników zajmuje się nauką.

Poważne obawy budzi potencjał naukowy wielu uczelni, które uzyskały uprawnienia do doktoryzowania i habilitowania. Prowadzenie szkół doktorskich jest kosztowne i wymaga odpowiedniej kadry. Nie trzeba jednak prowadzić szkoły doktorskiej, by korzystać z uprawnienia do nadawania stopni naukowych, nie trzeba zatrudniać samodzielnych pracowników naukowych, ważne by w danej dyscyplinie jednostka posiadała kategorię naukową A+, A albo B+ (art. 185 ust. 1 ustawy). Teoretycznie może dojść do sytuacji kuriozalnych, gdy grupa dwunastu niesamodzielnych pracowników nauki nadaje stopień doktora czy doktora habilitowanego. W przypadku habilitacji pewnym zabezpieczeniem są kompetencje Rady Doskonałości Naukowej (RDN), ale w odniesieniu do doktoratów decyzja należy do rady dyscypliny w jednostce. Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o ponad dwukrotnym wzroście liczby uprawnień akademickich czy szeroko komentowanej w prasie uczelni (Uniwersytet Rzeszowski – red.), która dzięki decyzji ministra Czarnka zwiększyła liczbę uprawnień do habilitowania z 6 do 21.

W przykładowej uczelni, która według ewaluacji uzyskała kategorię A w obu dyscyplinach ekonomicznych (Federacja WSB – red.) czy w jednej kategorię A i kategorię B+ w drugiej (Politechnika Opolska – red.), wydział odpowiadający tym dyscyplinom liczy około 40 pracowników (wg strony internetowej tej uczelni, w tym tzw. bazy wiedzy). Jest to oczywiście szacunek przybliżony, gdyż pracownicy deklarujący te dyscypliny mogą być zatrudnieni na innych wydziałach. Analizując obie dyscypliny ekonomiczne, liczba pracowników uwzględnianych przy określaniu liczby N kształtuje się na poziomie ok. 20 na dyscyplinę. Chcąc bliżej ocenić potencjał naukowy uprawniający do prowadzenia szkoły doktorskiej, doktoryzowania i habilitowania, można zauważyć, że jest to bardzo nieliczna grupa kilkunastu samodzielnych pracowników nauki, w tym emerytów. Tytułarnych profesorów jest dwóch bądź trzech. Dodatkowo są wśród nich osoby, które otrzymały stopień bądź tytuł naukowy w innej dyscyplinie niż ekonomia czy zarządzanie (wg bazy ludzi nauki OPI).

Nie wolno generalizować, ale dorobek wielu jednostek, które uzyskały najwyższą kategorię to często artykuły w wysoko punktowanych czasopiśmie opisywanych jako drapieżne, np. „European Research Studies Journal” (100 pkt), wydania specjalne (special issue) na potrzeby polskiej ewaluacji takich czasopiśmie, jak „Energies” (140 pkt) czy komunikaty w materiałach konferencyjnych IBIMA (70 pkt). Temat ten wielokrotnie podejmowano także na łamach „Forum Akademickiego”.

Doprowadzona do perfekcji „inżynieria ewaluacyjna” została nagrodzona. Uczelnie, które zadbały o małą liczbę N, ograniczając ją do pracowników badawczych i badawczo-dydaktycznych posiadających wysoko punktowane publikacje, otrzymały od ministra dokument przyznający najwyższą kategorię oraz uprawnienia naukowe – zostały mianowane „liderami” w naukach ekonomicznych. Paradoksalnie, mianem takim, poza wskazanymi wcześniej wyjątkami, chlubią się uczelnie, w których większość to pracownicy dydaktyczni.

3. Lista czasopiśmie. Lista czasopiśmie to tak ważna kwestia, że wymaga odrębnego opisu. Pracownik został bowiem zobowiązany do publikowania w wydawnictwach i czasopiśmie, których spisy zostały podane przez ministerstwo (po raz pierwszy dwa lata po rozpoczęciu okres ewaluacji). Swoiste kuriozum stanowi fakt, że za artykuł opublikowany w tym samym czasopiśmie w roku 2017 oraz w 2019 przyznawano różną liczbę punktów, przy czym zmiana ta nie wynikała ze wzrostu Impact Factora czasopiśmie.

Wprowadzając zmiany na listach, minister działał niezgodnie z wydanym przez siebie rozporządzeniem. Jednak istotne jest to, że zmiany te honorowały czasopiśmie stosujące nierzetelne praktyki. Promowanie czasopiśmie drapieżnych stanowiło otwartą zachętę do marnotrawienia środków publicznych. Zamiast oczekiwanej dbałości o dyscyplinę finansów publicznych oraz ich przeznaczania na rozwój nauki, wydano przyzwolenie na finansowanie rozwoju nierzetelnych korporacji wydawniczych. Trzeba uczciwie przyznać, że część środowiska naukowego chętnie z tej możliwości skorzystała. Motywacje były różne, ale przede wszystkim powoływano się na ewaluację i dobro uczelni jako cel nadrzędny. Nie zabrakło także głosów, które wskazywały na korzyści wynikające z rzekomego umiędzynarodowienia polskiej nauki. Rozwinął się lobbing, wykorzystywanie różnych układów i wpływów dla korzystnej zmiany punktacji czasopiśmie czy wręcz wprowadzenia periodyków o wątpliwej reputacji na listę ministerialną. Część środowiska protestowała nie zgadzając się z takimi praktykami. Nie było to jednak skuteczne.

4. ...i wydawnictw. Uwagi dotyczące listy wydawnictw pokrywają się z tymi, które dotyczą listy czasopiśmie. Ich wyodrębnienie wiąże się przede wszystkim z konstrukcją samego spisu i klasyfikacją oficy na poziom 1 i 2. Prowadzi to do zrównania wielu uznanych wydawnictw o międzynarodowym zasięgu z wydawcami lokalnymi, a także nienaukowymi. Włączenie wydawnictw nienaukowych do listy ministerialnej jest sprzeczne z ideą wykorzystania jej do ewaluacji działalności naukowej.

5. Ocena ekspercka. Wiele wątpliwości budzi wprowadzona rozporządzeniem o ewaluacji punktoza. Nie sposób efektów działalności naukowej w pełni skategoryzować i zmierzyć przy pomocy punktów. Emanuel Kulczycki w wywiadzie dla oko.press przyznał, że docelowo głos winniśmy oddać ekspertom. Uważał jednak, że środowisko naukowe w Polsce jeszcze nie jest gotowe do podjęcia takiego wyzwania. Ograniczono więc ocenę ekspercką do kryterium III w taki sposób, że zasadniczą ocenę znaczenia osiągnięcia pozostawiono osobom z innej niż oceniana dyscypliny. Czy więc rzeczywiście ocenę tę pozostawiono ekspertom? Być może tak, ale w innym zakresie. Okazało się, że wyniki tej oceny wzbudziły niezadowolenie przede wszystkim z powodu braku rzetelności oraz podejrzenia o dbanie o interes własnej uczelni. Punktoza nie jest dobra, ale ocena ekspercka tym razem nie zdała egzaminu.

6. Rankingi i akredytacje krajowe i międzynarodowe. Polskie uczelnie krytykowane są za brak uznania w rankingach między-



narodowych. Przy pominięciu w tym miejscu dyskusji nad kryteriami, naturalnym wydaje się oczekiwanie przybliżonej zgodności wyników ewaluacji z wynikami najbardziej uznanych rankingów. Nic bardziej mylnego. Liderami ewaluacji są uczelnie nie notowane w rankingach międzynarodowych. W międzynarodowym QS World Ranking by Subject 2022 znalazły się 23 polskie uczelnie. W dyscyplinie Business sklasyfikowano pięć jednostek: Szkołę Główną Handlową, Akademię Leona Koźmińskiego, Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu oraz wydziały Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej. W zakresie nauk o zarządzaniu i jakości żadna z tych uczelni nie otrzymała w ewaluacji kategorii A. W ekonomii i finansach udało się to tylko Uniwersytetowi Warszawskiemu. Pozostałe uczelnie, które znalazły się wśród najlepszych na świecie w tym rankingu, w wyniku polskiej ewaluacji działalności naukowej otrzymały kategorię B+.

Uczelnie, które w zakresie nauk ekonomicznych uzyskały międzynarodowe akredytacje zaliczane do tzw. złotej korony, takie jak EQUIS czy AACSB, nie zostały docenione w ewaluacji, której wyniki oznaczają wprost dyskredytację rankingów i akredytacji międzynarodowych.

7. System informatyczny. Trudno nie wspomnieć o problemach związanych z wprowadzaniem danych do Systemu Ewaluacji Dorobku Naukowego (SEDN) czy Polskiej Bibliografii Naukowej (PBN 2.0), które pojawiały się na każdym etapie przygotowań do ewaluacji. Informatyzacja jest bezwzględnie potrzebna, ale wykorzystanie systemu, który nie został wcześniej odpowiednio przetestowany budzi zastrzeżenia. Zmiany w systemie były wprowadzane bez informacji skierowanej do użytkowników bądź były obwieszczane komunikatem. Zdarzało się nawet, że komunikat zmieniał rozporządzenie. Moduły systemu tworzone na bieżąco, wprowadzano z opóźnieniem, a ich funkcjonalności zmieniano i doskonalono. Przerwy w dostępności systemu były częste, utrudniając organizację pracy. Bibliotekarze i pracownicy informacji naukowej dosłownie stawali na głowie, by wprowadzić do systemów osiągnięcia pracowników, tak, by były one widoczne nie tylko w PBN, ale także w SEDN, i zsynchronizowane z ORCID, codziennie weryfikując, czy po kolejnej aktualizacji systemu dane wprowadzone wczoraj są widoczne i poprawne.

8. Zmienność zasad. O tym, w jaki sposób przeprowadzona zostanie ewaluacja, naukowcy i uczelnie dowiedziały się z rozporządzenia MNiSW opublikowanego 22 lutego 2019 r., czyli w trakcie przeprowadzanej oceny obejmującej lata 2017-2021. W normalnych warunkach prawo nie działa wstecz, a zasady są ogłaszane przed rozpoczęciem okresu oceny. Jednak w przypadku tej ewaluacji nic nie było normalne, a wiele decyzji i działań podejmowano z naruszeniem zasad prawa.

Jednolity tekst obowiązującego rozporządzenia MEiN o ewaluacji jakości działalności naukowej został ogłoszony 23 lutego 2022 r., czyli już po upływie okresu oceny. Od lutego 2019 r. dwukrotnie – 31 lipca 2020 r. oraz 19 października 2021 r. – wprowadzano w nim

zmiany. Również w opublikowanym 6 marca 2019 r. rozporządzeniu w sprawie danych przetwarzanych w Systemie POL-on dokonano dwóch zmian (22 grudnia 2020 r., 17 grudnia 2021 r.). W tym ostatnim przypadku na tydzień przed upływem terminu zwiększono do 1500 liczbę znaków w opisie wpływu działalności naukowej na gospodarkę i społeczeństwo.

9. Środowisko naukowe. Środowisko naukowe w Polsce jest zróżnicowane i podzielone, a interesy poszczególnych jego części sprzeczne. To jego przedstawiciele wspólnie z ministrem J. Gowinem wypracowali zasady ewaluacji w trakcie zakrojonego na szeroką skalę tzw. Narodowego Kongresu Nauki. Również w odpowiedzi na wnioski przedstawicieli środowiska minister Przemysław Czarnek wprowadzał zmiany listy czasopism. To wybrani w skład Komisji Ewaluacji Nauki uznani przedstawiciele środowiska wskazali kategorię w oparciu o listę czasopism, którą wcześniej sami zakwestionowali. Wiarygodność wyników ewaluacji podważyło samo MEiN, które ignorując protesty naukowców oraz takich gremiów jak PAN czy KRASP, bez zachowania określonego w przepisach trybu postępowania, wielokrotnie zmieniało nie tylko listę czasopism, ale także progi referencyjne przyznawanych kategorii. O jakości całego procesu ewaluacji dobitnie świadczą słowa ministra Czarnka wypowiedziane podczas konferencji prasowej 9 maja 2022 r. Wprowadzane zmiany progów referencyjnych uzasadniał on wówczas faktem „obrony flagowych uczelni”, które bez takiej interwencji straciłyby uprawnienia akademickie.

10. Brak jawności. Cała procedura owiana jest dodatkowo mgłą tajemniczości. Nie jest publicznie udostępniona liczba N w poszczególnych jednostkach i dyscyplinach, nie są nawet dostępne informacje o wartościach progowych w poszczególnych dyscyplinach. Tajemnicą poliszynela pozostaje korelacja między uzyskaną kategorią a liczbą N. Informacje przekazywane są w nieformalnym obiegu. Te, które wykorzystano w niniejszym artykule, pochodzą z własnych dociekań autorki, w tym poszukiwań na stronach internetowych uczelni. Stosując podejście biznesowe (może bardziej bliskie uczelniom prywatnym niż publicznym), zapewne w większości jednostek można wybrać 12 pracowników nauki, których udziały jednostkowe osiągnęły maksymalne wartości. Tylko że w ten sposób zrealizowana ewaluacja oznacza promocję działań nieetycznych, które prowadzą do upadku nauki w Polsce, niszczą ją i degradują.

Wyniki ewaluacji zostały ogłoszone dwa miesiące temu, są już pierwsze refleksje i przemyślenia. Czy będziemy mądrzejsi i skorzystamy z doświadczenia, by nie powtórzyć błędów w kolejnej ewaluacji. Minister zapowiedział zmiany jej zasad i powołał zespół, który ma wypracować nowe propozycje. Jakie one będą i kiedy zostaną ogłoszone, tego niestety nie wiemy, a kolejny okres ewaluacji trwa – rozpoczął się 1 stycznia 2022 r. Czyli znów prawo będzie działać wstecz.

Nie tylko „Slot”

Prof. Zbigniewa Patera, rektora Politechniki Lubelskiej, która uzyskała znakomite wyniki w ewaluacji – trzecie miejsce w „klasyfikacji medalowej” wśród uczelni technicznych, a pierwsze, gdyby policzyć wskaźniki algorytmiczne – zapytałśmy: Jak to się robi?

Odpowiedź jest prosta: tylko konsekwentna, wieloletnia praca. Tego nie da się zrobić w ciągu jednego roku, ale wystarczy jeden okres ewaluacyjny. Jeśli od samego początku włoży się dużo wysiłku, można na końcu uzyskać dobre rezultaty. W tym celu wykorzystaliśmy roz-

wiązania opracowane i wdrożone wcześniej na Wydziale Mechanicznym, który pięć lat temu uzyskał, co prawda z odwołania, kategorię A+ (prof. Z. Pater był wówczas dziekanem tego wydziału – red.). Przenieśliśmy je na całą uczelnię.

Pierwsze działania, które wprowadziłem jako rektor, polegało na opracowaniu i wdrożeniu programu „Slot”. Wylczył on każdemu pracownikowi zapewnienie jednego slotu i wystawiał ocenę z uwzględnieniem wszystkich zaleceń ministerialnych. Dorobek ewentualnie był powiększany wartością połowy patentu. Każdy mógł zatem sprawdzić, jak realizuje wypełnianie slotu. Działanie takie obciąża pracowników do rzetelnego raportowania swoich osiągnięć. Zarządza tym nasze Centrum Informacji Naukowo-Technicznej. Musieliśmy ustalić odpowiednie progi punktowe dla poszczególnych kategorii w dyscyplinach, bo nie było przecież wówczas wartości referencyjnych. Dodawaliśmy punkty za udział w projektach i pracach na zlecenie otczenia, co stanowiło odpowiednik drugiego kryterium ewaluacji. Osoba, która otrzymywała kategorię B+ lub wyższą, dostawała odpowiedniej wysokości finansowy dodatek motywacyjny. Opłacało się cały czas być aktywnym. Dodatek za A+ był trzy razy wyższy niż za B+. Natomiast kategoria C kwalifikowała do oceny negatywnej.

Kolejny system motywacyjny polegał na nowych dodatkach funkcyjnych dla szefów różnego szczebla jednostek uczelni. Każdy z nich ma postawione zadania na dany rok i z ich realizacji jest rozliczany. Jednostka kierowana przez daną osobę jest oceniana na podstawie wyników corocznej oceny poszczególnych pracowników. Ta ocena determinuje wysokość dodatku funkcyjnego: kierownika katedry, zakładu czy przewodniczącego rady dyscypliny.

Bazując na doświadczeniach z Regionalnej Inicjatywy Doskonałości, który realizujemy na Wydziale Mechanicznym, wprowadziliśmy także pewne programy projałociowe, np. dotyczący wysoko punktowanych publikacji, monografii czy zgłoszeń patentowych (o patentach na PL czytaj na str. 11), ale też granty na granty. Poszły za tym pewne programy rektorskie realizowane z projektów ministerialnych, czy też wprowadzone przez Związek Uczelni Lubelskich, jak choćby „Staż za miedzą”, czy projekty interdyscyplinarne. Myślmy już o przyszłości i wdramy kolejne dziesięć programów związanych z siecią uczelni Via Carpatia. RID dał nam dobre rozwiązanie w zakresie inżynierii mechanicznej, która jest naszą największą dyscypliną (N wynosi ponad 120), dlatego rozwiązania funkcjonujące dla tej dyscypliny sprawdziły się w przypadkach ich implementacji w pozostałych obszarach badawczych, które reprezentowane były przez mniej liczne grupy pracowników. Gdy analizowaliśmy wyniki uzyskiwane przez duże uczelnie, wychodziło, że im większe N, tym większe pojawiały się problemy.

Chciałbym przy okazji zwrócić uwagę na fakt manipulowania liczbą N przez niektóre uczelnie. Chodzi o przesuwanie części kadry na stanowiska dydaktyczne w celu zmniejszenia tej liczby. Będzie skrajnie nieuczciwie, jeśli teraz, po ewaluacji, zaczną ich przywracać na stanowiska naukowo-dydaktyczne. Na spotkaniu KRASP padła nawet propozycja, aby uczelnie, w których mniej niż połowa kadry to pracownicy naukowcy i naukowo-dydaktyczni, nie mogły mieć statusu uczelni akademickich. Oczywiście, Politechnika Lubelska też zrobiła swego czasu taki przegląd kadr – na Wydziale Mechanicznym miało to miejsce 10 lat temu, za mojej pierwszej kadencji dziekańskiej – ale to nie było związane z obecną ewaluacją. Obecnie mamy ponad 72 procent nauczycieli akademickich zaliczonych do liczby N.

Dzięki tym programom w ciągu jednego - dwóch lat wychyliłmy słabszych pracowników. Nastąpiła mobilizacja, żeby te wyniki



Fot. PL

poprawić, włączyć ich w zespoły naukowe odpowiadające ich zainteresowaniom, aby zaczęli lepiej pracować i publikować. Doprowadziło to do tego, że nie mieliśmy tzw. N zero. Ale to miało też taki skutek, że obniżyła się wysokość dodatków motywacyjnych, gdyż więcej osób miało wysokie kategorie, a pula środków do podziału pozostała taka sama, jak dawniej.

Powiem jeszcze o patentach, które w tej ewaluacji miały ograniczone znaczenie, gdyż można było zgłosić tylko jeden patent na osobę, a przecież są tacy, którzy mają sporo rozwiązań objętych ochroną prawną. Nie ograniczaliśmy patentowania z tego powodu. Mamy dobrze przygotowany system komercjalizacji, fundusz przeznaczony na ten cel zasilany jest z przychodów z prac zleconych. W wielu wypadkach osiągnęliśmy ten sufit wyznaczony przez zasady ewaluacji i wiele naszych patentów nie było uwzględnionych w ocenie dorobku, choćby w inżynierii środowiska czy w inżynierii mechanicznej. A przecież patenty są bardzo ważną dziedziną działalności uczelni technicznych.

Złożyliśmy dwa odwołania do kategorii B+. Dotyczyły one tylko kryterium trzeciego, czyli eksperckiego. Uważamy, że niektóre nasze osiągnięcia zostały przez ekspertów niewłaściwie ocenione. Uwzględnienie tych zastrzeżeń powinno nam podnieść kategorie w obu tych dyscyplinach.

Uważam, że system ewaluacji jest zbyt skomplikowany, a niektóre rozwiązania – choćby przypisywanie wszystkich punktów do jednego autora – są nieuczciwe i przyczyniają się do niewłaściwych zachowań. Za publikację powinniśmy przyznawać tylko taką część slotu, która wynika ze stosunku liczby naszych autorów reprezentujących daną dyscyplinę do liczby wszystkich autorów. Jeśli mamy trzech autorów na ośmiu, to wypełniamy trzy ósme sloty. Nie byłoby wówczas tworzenia sztucznych zespołów z różnych jednostek i dyscyplin. Może należałoby zwrócić uwagę także na efektywność badawczą. Jednostki, które świetnie wypadają w kryterium pierwszym, słabiej były oceniane w drugim i odwrotnie. Zatem ktoś, kto świetnie publikuje często nie przyciąga dużych środków z zewnątrz. W tym zakresie jest proste rozwiązanie. My, jako uczelnie, wypełniamy arkusze, gdzie podajemy wysokość środków wydanych w danym roku na prace badawczo-rozwojowe. Wszyscy są zainteresowani tym, żeby jak najwięcej środków tam zaliczyć, bo od tego zależy wysokość subwencji. Gdybyśmy podzielili te środki np. przez sumaryczny IF uczelni, otrzymalibyśmy miarę efektywności naszych działań naukowych. Po prostu brakuje mi uwzględnienia jakiejś miary efektywności w ocenie naszej działalności naukowej.

Wątpliwe jest też ograniczenie zgłaszania osiągnięć naukowych jedynie do czterech slotów. To prawda, że dla wielu i to jest trudne; stanowi wyzwanie oraz zachętę do pracy. Ale są tacy, którzy mogą te sloty wypełnić w krótszym czasie - ci najlepsi. Ich kolejnych osiągnięć w ewaluacji nie widać. System nastawiony jest na średniaków, co nijak się ma do promocji doskonałości naukowej. Ustawiając go na średnich i słabych, na przeciętność, z całą pewnością nie służy dobrze polskiej nauce. Tylko najlepsi mogą ją pociągnąć w górę, dać dobre wyniki w międzynarodowej konkurencji. Nie wyrzucamy z ewaluacji tych najlepszych, dajmy im szansę pokazać swój dorobek.

Notował Piotr Kieraciński

Szanowni Państwo, drodzy Partnerzy i Przyjaciele,

z okazji inauguracji nowego roku akademickiego w imieniu **Grupy PWN** życzymy całej społeczności akademickiej, by nadchodzące miesiące wyťažonej pracy intelektualnej i dydaktycznej dawały satysfakcję, inspirowały do przekraczania kolejnych naukowych granic oraz wspierały w integrowaniu środowisk naukowych.

Ostatnie lata pandemii oraz wojna w Ukrainie dobitnie pokazały, jak wielkim zagrożeniem jest długofalowa izolacja, brak kontaktów międzyludzkich, a w szczególności szerząca się dezinformacja. W świecie, w którym autorytetem i ekspertem może być każdy, jedynie **nauka oraz jej przedstawiciele**, wyposażeni w odpowiednie narzędzia i aparaty badawcze, są w stanie wskazywać odpowiedni kierunek działań, obalać szkodliwe mity i demaskować fałszywe dane.

Rozpoczynając ten rok akademicki, chcielibyśmy Państwa **zaprosić do wspólnych działań na rzecz nauki krytycznego myślenia i analizy przedstawionych informacji**. Wydaje się, że współcześnie to weryfikowanie faktów staje się jedną z priorytetowych umiejętności nie tylko każdego naukowca, ale również wszystkich odbiorców wszelkich kanałów informacyjnych.

Zdajemy sobie sprawę, że jest to przedsięwzięcie długofalowe i tylko jednocząc się z całą społecznością akademicką oraz profesjonalistami z różnorodnych obszarów naukowych, możemy realnie wpłynąć na stan wiedzy i dojrzałość naukową w naszym kraju. Jak twierdziła Maria Montessori, to w edukacji drzemie wielki potencjał i siła, która potrafi zmieniać świat na lepsze. Wykształcone społeczeństwo samostanowi o sobie, potrafi dokonywać świadomych wyborów i kieruje się wyższymi wartościami, niosąc pokój i harmonię.

Nasza współpraca z **Fundacją Rektorów Polskich**, a także przynależność do **Koalicji AI w Zdrowiu** oraz **Polskiej Federacji Szpitali** to krok ku realizacji wspólnej misji, jaką jest tworzenie społeczeństwa wiedzy. Wspólnie z twórcami internetowymi oraz instytucjami – takimi jak **Rzecznicy Nauki, Krajowa Reprezentacja Doktorantów, demagog.pl** oraz **Faceci w Kitlach** – wraz z naszymi autorami rozpoczęliśmy w PWN

i w **Wydawnictwie Lekarskim PZWL** akcję identyfikowania nieprawdziwych informacji. Zarówno **inicjatywa PWN „Fake-Stop! Tylko wiarygodne źródła wiedzy”**, jak i **szereg działań PZWL pod hasłem „Zarażamy wiedzą”** składają się z wielu praktycznych i instruktażowych przedsięwzięć, które mają za zadanie promować wartościowe, sprawdzone i rzetelne źródła wiedzy.

By dynamicznie realizować zamierzone działania, w kwietniu bieżącego roku **połączyliśmy siły Wydawnictwa Naukowego PWN, Wydawnictwa Szkolnego PWN oraz Wydawnictwa Lekarskiego PZWL i staliśmy się jedną spółką – PWN**. **Marka PZWL** pozostaje niezmienną i będzie nadal wydawać nowe oraz kultowe podręczniki i inne przełomowe publikacje ze świata medycyny.

Dzięki naszym profesjonalnym zespołom i wspaniałym autorom w tym roku w **Wydawnictwie Naukowym PWN** planujemy wydać około **150 publikacji**, natomiast w **Wydawnictwie Lekarskim PZWL** powstanie ich blisko **100**. Stale rozwijamy też naszą platformę internetową **IBUK Libra** oraz projekt **wykladowca.pwn.pl**, które służą Państwu jako praktyczne źródło sprawdzonej wiedzy.

Cieszymy się, że wciąż możemy Państwu towarzyszyć i wspólnie wspierać rozwój nauki w naszym kraju. Niech ten rok będzie dla nas wszystkich czasem bogatym w nowe, ważne odkrycia, niezwykle doświadczenia, ale jednocześnie niech przyniesie również spokój i tak przez wszystkich upragnione w ostatnim czasie zdrowie i poczucie bezpieczeństwa.

Z wyrazami szacunku
Zarząd Wydawnictwa Naukowego PWN

Jarosław Szaliński
Natalia Wojciechowska
Anna Lubczyńska-Lafuente
Monika Zderkiewicz




Czytaj nowości PWN i PZWL za darmo!

Dołącz do naszej społeczności i uzyskaj bezpłatny dostęp do pakietu wykładowcy

CO OTRZYMASZ W PAKIECIE WYKŁADOWCY?




Bezpłatny 30-dniowy dostęp do księgozbioru PWN i PZWL
w e-czytelni IBUK Libra



Po tym okresie – dostęp do nowości z ostatniego miesiąca



Rabat -25% na książki papierowe i 30% na e-booki



Dostęp do dodatkowych materiałów w Newsletterze
(webinary, e-booki, prezentacje)



Zarejestruj się na:
wykladowca.pwn.pl

Rozmowa z prof. Jackiem Popielem, rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, wiceprzewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich

Ewaluacja, pieniądze i etyka

Gdy dostaliśmy pod koniec lipca decyzje o kategoriach naukowych, to przez pierwsze dni nie dowierzałem. Cieszę się z czterech dyscyplin w kategorii A+ i siedmiu w A, ale ranga uniwersytetu w zakresie badań naukowych nie pozwala mi przyjąć do wiadomości, że aż 17 dyscyplin dostało tylko kategorię B+.

Ostatnio pokazał pan, jak dramatycznie w roku 2023 miałyby wzrosnąć ceny energii, a tym samym koszty funkcjonowania uniwersytetu.

Jeszcze we wrześniu tego nie przewidywałem. Byłem chyba pierwszym rektorem, który dostał informację z przetargu na dostawy energii na kolejny rok. Nasza umowa na rok 2022 opiewała na kwotę prawie 26 milionów złotych, natomiast przedstawiona nowa oferta na rok 2023 opiewała na 181 milionów 696 tys. zł, czyli w stosunku do poprzedniej była wyższa o 154 miliony. W dotychczasowym kontrakcie płaciliśmy 512,60 zł netto za megawatogodzinę, tymczasem nowa oferta przewidywała koszt 3 419 zł netto za megawatogodzinę, czyli niemal siedem razy więcej. Oznaczało to, że na samą energię musimy przeznaczyć prawie 20 procent subwencji. Podjąłem decyzję, że w tej sytuacji nie mogę podpisać kontraktu, bo nie mamy na to środków. Jednym z pomysłów, który nam przyszedł do głowy, było stworzenie grupy zakupowej. Kiedyś już zastanawialiśmy się nad takim rozwiązaniem, ale okazało się, że jesteśmy tak poważnym odbiorcą energii, że nie potrzebujemy wiązać się z kimkolwiek, żeby negocjować lepsze ceny. Teraz zaczęliśmy rozważać takie rozwiązanie. W trakcie toczonych w UJ rozmów na ten temat pojechałem na posiedzenie podkomisji sejmowej, które miało dotyczyć problemów wynagrodzeń w szkolnictwie wyższym. Byłem przekonany, że po wystąpieniach rektorów Arkadiusza Mężyka i Stanisława Mazura, którzy mówili o sytuacji finansowej polskich uczelni w kontekście wynagrodzeń pracowników, powinienem poruszyć także kwestię wzrostu kosztów energii. Przecież na jakiegokolwiek zmiany w rozdyponowaniu środków z subwencji w obrębie uczelni w znaczący sposób wpływają koszty utrzymania infrastruktury. Przekazana przeze mnie informacja o otrzymanej ofercie spowodowała niedowierzenie. Pokazałem dokumenty przetargowe obecnemu na posiedzeniu podkomisji sejmowej ministrowi Wojciechowi Murdzkowi. Dość szybko otrzymaliśmy od władz naszego resortu informację, że rozważane przez rząd wprowadzenie ceny regulowanej na poziomie 618,24 zł za megawatogodzinę dla tzw. odbiorców wrażliwych będzie dotyczyć także szkolnictwa wyższego. To byłoby dobre rozwiązanie dla uczelni. Umowę na taką kwotę każdy rektor podpisze. Jest tylko pytanie, czy jeśli rząd wprowadzi takie rozwiązanie, to firma, która dotychczas dostarczała nam energię, podpisze z nami umowę na taką cenę.

Mówi się o przejściu na zdalne nauczanie w celu wprowadzenia oszczędności w funkcjonowaniu uczelni.

Do końca roku mamy zaplanowany semestr w normalnym, stacjonarnym trybie, z kilkoma wyjątkami w okresach okołowieśniowych, w których przewidujemy kilkudniowe sesje zdalnego kształcenia. O jakimś dalszym trybie oszczędnościowym musimy myśleć tak czy inaczej. Przygotowujemy się na to, że dydaktyka

będzie realizowana w trybie stacjonarnym tylko przez cztery dni w tygodniu - od poniedziałku do czwartku. Weekendy byłby wolne od kosztów utrzymania budynków. Chcemy, żeby zajęcia dydaktyczne odbywały się do godziny osiemnastej, aby wyeliminować najbardziej energochłonną porę doby. Przekazałem też zalecenie dziekanom, aby studia podyplomowe i niestacjonarne odbywały się co dwa tygodnie. Mamy na tyle duże zaplecze dydaktyczne, że możemy je zrealizować w ten sposób.

Jakiego rzędu oszczędności by to dało?

Myszę, że chodzi o 8-10 procent.

Czy te propozycje wynikają z doświadczeń z okresu pandemii?

Zamknięcie uczelni dało wówczas pewne oszczędności. Jednak po dwóch latach zamknięcia i komunikacji zdalnej chcielibyśmy utrzymać kontakt studentów z nauczycielami akademickimi, który dopiero co przywróciliśmy. W obecnym semestrze przewidujemy tylko część wykładów w formie zdalnej. Są one przygotowane bardzo profesjonalnie, a dają tę korzyść, że student może w dowolnej chwili wrócić do zajęć i ponownie je otworzyć. Musimy przeprowadzić poważny audyt dotyczący liczebności grup studenckich na zajęciach. Chodzi o to, żeby liczyły minimum 15 – 20 osób, zależnie od charakteru przedmiotu. Na pewno takie ograniczenia nie będą dotyczyły seminariów magisterskich, gdzie pożądana jest relacja nauczyciel – student. Chodzi też o to, żeby nie było „studentów na legitymację”, czyli takich, których nie ma na zajęciach w ciągu roku, zjawiają się po to, żeby odebrać legitymację, a potem zaliczają tylko niektóre zajęcia i egzaminy.

Czy określenia „nauczyciel – student” użył pan celowo?

Tak. W ostatnich kilkudziesięciu latach poszliśmy za bardzo w masowe kształcenie i tylko w nielicznych sytuacjach można dziś mówić o relacjach mistrz – uczeń w tradycyjnym akademickim rozumieniu tych słów. Uniwersytet Jagielloński powoli odchodzi od masowości kształcenia, określając limity przyjęć na studia na poziomie 30 procent punktów na maturze rozszerzonej. Nie chcemy przyjmować uczniów zdających maturę na poziomie podstawowym. Żeby być przyjętym na niektóre kierunki, trzeba mieć z wybranych przedmiotów na maturze znacznie powyżej 90 procent punktów.

Rozumiem, że zmniejszacie liczbę studentów.

Tak. Nie mamy pretensji, gdy na jakimś kierunku limit przyjęć nie zostanie wypełniony. Takie sytuacje zdarzają się jednak rzadko. Wiele kierunków jest obleganych, np. informatyka, prawo,

psychologia, medycyna, filologie: angielska i orientalna, zatem wypełnienie limitu przyjęć nie jest trudne. Natomiast coraz mniej jest chętnych na płatne studia niestacjonarne. U nas cierpią na tym m.in. prawnicy, którzy zawsze mieli spore przychody z kształcenia niestacjonarnego. To wpływa także na zmniejszenie dochodów własnych uczelni. Rozpoczęliśmy 659 rok akademicki z niepewnością co do naszej przyszłości finansowej.

O ile dobrze pamiętam raport Uniwersyteckiej Komisji Finansów, UJ miał w 2021 roku znakomity wynik finansowy.

To prawda, bardzo dobry - 121 milionów złotych na plusie. To jednak wynikało z pewnych niezrealizowanych inwestycji. Poza tym zbieramy środki na przedsięwzięcia, których nie mamy szans sfinansować z zewnętrznych źródeł, np. rozbudowę Małopolskiego Centrum Biotechnologii, jednostki strictly badawczej, czy infrastruktury Wydziału Filologicznego na ul. Krupniczej. Będziemy tam mieli piękny kompleks: Auditorium Maximum, Nowe, Stare i Małe Paderevianum, budynek Wydziału Prawa i Administracji. Mamy także nieprzewidziane duże wydatki z zabezpieczeniem kilku budynków zaporami przeciwwalowymi, jako konsekwencje ubiegłorocznych gwałtownych opadów, pierwszych w tej skali od ponad czterdziestu lat. Wzrost cen materiałów i usług budowlanych bardzo w nas uderzył. Mimo świetnego wyniku w ubiegłym roku, na ten rok zaplanowaliśmy tylko 5 milionów złotych na plusie, czyli ledwie domykamy budżet. Nie wyobrażam sobie 2023 roku przy tych nowych cenach energii.

Wiele uczelni cieszyłoby się z pięciu milionów w dodatnim bilansie rocznym.

Jednak skala Uniwersytetu Jagiellońskiego jest inna niż większości polskich uczelni i pięć milionów złotych to naprawdę drobna część naszego budżetu, który z innymi przychodami, m.in. z realizacji krajowych i międzynarodowych projektów badawczych, wynosi ponad półtora miliarda złotych. Zakładaliśmy taki zysk, licząc się z podwyżkami kosztów, w tym cen energii, ale nie aż na takim poziomie, z jakim mamy do czynienia. Jest też poważny problem z płacami. Mieliliśmy nadzieję, że każdego roku nastąpi nowelizacja rozporządzenia o wysokości minimalnego miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego profesora. Planowano przecież z okazji wprowadzania tzw. Ustawy 2.0, że pensja profesora tytularnego wyniesie trzykrotność minimalnego wynagrodzenia w Polsce. Wynagrodzenie profesora jest dla rektorów podstawą do naliczania wynagrodzeń pozostałych pracowników akademickich i stypendiów w szkołach doktorskich. Tymczasem ta kwota nie jest zmieniana od 2018 roku, a pierwszego lipca 2023 roku minimalne wynagrodzenie za pracę ma wynieść 3 600 złotych. Wiele uczelni czeka na podwyżki, wyrównania do płacy minimalnej, na które na razie nie mają pieniędzy. Podwyżka o 4,4 procent nie wygląda poważnie w świetle wysokości inflacji (dane z października mówią już o 17,2 %). Minister zapowiedział też kolejną podwyżkę w przyszłym roku o 7,8 %, co ma dać w sumie 12,2 procent. Chcielibyśmy mieć formalne potwierdzenie nawet tych skromnych podwyżek, żeby odpowiedzialnie w uczelniach podejmować decyzje dotyczące płac.

Dla uczelni badawczych dojdą też, jak co roku, obligacje skarbowe o wartości 500 milionów złotych.

Są pewne ograniczenia w swobodzie dysponowania tymi środkami. Mimo że wchodzi do subwencji, to jednak są to pieniądze znaczone - powinny być wydane na projekty, które zapisaliśmy w umowie z ministerstwem, dotyczącej konkursu IDUB. Na dodatek, przy obecnym poziomie cen obligacji, wcale nie jest oczywiste, że opłaca się je natychmiast sprzedawać. W chwili rozpoczęcia realizacji programu IDUB byliśmy zaskoczeni informacją, że to będą obligacje, a nie gotówka. Na początku ich sprzedaż była



Prof. **Jacek J. Popiel** (ur. w 1954 r.) jest literaturoznawcą i teatrologiem, związanym z Uniwersytetem Jagiellońskim, a wcześniej także z Akademią Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego; wykładał też na Politechnice Krakowskiej. W AST - wówczas Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Ludwika Solskiego - był dziekanem Wydziału Aktorskiego i, przez dwie kadencje, rektorem. Na UJ pełnił funkcję dyrektora Instytutu Polonistyki, dziekana Wydziału Polonistyki, prorektora ds. polityki finansowej i kadrowej, a od 2020 r. jest rektorem najstarszego polskiego uniwersytetu. Jest autorem ponad 200 prac, w tym sześciu książek, i redaktorem kolejnych kilkunastu tytułów. Zajmuje się historią teatru i dramatu w XIX-XXI wieku; pisze scenariusze i sztuki teatralne. Jest członkiem korespondentem PAU i Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Był wiceprzewodniczącym KRUA i członkiem Rady NPRH. Jest wiceprzewodniczącym KRASP i przewodniczącym Kolegium Rektorów Szkół Wyższych Krakowa.

jednak korzystna. Teraz może być inaczej, bo spodziewamy się, że ich kurs będzie poniżej naszych oczekiwań, a zatem czekają nas trudne decyzje z tym związane. Jeśli nie sprzedamy teraz obligacji, to z normalnej subwencji musimy finansować zadania IDUB. I pragnę dodać, że po pierwszym roku funkcjonowania Inicjatywy Badawczej dokonaliśmy w ramach obowiązującej umowy pewnych modyfikacji. Skupiliśmy się przede wszystkim na finansowaniu kilkunastu dużych flagowych projektów badawczych. Na uniwersytetach wielodziałowych, jak UJ, bardzo trudno było opracować programy integrujące czy włączające całą społeczność naukową. Mamy 28 dyscyplin i sensowne rozdysponowanie tych środków, aby spełnić wymogi, czyli przekazać je na badania międzydyscyplinarne, które integrują nasze dyscypliny i kierunki badań, wcale nie jest łatwe. Łatwiej to zrobić na uczelniach, prowadzących badania w niewielu dziedzinach, czyli medycznych i technicznych. Odrębną sprawą jest to, na ile struktura wydziałowa, utrzymana w uniwersytecie, jest dobrym rozwiązaniem.

Po wprowadzeniu możliwości dowolnego kształtowania struktury uczelni te największe pozostały przy tradycyjnych rozwiązaniach. Czy mam rozumieć, że utrzymanie struktury wydziałowej Uniwersytetu Jagiellońskiego uważa pan za chybioną decyzję? Dlaczego?

To był jeden z najbardziej gorących fragmentów dyskusji nad nowym statutem. Byłem wówczas prorektorem ds. polityki

kadrowej i finansowej. Mój ówczesny przełożony, profesor Wojciech Nowak, rektor UJ, powierzył mi zadanie stworzenia tego dokumentu. Odbywały się intensywne konsultacje ze społecznością akademicką, z Senatem UJ, związkami zawodowymi i Radą Uczelni. Rozwiązanie, które przyjęliśmy, było wynikiem kompromisu, gdyż mieliśmy świadomość, że statut musi uzyskać akceptację tych wszystkich gremiów. Ostateczną decyzją należała do rektora Wojciecha Nowaka. W pierwszym etapie dyskusji skłanialiśmy się do utworzenia kilku szerokich interdyscyplinowych, a nawet międzydziedzinowych kolegiów – na wzór Collegium Medicum, struktury, z którą zdążyliśmy się przez lata na Uniwersytecie Jagiellońskim oswoić. Zatem nie byłaby to dla nas całkowita nowość. Utworzenie kolegiów, w połączeniu ze zmianą sposobu zarządzania finansami, polegającą na oddaniu kontroli nad pieniędzmi prorektorom odpowiedzialnym za kolegia, byłoby naprawdę głęboką, wręcz kołłątajowską reformą Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przed laty prof. Franciszek Ziejka, jako rektor UJ, podjął historyczną decyzję o decentralizacji finansów UJ, która poszła tak daleko, że pieniądze dzielone były między jednostki uniwersytetu na podstawie algorytmu, a dysponentami środków byli dziekani wydziałów. Gdy powstawał nowy statut, nie przewidywałem udziału w wyborach rektorskich. Podjąłem taką decyzję dopiero za namową dziekanów i rektora Nowaka dosłownie w ostatnim momencie. Gdybym wiedział, że to nastąpi, być może naciskałbym na inne rozwiązania organizacyjne i zarządcze niż te, które przyjęliśmy. Wiem, że tym, co powiem, narażę się dziekanom, jednak dziś, po dwóch latach na stanowisku rektora UJ, uważam, że tak głęboka decentralizacja finansów i zarządzania uczelnią nie jest we wszystkich wymiarach uzasadniona.

W perspektywie kilku lat decentralizacja finansowania przynosiła znaczącą racjonalizację wydatków i poważne oszczędności.

To prawda. Tak stało się i u nas. Pamiętam naradę, podczas której przedstawiciel Uniwersytetu Łódzkiego zapowiedział wdrożenie decentralizacji finansów. Byłem wówczas pierwszym, który powiedział: uważajcie, bo to przynosi oszczędności tylko na początku. Dziekani czują się odpowiedzialni za pieniądze i zaczynają oszczędzać, wprowadzać rozwiązania, które dyscyplinują wydatki. Jednak możliwości tego systemu szybko się wyczerpują. Mam wrażenie, że łatwiej jest zarządzać finansami wydziałów ścisłych. W tych naukach jest mnóstwo dużych grantów, za którymi płyną na wydziały spore koszty pośrednie. Natomiast w naukach humanistycznych i społecznych jest znacznie gorzej. Mamy tam granty z NCN i NPRH, ale nawet jeśli jest ich sporo, to są niewielkie, a zatem pieniądze, które trafiają na wydział, są nieduże. W tej chwili w najbardziej dramatycznej sytuacji finansowej znajdują się wydziały humanistyczne i społeczne UJ. W algorytmie, według którego rozdzielamy subwencję pomiędzy wydziały, a który jest przeniesieniem algorytmu ministerialnego na poziom uczelni z uwzględnieniem kategorii naukowej wydziału, jednostki humanistyczne wypadają słabo. Mamy 8 wydziałów, które funkcjonują bardzo dobrze pod względem finansowym, 5 na średnim poziomie i 3 z zagrożeniem. Moją największą troskę budzą wydziały: filologiczny, polonistyki oraz studiów międzynarodowych i politycznych. Różne są tego przyczyny. W wyniku reformy, w miejsce specjalizacji weszły autonomiczne kierunki. To doprowadziło do wzrostu liczby zajęć. Dawniej odbywały się one wspólnie dla ogólnego, masowego kierunku, a teraz są prowadzone dla mniejszych grup na poszczególnych kierunkach, zatem są multiplikowane. Korzystają na tym wykładowcy, którzy mają więcej godzin, w tym nadliczbowych. Ja, humanista, głosząc niepopularny w naszym środowisku pogląd, że na studiach pierwszego stopnia, zwłaszcza na pierwszym roku, który ma charakter selekcyjny, mógłby być pewien blok przedmiotów wspólnych, a dopiero później dochodziłyby przedmioty specjalizacyjne. Oczywiście wspomnianej

tendencji uczelnie nie musiały podlegać, ale pojawiły się naciski wewnątrz wydziałów, co powiązane było z małą liczbą chętnych na niektóre kierunki. Spodziewano się ożywienia naborów poprzez studia od początku specjalistyczne. I znowu, to się sprawdziło tylko w pierwszym, rzadziej drugim roku. Potem nowe kierunki traciły na atrakcyjności, ale były już sylabusy, wykładowcy z odpowiednimi godzinami w pensum, i trudno było wrócić do poprzedniego stanu. Zachęcam dziekanów, żeby pomyśleli o kumulowaniu zajęć, żeby nie było godzin ponadwymiarowych, bo w skali uczelni wydamy na nie w tym roku ok. 10 milionów złotych. To dużo. Poza tym mamy wydatki związane z realizacją umów cywilnoprawnych. Różnego rodzaju oszczędności - godziny ponadwymiarowe, umowy cywilnoprawne, energia i inne - skumulowane, mogłyby dać pokaźną kwotę, która trafiłaby na wydziały do dyspozycji dziekanów. Wówczas można rozważyć projekt przeznaczenia tych środków na zwiększenie wynagrodzeń zasadniczych. Sytuacja, gdy pracownicy mają niskie wynagrodzenia, a rektor nie dysponuje środkami na podwyżkę płac, jest bardzo niekomfortowa. Gdy deficyty na wydziałach rosną, kolegium rektorskie musi zastanowić się, czy nie wprowadzić zarządów komisarycznych.

Ma pan takie prawo jako rektor?

Tak. Ustawa przecież tego nie zabrania. Gdy uczelnia przez kilka lat z rządu przekracza określony poziom strat, minister może wprowadzić program naprawczy. Na uczelni, zorganizowanej tak jak obecnie UJ, takie prawo musi mieć rektor. Mam taką perspektywę przed oczami. Prorektor UJ ds. polityki kadrowej i finansowej, prof. Piotr Jedynak, przedstawia dziekanom wydziałów zagrożonych deficytem taką wizję. Dziekani patrzą na finanse kategoriami swoich wydziałów, a ja muszę patrzeć na to i myśleć o tym w kategorii całego uniwersytetu. Byłem dziekanem w czasach, kiedy w trudnych rozmowach udało się doprowadzić do zmiany uniwersyteckiego algorytmu podziału budżetu, która w tamtym czasie ocaliła wydziały humanistyczne i społeczne. Przekonaliśmy dziekanów wydziałów ścisłych i przyrodniczych, że humanistyka jest ważna dla uniwersytetu. Zmiany dotyczyły czynnika kadrowego, studenckiego i związanego w kosztami utrzymania budynków. Tak się składa, że większość wydziałów społecznych i humanistycznych ma szereg budynków, często zabytkowych, w różnych okolicach, a zatem trudnych do zarządzania.

Czy nie można tego zmienić, tak jak zrobiliście z siedzibami nauk przyrodniczych?

Mamy i chcemy mieć część uniwersyteckich budynków w samym centrum miasta, w obrębie krakowskich Plant. Uniwersytet powinien być obecny tu, w historycznym centrum Krakowa, nie tylko poprzez zabytkowe budynki Collegium Maius i Collegium Novum, ale prowadzenie tu normalnej dydaktyki i badań naukowych. Trudno było w zabytkowych obiektach utrzymać nowoczesną aparaturę nauk przyrodniczych, ścisłych, ale humanistyka i prawo mogły tu pozostać, i dobrze, że tak się stało. Prawnicy, poloniści, historycy są bardzo przywiązani do swoich historycznych siedzib. Wróć jeszcze do sytuacji finansowej humanistyki. Dziś badaczowi z tego obszaru nie wystarczy kartka papieru, pióro i dostęp do biblioteki. Odsetek humanistów, którzy mogą wspomagać pensję zasadniczą z grantów, jest niewielki. Jestem przeciwnikiem pracy na dwóch etatach. Nauczyciel wliczony do liczby N powinien skupić się na badaniach i dydaktyce, a nie dojeżdżać do pracy przez ileś godzin w tygodniu. Za to na tym jednym etacie powinien mieć godne wynagrodzenie. Oczywiście niektórzy zdobywają poważne granty. Mamy na UJ 6 grantów ERC, w tym także w obszarach nauk humanistycznych i społecznych, a za chwilę będziemy mieli siódmy. To efekt naszych decyzji o wspomaganiu przez Centrum Badań Naukowych osób, które chcą te granty użytkować. Uważam, że z punktu widzenia uniwersytetu łatwiej jest

realizować grant w obszarach HS niż w naukach ścisłych i przyrodniczych, gdzie jest kwestia posiadania laboratorium, urządzeń, na których można projekt zrealizować. Myśmy jeden grant w ten sposób stracili, bo pracownik, który go uzyskał, poszedł z nim do Oxfordu, właśnie z powodu braku aparatury w Polsce.

Czy to, że jesteście uczelnią badawczą, poprawiło sytuację finansową i w zakresie badań?

Na pewno tak, ale skala tych dodatkowych środków nie jest wielka. Na dodatek to, że je otrzymujemy, blokuje wzrost subwencji wynikający z algorytmu. Co prawda w ostatnich latach jego działanie zostało ograniczone, gdyby jednak algorytm działał, to wzrost subwencji o 6 procent rok do roku dałby nam większą korzyść niż środki z obligacji; również w tym sensie, że środkami z subwencji, wynikającymi z algorytmu, możemy dowolnie dysponować. Obecnie jednak subwencja nie wzrasta tak, jak powinna, a środki z obligacji tracą wartość. W planie rzeczowo finansowym na rok 2022 nasz budżet wynosi niemal 1,6 miliarda złotych, czyli oprócz subwencji w wysokości ponad 900 milionów, zdobywamy do budżetu ponad 600 milionów środków zewnętrznych, konkursowych. Jest w tym też jakiś procent wpływów z opłat za ponadstandardowe usługi edukacyjne. To pokazuje skalę działania uczelni, ale równocześnie skalę ryzyka. Każdy projekt może się udać lub nie. A gdyby przyszło zwracać środki, które zaplanowaliśmy w budżecie? Mieliśmy już takie, na szczęście nieliczne, przypadki, i nie były to bardzo duże granty. W UJ sporo osób jest zatrudnionych przy realizacji projektów, czyli na czas określony, i finansowanych ze środków grantowych. To dobrzy naukowcy, powiązani zwykle z centrami badawczymi, takimi jak Solaris, Małopolskie Centrum Biotechnologii, Centrum Badania Leków. Dla nich koniec grantu wiąże się z ogromną niepewnością, co będzie dalej. Wyzwaniem dla uniwersytetu jest utrzymanie tych doświadczonych naukowców do momentu otrzymania kolejnego grantu, mimo że częstokroć w budżecie nie mamy na to środków.

Jaki procent nauczycieli akademickich UJ wchodzi do liczby N w ewaluacji?

Ponad 90 procent.

Dużo.

Na pewnej konferencji przedstawiano dane na ten temat. Wtedy prof. Alojzy Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, który też ma ten wskaźnik na wysokim poziomie, ale jednak niższym niż my, powiedział do mnie: „Nie zazdroścę ci”. To są pracownicy albo na etatach badawczych, albo badawczo-dydaktycznych. Nie w pełni zgadzam się z konkluzją prof. Błażeja Skoczenia (wyrażoną we wrześniowym FA – red.), że liczba N nie odgrywa większej roli w wynikach ewaluacji. Moim zdaniem, wpływa na nie zasadniczo przy dużych grupach osób zaliczonych do dyscypliny. Gdy dostaliśmy pod koniec lipca decyzje o kategoriach naukowych, to przez pierwsze dni nie dowierzałem. Cieszę się z czterech dyscyplin w kategorii A+ i siedmiu w A, ale ranga uniwersytetu w zakresie badań naukowych nie pozwala mi przyjąć do wiadomości, że aż 17 dyscyplin dostało tylko kategorię B+. Oczywiście w tej sytuacji nie tracimy uprawnień (UJ w wyniku kategoryzacji zyskał jedno nowe uprawnienie do doktoryzowania i 3 do habilitowania – red.), ale to za mało jak na naszą pozycję i ambicje. Mając świadomość, że będziemy się odwoływać – a odwołaliśmy się od wyników osiemnastu dyscyplin – powiedziałem wprost: żeby merytorycznie odwołać się od tych decyzji, powinniśmy znać szczegółowe wyniki w każdej z dyscyplin.

Profesor Jerzy Pisuliński, dziekan Wydziału Prawa i Administracji, wysłał prośbę o udostępnienie tych wyników w drodze dostępu do informacji publicznej. Na odwołanie mieliśmy 30 dni, a odpowiedź z ministerstwa przyszła kilka dni po terminie. Uwa-

żam, że rektorzy na stronach internetowych uczelni mogliby udostępnić wszystkie decyzje, które otrzymali z ministerstwa. Tam są dokładne opisy każdego kryterium. W pierwszym liczba N, zwłaszcza gdy jest duża, ma znaczenie. Podobnie mała liczba osób zaliczonych do N w uczelniach, które w trakcie procesu ewaluacji sporą część pracowników ze słabszymi wynikami publikacyjnymi przenieśli na etaty dydaktyczne, miała wpływ na końcowy rezultat. Inaczej się dzieli dorobek pomiędzy dwudziestu wybranych pracowników, a inaczej pomiędzy dwustu, trzystu, czterystu, jak to bywa na UJ. Myśmy takich zabiegów nie stosowali, ponieważ mamy przekonanie, że nauczyciel akademicki powinien uczestniczyć w badaniach, że tylko czynny badacz może przekazywać studentom bieżącą wiedzę na temat tego, co się dzieje w przedmiocie określonego wykładu. Pierwsze kryterium wymaga głębokiej analizy przed następną ewaluacją. W każdej dyscyplinie jest grupa badaczy, która mogłaby pokazać znacznie więcej niż na to pozwalają sloty. To niepotrzebne ograniczenie. Międzynarodowe rankingi pokazują polską naukę inaczej niż wyniki ewaluacji, a to jest istotne kryterium porównawcze. Zastanawiam się czy podział dyscyplin jest dobry z punktu widzenia badań interdyscyplinarnych. Czy w przypadku humanistyki nie byłby lepszy model ewaluacji dziedzinowej? To bardzo dziwne, że polonista musi wybrać, czy należy do dyscypliny literaturoznawstwo, językoznawstwo, nauki o sztuce, czy może do nauk o kulturze i religii. Najważniejsze jest jednak, abyśmy zawczasu znali zasady kolejnej oceny. Mija rok nowego okresu oceny, a nie wiemy, jak dorobek z tego czasu będzie ewaluowany.

Kolejny problem to czasopisma drapieżne na listach ministerialnych. W niektórych dyscyplinach miały na końcowe wyniki większy wpływ, niż periodyki wprowadzone na listę przez ministra Przemysława Czarnka w ostatniej chwili. Nie mam nic przeciwko temu, żeby na liście ministerialnej było więcej polskich czasopism, nawet o niszowym oddziaływaniu. Musimy przedyskutować nie tylko pewne konkretne rozwiązania, ale także etyczne podstawy ewaluowania nauki.

Czy UJ jest przygotowany na rozwiązywanie takich problemów jak mobbing, który został ujawniony w Instytucie Historii Sztuki?

Uniwersytet Jagielloński dysponuje narzędziami, umożliwiającymi sprawne reagowanie w przypadku tego rodzaju incydentów. Przepomnę, że w 2014 roku wdrożona została procedura antymobbingowa, dwukrotnie później nowelizowana, a w 2021 roku, już w trakcie mojej kadencji, działalność rozpoczęło Biuro Rzecznika Praw i Wartości Akademickich. W przypadku wydażeń, o które pan pyta, władze uczelni reagowały niezwłocznie, wyznaczając do ich zbadania prorektora ds. polityki kadrowej i finansowej oraz prorektora ds. dydaktyki. Podjęli oni działania, które pozwoliły ustalić, do jakich nieprawidłowości dochodziło w przeszłości w Instytucie Historii Sztuki. Na tej podstawie zastosowano odpowiednie środki zaradcze, które uzyskały akceptację społeczności studentów instytutu. O wszystkich tych posunięciach na bieżąco informowałem Rzecznika Praw Obywatelskich, który interweniował w tej sprawie. Zapewniam, że sytuacja w Instytucie Historii Sztuki UJ pozostaje przedmiotem mojej głębokiej, osobistej troski i jakkolwiek udało się ją, w moim przekonaniu, skutecznie wyjaśnić, to nie uważam jej bynajmniej za niebyłą. Przeciwnie, zamierzam ją w dalszym ciągu uważnie obserwować. Zaręczam, że tak postępuję zawsze z każdą ze spraw, z którymi zgłaszają się do mnie członkowie społeczności Uniwersytetu Jagiellońskiego. O tym, że wszystkie sygnały o potencjalnych nieprawidłowościach, które do mnie docierają, traktuję za każdym razem z należytą uwagą, mówilem zresztą w wystąpieniu, które wygłosiłem podczas inauguracji roku akademickiego 2022/2023. Z tej deklaracji się nie wycofuję.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Nauka i sztuka

Prawda i piękno

Tego rodzaju postawę śmiało możemy określić mianem kognitywizacji sztuki. Innymi słowy, wedle Leonarda da Vinci, niepodobna być artystą bez gruntowej znajomości przyrodznawstwa.

Istnieje powszechne przekonanie co do tego, że naukę i sztukę dzieli głęboka przepaść, a nawet wzajemne wykluczenie. Przekonanie owo bierze się głównie z tego powodu, że celem nauki (szczególnie w naukach przyrodniczych) jest jej praktyczny wymiar, nauka kieruje się też powszechnie przyjętymi zasadami, metodami, które stosuje, oraz uniwersalnym językiem, zaś sztuka, jako domena wolnej twórczości, funkcjonuje w obrębie wyobraźni, dlatego wręcz niezbędnym elementem w działalności twórczej jest zarówno talent, jak i natchnienie.

Powody oddzielenia nauki i sztuki wydają się wielorakie, ale warto zwrócić uwagę na dwa momenty historyczne, filozofię Kartezjusza i teoretyczne założenia awangardy artystycznej.

Siedemnastowieczna filozofia kartezjańska zdecydowanie oddzieliła od siebie poznanie umysłowe, jako poznanie jasne i czyste, w którym wyłącznym arbitrem jest rozum, od poznania zmysłowego, niepewnego i mętnego. W konsekwencji tak przyjętych założeń domeną nauki opartej na poznaniu intelektualnym jest to, co zwiemy nauką, zaś idee niejasne, zdobywane za pomocą poznania zmysłowego, pozostają w sferze działalności artystycznej, która w dużej mierze funkcjonuje w obrębie kolorów, kształtów czy dźwięków. Kartezjański dualizm zakładał też konsekwentnie, że sztuka, której operatywem są subiektywne wrażenia, nie może dotrzeć do prawdy, takowa jest dostępna wyłącznie w poznaniu czystym, bez pośrednictwa zmysłów, które nas potrafią mamić i łudzić. Dlatego, w przekonaniu Kartezjusza, poznanie zmysłowe skażone jest subiektywizmem i względnością sądu, tym samym nie może być poznaniem naukowym. Tak więc filozofia kartezjańska, będąca rezultatem przyjęcia określonej metody, zakładającej dualizm materii i umysłu, ufundowała powszechne przekonanie o dwu niezależnych światach: nauki i sztuki. To radykalne oddzielenie świata nauki od świata sztuki zakładało daleko idące konsekwencje, przede wszystkim ustawienie twórczości artystycznej poza granicami kryteriów intelektualnych, sytuując ją w obrębie intuicji i wyobraźni. Silna opozycja domeny rozumu (nauki) i wyobraźni (sztuki) pozbawiła w pewnym wymiarze sztukę możliwości poznawczych, co w konsekwencji spowodowało, że sztuka jako taka nie jest w stanie dotrzeć do idei prawdy. Echem kartezjańskich założeń był późniejszy empiryzm, który zakładał, że poznanie naukowe winno być ograniczone wyłącznie do rezultatów uzyskanych na drodze

doświadczeń i stronić powinno od wszelkich założeń metafizycznych czy intuicyjnych.

Kartezjański dualizm, w pewnym wymiarze, został przypieczętowany przez Wielką Awangardę artystyczną, która co prawda pod względem programowym była dość zróżnicowana, lecz podzielała wspólne przekonanie, że racjonalna eksploracja świata widzialnego przez akty twórcze jest bądź wyczerpana, bądź po prostu niemożliwa. Dlatego w sztukach plastycznych awangarda porzuca figuratywność na rzecz wartości abstrakcyjnych, zamiast eksploracji i twórczego komentarza do widzialnego przedmiotu sztuka poszukuje wartości w samym akcie twórczym, w eksploracji stanów emocjonalnych artysty itd. Tak więc sztuka Wielkiej Awangardy, jak i jej późniejsi spadkobiercy w ruchach neoawangardowych, porzucają świat widzialny jako ten, który można poznawczo eksplorować i wyszukiwać w nim piękno. Wszelkie działania artystyczne w duchu awangardy stroniły od klasycznych rozwiązań, stawiały bardziej na działania spontaniczne, przypadkowe i intuicyjne.

Pod kątem tego, co wspólne

Warto jednak pamiętać, że relacja między sztuką a nauką nie była historycznie relacją niechęci czy wykluczenia, wręcz przeciwnie. Już od czasów antycznych zarówno sztuki plastyczne, jak i muzyka posiłkowały się pojęciami zaczerpniętymi z matematyki i za ich pomocą starały się rozwiązywać fundamentalne problemy estetyczne, jak na przykład zagadnienie piękna. Warto też pamiętać, że podczas formowania się nauki w Starożytnej Grecji ważnym czynnikiem była obserwacja przyrody pod kątem tego, co wspólne w różnorodności jej przejawów. I tak jedną z pierwszych koncepcji wydobytych z obserwacji przyrody była koncepcja harmonii, porządku i ładu. Koncepcja ta, odwołująca się do archetypu matematycznego, przenoszona była z kolei na świat sztuki. Greckie przekonanie o archetypowości bytów matematycznych dla wszystkich bytów (w tym również artefaktów) widoczne było przede wszystkim u pitagorejczyków. Pitagorejczycy poszukując pierwotnej zasady kierującej wszechświatem, wskazywali na liczbę (jako zasadę formalną). Liczba wedle nich stanowiła zatem najdoskonalszy byt i warunkowała harmonię i ład przyrody, skrywała się też za tajemnicą piękna. Liczba manifestowała się we wszystkich zjawiskach, sztuka zaś, rozumiana jako naślado-

wanie natury, również miała strukturę matematyczną, a więc idea mówiąca o tym, że własności estetyczne zależą od własności matematycznych, została wtedy przyjęta jako obowiązująca. Dlatego też początki nauki greckiej mają charakter poznawczo-estetyczny, wskazując na silny związek nauki i sztuki.

Tego rodzaju badania empiryczno-estetyczne podawane były w charakterze obiektywnym i powszechnie ważnym, gdyż postulowano, że własności rzeczy pięknych wytłumaczyć można za pomocą czystej matematyki, bo na bytach matematycznych wzoruje się natura. Antyk wypracował wręcz swoisty wzorzec matematyczny, który zastosowany w sztuce daje gwarancję piękna. Widać to szczególnie dobrze na przykładzie tzw. złotego podziału, boskiej proporcji lub złotego cięcia, które polega na podziale odcinka na dwie części, pozostające względem siebie w proporcji harmonicznej (czyli podział odcinka na dwie części tak, by stosunek długości dłuższej z nich do krótszej był taki sam, jak całego odcinka do części dłuższej). Zasada ta, znana i stosowana od starożytności (znali, analizowali i stosowali ją pitagorejczycy, opisywał Platon w dialogu *Timajos*, zaś pierwsze sformułowanie matematyczne podał Euklides), poddana została drobiazgowej analizie w renesansie, gdy jako teoretyczna podstawa piękna została szeroko zastosowana w sztuce (widoczne jest to szczególnie w tym, co zwiemy kompozycją, czyli układem elementów zestawionych ze sobą w taki sposób, aby tworzyły harmonijną całość). Warto zwrócić uwagę na to, że matematyczna zasada złotego środka była odbiciem głębokiego przekonania, które od czasów starożytnych po renesans świadczyło o harmonijnej i dającej się wyrazić w języku matematyki idei piękna, przekonania, że proste liczbowe proporcje, są fundamentem budowy świata.

Z przyjęciem postulatu o obiektywności piękna związane jest powstanie kanonu, czyli matematycznego wzorca, na podstawie którego tworzone reguły i metody wytwarzania artefaktów. Wprowadzenie kanonów sztuki również wynikało z powszechnej wiary w matematyczną strukturę całego bytu i by zbliżyć się do ideału piękna, należało w pierwszej kolejności odkryć stałe matematyczne skryte w języku natury i je naśladować. Przeniesienie tej wiary z nauki do świata sztuki było związane z przekonaniem artystów antycznych o tym, że tworząc sztukę odkrywają jednocześnie prawa rządzące przyrodą. Tak rozumiana sztuka była nie tylko poszukiwaniem i ukazywaniem piękna, ale także działalnością stricte naukową, polegającą na odkrywaniu tajemnic przyrody. Mimo mnogości kanonów i ich rozbieżności, wynikających z empirycznych badań i obserwacji (kanon Polikleta, Lizypa czy Witruwiusza) wszystkie wskazówki dotyczące twórczości wyrażone były w języku matematyki. Dlatego też, dzięki zachowaniu matematycznej formuły kanonu i kompozycji, w architekturze greckiej łatwo dzisiaj na podstawie jednego odnalezionego modułu (np. tryglifu) odtworzyć wygląd niemal całej świątyni.

Postawa badawcza w sztuce

Wypracowana w antyku relacja między sztuką a nauką została przyjęta i rozwinięta w renesansie. Grecki kanon antropometryczny wpisujący sylwetkę człowieka w kwadrat i koło, którego środek stanowi pępek, uchodzi dziś za jeden z najbardziej znanych rysunków Leonarda da Vinci (Człowiek witruwiański lub Homo quadratus). Wśród mnogości teoretyków sztuki renesansu Leonardo da Vinci jest doskonałym przykładem silnej relacji wiążącej naukę ze sztuką. Jak głęboka jest to relacja, może świadczyć fakt, że po dzień dzisiejszy trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, czy działalność stricte naukowa Leonarda miała być służebna wobec sztuki, czy też sztuka (jako wizualizacja pewnych idei naukowych) miała pełnić funkcję narzędzia ilustracyjnego, notacji określonych modeli i schematów, a tym samym miała być wtórna i służebna wobec nauki.

Jedno jest natomiast pewne – Leonardowska praktyka artystyczna przeplatała się z płaszczyzną naukową. Nowatorstwo w podejściu do malarstwa polegało u Leonarda da Vinci na rozwinięciu wielu problemów malarskich, które wynikały właśnie z postawy badawczej (np. zagadnienia optyczne, badanie światła, cienia, kolorymetrii, stosowania perspektywy zbieżnej i powietrznej itd). Jako filozof przyrody artysta prowadził szereg badań nad percepcją wzrokową w kontekście różnych zmiennych, takich jak warunki pogodowe czy zmiany natężenia światła w zależności od pory dnia czy roku.

W biografii Leonarda w niespotykany sposób przenikała się sfera sztuk plastycznych z badaniami z zakresu nauk przyrodniczych. Widać to nie tylko w opisach anatomicznych, w pracach z zakresu dendrologii, meteorologii, kartografii, geologii, optyki, ale także w rozważaniach z zakresu hydrologii czy zoologii. W dorobku badacza znajdujemy zadziwiająco liczbę badań i pozostawionych notatek (z których przetrwała do dziś niestety niewielka ilość). Z notatek i schematów wyłania się naukowiec, który na wzór Arystotelesa chciał za pomocą badań empirycznych stworzyć wszechstronny i syntetyczny wykład na temat praw przyrody, co z kolei jest pomocne w działalności stricte artystycznej. Tego rodzaju postawę śmiało możemy określić mianem kognitywizacji sztuki. Innymi słowy, wedle Leonarda da Vinci, niepodobna być artystą bez gruntowej znajomości przyrodoznawstwa. Sztuki plastyczne, rekonstruując w przestrzeni obrazu świat widzialny, muszą wyjść poza czystą obserwację, która w potocznym mniemaniu wystarcza do tego, by implementować w przestrzeń obrazu to, co postrzega artysta. Wedle teorii Leonarda artysta, na wzór antycznego demiurga, musi na nowo w kompozycji



Rys. Sławomir Mękal

plastycznej odtworzyć materię, nadać jej pożądany kształt, zrekonstruować w przestrzeni obraz przedmiot lub obserwowane zjawisko. Gwarancją poprawnej rekonstrukcji jest gruntowna wiedza, nie tylko z zakresu jawienia się natury wobec naszych zmysłów, ale jej zasad istnienia. Tak więc *Traktat o malarstwie* da Vinciego w zupełnie inny sposób definiuje twórcę, nie tylko jako kogoś, kto zrećźnie potrafi kopiować naturę, ale jako artystę-naukowca, który poszukuje w naturze zasad jej istnienia. Taka postawa badacza, dająca prymarność badań nad aktem twórczym, wskazuje na głęboki związek nauki i sztuki.

Jednym z najbardziej widocznych przykładów łączenia nauki ze sztuką renesansu jest zastosowanie tzw. *costruzione legitima*, czyli matematyczne sformalizowanie przestrzeni widzialnej w postaci zasad perspektywy. W tym zakresie renesansowi teoretycy, jako entuzjaści i spadkobiercy antyku, połączyli badania Euklidesa (zastosowanie wiedzy matematycznej w dziedzinie geometrii) z witrażami systemem postrzegania perspektywicznego. Metoda organizacji przestrzeni w obrazie oparta była na zasadach rzutu geometrycznego (perspektywicznego), czyli tzw. piramidy widzenia, której wierzchołkiem jest oko ludzkie. Leonardo da Vinci wielokrotnie przekonywał, że poprawne zastosowanie perspektywy geometrycznej do kompozycji obrazowej daje nie tylko rękojmię poprawności transpozycji (zgodnej z naturalnym sposobem widzenia), ale pełni też rolę matematycznego wzorca, który jest gwarancją artystycznej doskonałości.

Szczerść wypowiedzi artystycznej

Na osobne omówienie zasługuje relacja sztuki i prawdy. Idea prawdy jest w filozofii jednym z najczęściej podejmowanych i dyskutowanych zagadnień, posiada długą tradycję reprezentowaną przede wszystkim na gruncie epistemologii, ontologii, aksjologii, a także estetyki. Poszukiwanie prawdy na gruncie sztuk zasadniczo różni się od analiz epistemologicznych czy ontologicznych, gdyż doświadczenie sztuki jest doświadczeniem specyficznym, zgoła odmiennym od doświadczenia naukowego czy potocznego poznania, rządzi się też odmiennymi zasadami weryfikacji. Dlatego też w sztuce samo formułowanie dwu opozycyjnych wartości: prawdy i fałszu, wydaje się mylącym zabiegiem, gdyż z samej już nazwy sztuka funduje poniekąd świat sztuczny, a więc fałszywy, mami nas imitowaną rzeczywistością (dlatego w języku polskim termin sztuka koresponduje z terminem sztuczność).

Sztuka – w odróżnieniu od świata przyrody – nie może być badana jako izolowany system zjawisk czy faktów poznawanych empirycznie i opisywanym w uniwersalnym języku nauki. Czy w związku z tak sceptycznym odniesieniem prawdy do kategorii sztuki jest możliwe sprecyzowanie relacji łączącej sztukę z prawdą? W niektórych przypadkach tego rodzaju analizy były prowadzone, co więcej – stanowiły one mocny fundament aksjologiczny niektórych form sztuki. Na przykład w antyku, im bliżej dana forma sztuki zbliżała się do idei prawdy natury, tym większa była jej ranga w hierarchii sztuk (słynne agony sztuki, podczas których spierano się o wyższość rzeźby i malarstwa, opierając się na kategorii imitacyjności natury). Podobnie stawiano sprawę w renesansie, gdy celem malarstwa było jak najwierniejsze przedstawienie rzeczy, zjawisk i sytuacji. Dlatego jedną z naczelných kategorii fundujących poniekąd nowy model malarstwa była kategoria podobieństwa i prawdopodobieństwa. Podobieństwa w stosunku do postrzeganych atrybutów natury (odbiorca, widząc namalowanego konia, drzewo czy motyla, potrafił go trafnie „zdekodować”), prawdopodobieństwo było zaś relacją łączącą przedstawione sytuacje i przedmioty w system wewnętrznie spójny, w kompozycję, która podczas odbioru przekłada się na rozpoznawalny system znaków i symboli w takim stopniu, że mogą być uznane za prawdziwe. Kategoria prawdopodobieństwa istnieje w sztuce pomimo

tego, że artysta przedstawia rzeczy niemające ontologicznego zakotwiczenia w świecie rzeczywistym, korzysta raczej z tego, że wyposaża hybrydowe przedmioty, zdarzenia czy sytuacje w rozpoznawalne atrybuty przedmiotów istniejących (np. anioł posiada skrzydła wielkiego ptaka, pegaz postać konia, jednorożec róg nosorożca, gryf elementy lwa i orla itd.). Można z całą odpowiedzialnością postawić tezę, że aksjologia sztuk renesansowych oparta była na jasnym kryterium: im dana forma sztuki precyzyjniej wypracuje za pomocą dostępnych środków artystycznych ułudę rzeczywistości, tym cenniejsza będzie. Współcześnie raczej porzuca się tego rodzaju przesłanki do budowania prawdy w sztuce i zastępuje się je szczerścią wypowiedzi artystycznej, jej oryginalnością czy treścią sztuki. Tego rodzaju determinanty są więc brane pod uwagę w budowaniu trudnej relacji między sztuką a ideą prawdy.

Jak już na początku wspomniałem, współczesne oddalenie się świata sztuki od nauki wynika z dziedzictwa filozofii Kartezjusza, który poznanie zmysłowe oddzielił od poznania ściśle naukowego, jest również wynikiem zniechęcenia twórców awangardy do artystycznej eksploracji widzialnego świata zmysłowego. Jednak nawet w sztuce współczesnej wskazać możemy przykłady silnej implikacji nauki w sztuce. Na przykład grecki kompozytor Yannis Xenakis dokonał formalizacji muzyki na poziomie makrostruktury (tworzenie partytur muzycznych za pomocą procesów stochastycznych i za pomocą aksjomatyki teorii sit). Kompozytor wykorzystał matematyczne rozkłady losowe, prawa kinetyki gazów (prawo Maxwella-Boltzmana), łańcuchy Markowa, błędzenia losowe ruchów Browna, przekładając je na notację muzyczną. Efektom tych zabiegów jest tzw. muzyka stochastyczna. Ta forma muzyki, w odróżnieniu od tradycyjnej, nie pozostawia miejsca na dowolną inwencję, nieprzewidywalne i zaskakujące formy zwrotów muzycznych, całkowicie wykluczona jest w niej improwizacja. Kształt ścieżki kompozycyjnej ma charakter czysto matematyczny. W podobnym duchu tworzyli muzycy, którzy czerpali inspirację z probabilistyki, losowości i przypadku w matematyce. Przykładem aleatoryzmu są już późne utwory Wolfganga Amadeusza Mozarta (np. *Musikalisches Würfelspiel*), w których na etapie komponowania kompozytor używa algorytmu losowego, będącego podstawą utworu muzycznego. Mozart, używając koncepcji matematycznej liczby losowej, chcąc przypisać jakiś takt z menu-eta, rzuca kośćmi do gry. Podobnym inspiracjom matematycznym na gruncie twórczości artystycznej uległ kompozytor i teoretyk muzyki Arnold Schönberg, który stworzył swoistą metodę komponowania za pomocą dwunastu dźwięków niepozostających w żadnym stosunku między sobą. Sam Schönberg nie ukrywał, że matematyka była głównym impulsem do poszukiwań nowej zasady tworzenia muzyki. Skłonności matematyzacji muzyki u wiedeńskiego kompozytora widoczne są we wprowadzeniu do kompozycji pojęcia tzw. serii. Zapis liczbowy stał się zatem wzorem kompozycyjnym utworu muzycznego. Kompozycje Schönberga, podobnie jak Xenakisa, operują zbiorem abstrakcyjnych dźwięków ułożonych wedle zasad czystej matematyki. Odmiennej cechą tego rodzaju muzyki jest fakt, że twórcy wskazują inspiracje intelektualne, które leżą u źródła ich twórczości, a nie – jak zwyczajowo bywa – sferę emocjonalno-instynktowną.

Tego rodzaju rozważania, oprócz walorów historyczno-poznawczych, mogą stanowić dziś cenny komentarz do swobodnego pęknięcia między światami nauki i sztuki. Zarówno filozofia pitagorejska, casus Leonarda da Vinci, Arnolda Schönberga czy Yannisa Xenakisa mogą być przykładami łączenia badań stricte naukowych z działalnością artystyczną, integrując tym samym tak dalece wydawałoby się odległe płaszczyzny aktywności ludzkiej.

Dr hab. Roman Konik, prof. UW, Instytut Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego

Ewa Bugaj

Trudny związek

Archeologia a sztuka

Archeologia jest kompleksową dyscypliną nauki, obejmującą swym zainteresowaniem wytwory wszystkich odmian aktywności ludzkiej oraz wszelkie przejawy kultury, zatem również i taki jej fenomen, jakim jest sztuka.

W badaniach sztuki archeologia wykazuje unikatowy potencjał, ponieważ stara się ją rozpoznać od samych jej pierwocin, aż do czasów historycznych, zakłada rozpoznawanie początków wszelkich praktyk czy działań ikonicznych w kulturze ludzkiej oraz genetycznych źródeł tego, co się obecnie za sztukę uważa. Problemem owych badań pozostaje jednak to, czy nowożytnym terminem „sztuka” można objąć wszelkie przejawy, tj. w tym wypadku materialne pozostałości aktywności ludzkiej – nazwijmy ją ogólnie i też nieadekwatnie – „twórczą”, także te prehistoryczne i starożytne? Zdania uczonych na ten temat są podzielone.

Termin sztuka w wielu europejskich językach ma odpowiednik w łacińskim *ars*, ten zaś odpowiada gr. *téchnē*; przymiotniki „techniczny” i „artystyczny” są tego samego pochodzenia. Pojęcie to wymyka się jednak jednoznacznym definicjom, a sam termin w odniesieniu do wielu epok, nawet historycznych, oraz kultur stosowano rozmaicie. W toku dziejów zmienił się zarówno sens tego wyrazu, jak i ulegała zmianom definicja sztuki w określonym czasie i przestrzeni, a nawet w tej samej kulturze. Ograniczając się do pojęć ukutych w starożytności grecko-rzymskiej, a następnie do europejskiej nowożytności, stwierdzić możemy, że sztuka w antyku była rozumiana technicznie, nie artystycznie; oznaczała wszelką wytwórczość dokonywaną wedle reguł, a ściślej, oznaczała samą umiejętność wytwarzania i wiedzę umożliwiającą wytwórczość. Miała więc sztuka zakres bardzo szeroki – obejmowała rzemiosła i część nauk.

Wyodrębnione w XVIII w. tzw. sztuki piękne stały się w XIX i XX stuleciu przedmiotem wzmożonych dociekań naukowych, zwłaszcza filozoficznych, a badania nad sztuką prowadzono przeważnie w ramach estetyki, która pojmowana jako dyscyplina filozoficzna, stała się wiedzą o przedmiotach pięknych i przeżyciach z nimi związanych, a potraktowana jako oddzielna nauka – ogólną teorią sztuki. Zajmowały się nią jednak również wyłonione wówczas inne nowoczesne dyscypliny akademickie, głównie historia sztuki, ale też historia, etnologia i od samych swych początków w jakimś zakresie archeologia. Należy zauważyć, że koncepcji i podejść metodologicznych, stosowanych w ciągu tych ponad stu kilkudziesięciu lat rozwoju nowoczesnych dyscyplin akademickich do badań nad sztuką, pojawiło się mnóstwo, a świadczy to niewątpliwie o tym, że

sztuki – rozumianej czy to jako dyspozycja twórcza, czy jako działanie (czynność, praktyka), czy wreszcie jako dzieło sztuki (więc sam wytwór) – nie da się zgłębić bez zastosowania różnych „kluczy” i różnych sposobów odczytania.

Przemiany w sztuce oraz rozwój refleksji nad nią, jak również swoista jej emancypacja i autonomizacja, które nastąpiły szczególnie w cywilizacji zachodniej, wiązały się z ważnymi zmianami w systemie instytucji, które odpowiadały za wytwarzanie, ocenę oraz odbiór, a nawet konsumpcję dzieł sztuki. Ponadto wytwory sztuki, które w cywilizacji europejskiej długo funkcjonowały w określonym praktycznym kontekście, odnoszącym się najczęściej do sfery religijnej (szerzej: kultowej) lub świeckiej sfery publicznej (ale też prywatnej) oraz do związanych z obu sferami rytuałów, powoli były z nich wyłączone i lokowane w prywatnych, a z czasem w publicznych galeriach sztuki oraz muzeach.

Z kolei w refleksji humanistycznej terminy „sztuki piękne” i „estetyka”, rodem z XVIII w., stosowano długo zarówno do zjawisk nowożytnych i nowoczesnych, jak i starożytnych, mianowicie na tej podstawie, że ich pojęciowe denotacje i konotacje odpowiadały zakresowi i zawartości przedmiotu, który wcześniej wskazywano i analizowano z nie całkiem jasną świadomością jego odrębności. Pomimo więc tego, że termin „sztuki piękne” pojawił się późno, do zbliżenia uprawianych w Europie przez wieki praktyk artystycznych, i tym samym do desygnowania wspólnej klasy ich przedmiotów, doszło znacznie wcześniej. Od Arystotelesa bowiem miało się już ukształtować przesvědzenie, że fundamentalnymi wartościami artystycznymi – właściwymi tyleż poezji i muzyce, co sztukom plastycznym – są określone układy ekspresyjno-formalne, zgodne z regułami wykonawstwa, i że u ich źródeł leży jakieś twórcze działanie. Na tej podstawie mówiono o pewnym ogólnym ciągu historycznym czy kontynuacji działań artystycznych w ramach kultury europejskiej, przynajmniej od starożytności do nowoczesności, pomimo zmienności form oraz stosowanych mediów plastycznych, funkcjonujących w historycznie odmiennych kontekstach. Na tej podstawie dokonywano syntezy myśli na temat poszczególnych kategorii estetycznych w konkretnych okresach historycznych, budowano „wielkie narracje” historyczno-artystyczne czy też teoretyczne syntezy różnych ujęć sztuki i jej odmian oraz opisywano jej historię i znaczenie dla rozma-

itych społeczności, zawsze już od pradziejowych i starożytnych poczynając. Sztuka przedstawiana w ramach tych „wielkich narracji” tworzy zazwyczaj swoistą całość, która układa się w ciąg tradycji.

Zjawisko nieoczywiste i zmienne

Co by nie powiedzieć pozytywnego o zgromadzonej w ramach tak długiej perspektywy wiedzy o sztuce oraz o tych wysiłkach syntetyzujących, wyłania się na ich podstawie niejednolity jej obraz, który świadczy o tym, że sztuka jest zjawiskiem nieoczywistym oraz zmiennym w dziejach, nie tylko w przejawach swych form, ale też w swej istocie i funkcji. Owa zmienność jawi się przecież nawet przy rozpatrywaniu sztuki w bliższej perspektywie historycznej i terytorialnej (porównajmy np. europejską sztukę XVIII w., sztukę nowoczesną i współczesną), nie mówiąc o pradziejowej, antycznej czy globalnej (pozaeuropejskiej i plemiennej), które są domeną rozważań archeologów i antropologów kultury. Sztuka zatem cały czas przecież możliwości ogarnięcia jej przez jedną, koherentną teorię oraz dyscyplinę nauki i jawi się jako fenomen nieoczywisty i domagający się dookreślenia w konkretnym kontekście swego występowania. Badania sztuki w archeologii oznaczają zatem konieczność wychodzenia poza potoczne i historyczne uogólnienia na jej temat oraz poszukiwania adekwatnych podejść teoretycznych pomagających w próbach jej objaśniania.

Ale uważam, że archeolodzy nie powinni rezygnować z samego terminu „sztuka”, jeśli obejmuje on dla przykładu również takie zjawiska ze sztuki nowoczesnej, jak malarstwo impresjonistów i wiedeński akcjonizm. Ponadto zaznaczyć należy, iż stosowanie terminu „sztuka” w archeologii nie jest obecnie określeniem wartościującym, jakim było kiedyś w związku z wprowadzeniem podziału na sztuki piękne, inaczej wysokie, i niskie, czyli na te, które nie wykazują cech użytkowych oraz te, mające zastosowanie praktyczne. Co więcej, we współczesnym świecie sztuki ujmowanej w perspektywie globalnej oraz w sytuacji zaistnienia i rozwoju wielu estetyk wykraczających poza tradycyjną, kantowską estetykę piękną i wzniosłości, podziału te już dawno przestały mieć rację bytu.

Tym niemniej począwszy od lat 80. XX w. próbuje się w literaturze archeologicznej zastąpić (lub stosować wymiennie) termin „sztuka” innymi, które wydają się bardziej pojemne i użyteczne, tzn. funkcjonalne jako narzędzia analityczne. Wśród nich zadomowiło się głównie jedno – komunikacja wizualna. Zakłada ona wytwarzanie i posługiwanie się obiektami o zorganizowanej formie plastycznej, oddziałującymi na zmysł wzroku/ domagającymi się percepcji wzrokowej, ale niekoniecznie tylko takimi, które wykazują status artystyczny. Uznaje się, że wytwory owe miały albo wpływać na zmysły i emocje lub aktywizować związki między ludźmi czy ludźmi i światem, ludźmi i bogami, albo być nośnikami jakichś innych sensów, bez względu na to, czy dzisiaj potrafimy odczytać ich przesłanie, czy nie. Proponowane określenie sztuki w archeologii jako komunikacji wizualnej jest ponadto względnie łatwe do zaaplikowania w różnych kontekstach kulturowych, ponieważ omija problem, iż kryteria estetyczne innych ludów nie współgrają z naszymi oraz fakt, iż nasza cywilizacja i inne, a tym bardziej przeszłe, nie muszą podzielać tego samego systemu metafor i symboli. Zbadać i określić natomiast można jakość formy wizualnej, np. jej rytm, zrównoważenie i harmonię lub celowe odstępstwo od tego. Inaczej to określając, o estetycznym wymiarze danego wytworu decydują jego przedmiotowe jakości, które można poddawać analizie. Co więcej, także jakość lub siła wyrazu zawartości wyobraźniowej może być brana pod uwagę, nawet jeśli nie jesteśmy w stanie odczytać jej głębszego przesłania.

Porzuca się stosowanie terminu sztuka

Wydaje się, iż tego typu podejście z jednej strony odwołuje się do modeli semiotycznych czy próby semiologicznej interpretacji komunikatów wzrokowych, w których wszelkie produkty działań ikonicznych są przede wszystkim znakami czy strukturami funkcjonującymi w obiegu różnych dyskursów społecznych, natomiast z drugiej zmierza już w kierunku opozycyjnej fenomenologii percepcji, zwłaszcza w ujęciu M. Merleau-Ponty’ego (*Fenomenologia percepcji*, wyd. pol. 2001), który starał się uchwycić pierwotne, cielesne widzenie, niebędące jeszcze przedmiotem myślenia, konstytuujące „sens postrzeżeniowy” przed sensem językowym, kwestionując prymat epistemologiczny świadomości, a przyznając go zachowaniom percepcyjnym.

Wspomniane powyżej rozumienie sztuki wydaje się także w jakiejś mierze wpisywać w zwrot ikoniczny w humanistyce, który od lat 90. XX w. doprowadził do rozwoju z jednej strony szeroko zakrojonych Visual Studies, o rodowodzie amerykańskim, rozwijanych głównie w obszarze anglojęzycznym oraz antropologicznie zorientowanej Bildwissenschaft, wywodzącej się z kręgu niemieckojęzycznych historyków sztuki i medioznawców. Oba kierunki zwrotu ikonicznego, które zaowocowały projektem rozwoju inter-, a nawet transdyscyplinarnej nauki o obrazie, włączają w jej obręb wszelkie pojawiające się w dziejach formy ucieleśniania obrazów, związane z rozmaitymi obszarami oraz praktykami kulturowymi. Zauważyć jednak należy, iż w większym stopniu i zakresie (począwszy od danych obrazowych prehistorycznych i starożytnych, poprzez etnologiczne, na współczesnych kończą) oraz w formie bardziej pogłębionych rozważań znajdują one wyraz w historyczno-krytycznej nauce o obrazach badaczy niemieckich. Wśród projektów antropologicznych, które można wiązać z tym nurtem, jednym z bardziej zaawansowanych wydaje się projekt H. Beltinga (*Antropologia obrazu*, wyd. pol. 2007), w ramach którego fenomen globalnego świata obrazów znajduje swe uprawomocnienie we wspólnych cechach gatunku ludzkiego, co powoduje, że jako konstytutywne dla procesu poznawczego traktuje się uniwersalne kategorie ciała, miejsca, śmierci, kultu itp.

Raz jeszcze powracając do problematycznego zastosowania terminu sztuka w badaniach archeologicznych, i przyjmując założenie, że sztuki nie pojmujemy w tym wypadku w takich kategoriach jak XVIII w. estetyka odnosząca się do sztuk pięknych, zauważmy, że namysł nad nią w archeologii pozostaje jednak polem badań bardzo złożonym i mającym rozmyte granice. Stąd ponownie wypada wspomnieć, że w ostatnich latach, szczególnie wśród badaczy prezentujących na gruncie orientacji teoriopoznaw-



Rys. Sławomir Mejała

czych w archeologii tzw. archeologię postprocesualną, kierunek dalece niehomogeniczny, rozwinięty na podłożu przemian zachodzących w humanistyce w ostatnich dekadach XX w., określanych mianem postmodernizmu, porzuca się w ogóle stosowanie terminu sztuka, zwłaszcza w archeologii pradziejowej, aczkolwiek nie wygląda na to, aby go wyrugowano. Natomiast w archeologii śródziemnomorskiej (orientalnej, antycznej/ klasycznej) czy wczesnośredniowiecznej i innych subdyscyplinach archeologii dotyczących czasów historycznych posługiwano się terminem sztuka najczęściej jest powszechne, pomimo trudności w zdefiniowaniu jej rozumienia. Dzieje się to na zasadzie wskazywania cech lub znaczeń wytworów/ artefaktów, które można zaliczyć do sztuki, i które niejednokrotnie jako takie były też wyodrębniane już w starożytności, co potwierdzają przekazy pisane. Tym niemniej wspomnieć należy, że jest to stanowisko tradycyjne (można je nazwać klasycznym), hołdujące do pewnego stopnia esencjalistycznym przekonaniom w estetyce.

Mówienie w tym wypadku o sztuce zakłada rozważania nad produktem intencjonalnym, wykonanym z wykorzystaniem zręczności/ talentu, nacechowanym wyróżniającą się formą działającą wizualnie, wyrażoną w medium doniosłym dla zmysłów (przede wszystkim wzroku), złożonym z określonych, niejednokrotnie powtarzalnych elementów, wzorów i figur, mającym odniesienia w wyobraźni twórcy lub w świecie zewnętrznym, zakorzenionym w szeroko rozumianej sferze sakralnej bądź świeckiej, publicznej lub prywatnej. Takie źródła przedstawiają, wyrażają lub komunikują innym świat wyobrażony lub zewnętrzny; wyrażają lub komunikują świat idei, których są wyrazem: wierzenia, przekonania, wartości i emocje; dostarczają rozmaitej natury przeżyć.

Jaką metodę badania sztuki przyjąć?

Widzimy, że tak wyodrębnione artefakty przypisane do sztuki opisują ją w ramach tradycyjnych kategorii mimetycznych, stosowanych przez całe stulecia w europejskim kręgu kul-



turowym do opisu sztuki figuratywnej, albo w nieco później wypracowanych kategoriach ekspresjonistycznych i formalnych. Pomimo tego są to wszystko określenia bardzo pojemne, dalekie od precyzji. Do tego każdy wyrób/ artefakt, który w archeologii uznamy za sztukę, posiada także niejasne granice w innym sensie, a to powoduje jeszcze większą złożoność badań nad nią niż wspomniana powyżej. Sztuka jest z reguły powiązana w sposób zawiły z lokalnymi okolicznościami jej wytworzenia oraz funkcjonowania i zawieszona w lokalnych sieciach znaczeń, do których nawet archeolodzy badający społeczności historyczne często nie mają już dostępu. Zatem decyzja, jaką metodę badania sztuki przyjąć, pozostaje bardzo doniosła, a panorama podejść, które w badaniach archeologicznych znajdują zastosowanie, obejmuje zarówno te, które wiążą się ze wspomnianymi przekonaniemiami esencjalistycznymi, jak i antyesencjalistycznymi oraz wieloma takimi, które można określić „umiarkowanymi” lub, do pojęć socjologicznych sięgając, teoriami średniego zasięgu, ulokowanymi pomiędzy dwoma pierwszymi.

Zatrzymując się na owych podejściach badawczych objaśniających sztukę prahistoryczną czy starożytną, można powiedzieć, że archeolodzy stosują ich wiele, albo wypracowują je sami, albo – i to częściej w wypadku tych badań, sięgając do teorii znajdujących aktualnie zastosowanie w filozofii lub szerzej – w naukach humanistycznych. Czerpią przy tym swe inspiracje z wielu współpracujących dyscyplin, przede wszystkim z antropologii kulturowej/ społecznej, z etnologii, historii sztuki, językoznawstwa, literaturoznawstwa, a nawet z neuropsychologii i biologii ewolucyjnej, w odniesieniu do najstarszych, kwalifikowanych jako sztuka pozostałości.

Jeśli chodzi o najbardziej rozpowszechnione podejścia badawcze oraz typy analiz, które znalazły i wciąż znajdują zastosowanie w rozważaniach archeologicznych nad sztuką, to można wymienić analizy formalne i stylistyczne, ikonograficzne wraz z ich rozwinięciem na gruncie semiotyki, strukturalistyczne, funkcjonalne, estetyczne, psychologiczne, procesualne (czyli takie, które rozważają udział sztuki w procesie szeroko rozumianej adaptacji do środowiska naturalnego) oraz postprocesualne (mające rozmaite oblicza, występujące przeciw sztywności analiz strukturalnych i procesualnych, starające się wykazać ich subiektywizm oraz fakt, iż sztukę przeszłą trudno interpretować w kontekście właściwych jej kategorii, a czyni się to pod kątem naszych współczesnych zainteresowań) i wreszcie krytyczne, odnoszące się do sposobów, w jakich sztuka odzwierciedla, legitymizuje lub podważa relacje władzy czy dominacji. Ale to nie wszystko, ponieważ niektóre podejścia badawcze wywodzą się z rozległych kierunków czy szkół filozoficznych, i tak jest z badaniami inspirowanymi np. hermeneutyką czy wspomnianą już fenomenologią. W ostatnim czasie badacze często odwołują się także do ujęć zakorzenionych w konstruktywizmie społecznym, przekonując, że rzeczywistość poznajemy w doświadczeniu kulturowym, i nie objawia się ona inaczej, jak tylko w wytworach kultury (szczególnie w języku). W tym ujęciu sztuka, jako dziedzina kultury pojmowanej przede wszystkim jako „rzeczywistość myślowa”, jest czymś społecznie skonstruowanym w określonym momencie historycznym, a jej poznawanie na gruncie archeologii to w najlepszym razie żmudne próby rekonstrukcji dawnych systemów przekonań, podejmowane głównie w oparciu o dane lingwistyczne przy współudziale innych źródeł.

Co jest sztuką, a co nią nie jest

We współczesnych rozważaniach archeologicznych, zgodnie z szerokim wachlarzem zainteresowań i przekonań badaczy oraz zasadą pluralizmu, nacisk jest kładziony, jak to pokazują przytoczone powyżej podejścia badawcze, na rozmaite, niejed-

nokrotnie przeciwstawne orientacje teoretyczne, które powodują także różnice w pytaniach stawianych wobec źródeł archeologicznych uznawanych za przejawy sztuki oraz w odpowiedziach, które są uzyskiwane. Sądzę, że sposób konceptualizacji sztuki i wytyczania granic pomiędzy tym, co jest sztuką, a co nią nie jest, pozostaje kwestią niejednoznaczną, pozostawioną do wyboru badacza, tym niemniej wybór ów powinien znaleźć uzasadnienie w przedstawionych przesłankach teoretycznych (podejściach badawczych), na których jest oparty. Ma to bowiem wpływ zarówno na metody, którymi się archeolodzy posługują przy interpretacji sztuki, jak i w efekcie na status, jaki wiedzy tej jest przypisywany. Inaczej mówiąc, każdy badacz dokonujący namysłu czy to nad szeroko rozumianym światem sztuki, czy jakimś jej konkretnym przejawem, powinien mieć na uwadze, że za danym namysłem stoi zawsze decyzja określonego teoretycznego podejścia do sztuki (a przynajmniej jej rozumienia), a w konsekwencji wiąże się to również z decyzją przyjęcia odpowiedniej koncepcji kultury, która częstokroć uwikłana być może w spory filozoficzno-swiatopoglądowe.

Uzupełniając czy doprecyzowując powyższe ogólne stwierdzenia, powiedzieć jeszcze można, iż badania sztuki rozumianej jako wyraz ludzkiej zręczności i talentu wykonywania rzeczy według określonych reguł zwracać będą uwagę na samą wytwórczość i producenta, warsztat, sposób wykonania dzieła, na użyty surowiec itp. Sztuka pojmowana jako przesłanie odnoszące się do jakichś idei i sensów kulturowych czy wydarzeń/ historii (mitycznych, rzeczywistych) sugeruje zastosowanie metody ikonograficzno-ikonologicznej, semiotycznej lub hermeneutycznej. Sztuka mająca być wyrazem twórczej wyobraźni skłaniać będzie do poszukiwania indywidualnego wykonawcy/ artysty i jego przesłania. Sztuka rozumiana jako komunikacja kłaść będzie nacisk na jej charakter społeczny i relacyjny, na jej oddziaływanie – agentywność. Sztuka jako wyraz piękna i emocji skłaniać będzie do rozważań na temat doznań estetycznych oraz przeżyć artystycznych towarzyszących procesom twórczości, ale głównie percypowania dzieł. Relatywistyczne (postprocesualne) koncepcje interpretacji sztuki dawnej podkreślają ich zakorzenienie we współczesności, co więcej – argumentują, że idea interpretacji sztuki minionej w naszych czasach zakłada najczęściej relacje do tych obiektów z przeszłości w sposób, który najprawdopodobniej nie miałby sensu dla pierwotnych użytkowników, jak również nie musi mieć znaczenia dla przyszłych czytelników owych interpretacji itd.

Tym niemniej zauważyć należy, że pomimo przedstawionych powyżej możliwości wielorakich podejść do badania sztuki, archeolodzy (szczególnie pradziejowi), którzy je podejmują, z reguły w swych pracach powstrzymują się od prób dociekania jej kulturowych sensów czy znaczeń i, w przeciwieństwie do antropologów kultury oraz historyków sztuki, skupiają się na rekonstrukcji i wyjaśnianiu zasad wytworzenia danego obiektu (stosując coraz bardziej zaawansowane, bazujące na naukach przyrodniczych, analizy surowcowe), jego czasowo-przestrzennej dystrybucji i zmienności motywów oraz stylów, rozumianych jako zespoły cech formalnych. Badania te lokują się zatem w ramach tradycyjnego paradygmatu klasyfikacyjno-chronologicznego, mocno zakorzenionego w archeologii, który co najwyżej porządkuje przykłady sztuki pradziejowej i starożytnej z danego czasu na określonym terytorium, według zastosowanych schematów wizualnych i stylu. Stąd potrzeba uwzględniania w tego typu badaniach w większym stopniu podejścia humanistycznego wydaje mi się bardzo aktualna.

Dr hab. Ewa Bugaj, prof. UAM, Wydział Archeologii, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Rozmowa z prof. Ewą Ziembą z Katedry Informatyki i Rachunkowości Międzynarodowej Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, od 2021 roku zasiadającą w European Academy of Sciences and Arts (EASA)

Odległe, a tak sobie bliskie

Ekonomia pozytywna definiuje, jakie prawa rządzą gospodarowaniem, zaś ekonomia normatywna integruje ekonomię z etyką, wartościami społecznymi, kulturowymi. Wskazuje pewne wartości, zalecenia, niekoniecznie wynikające z liczb, zbliża się w tym do sztuki.

Proszę mnie przekonać, że naukę i sztukę coś ze sobą łączy.

Odwołam się do Einsteina, który twierdził, że po osiągnięciu pewnego poziomu sprawności technicznej nauka i sztuka upodabniają się do siebie pod względem postaci, estetyki i cech plastycznych. Inny z wielkich, Richard Feynman, amerykański fizyk, noblista, jeden z twórców elektrodynamiki kwantowej, spotkał się kiedyś z zarzutem, że naukowcy, rozkładając świat na części pierwsze, odzierają go z piękna. Nie zgodził się z tym. Wziął za przykład botanika, który bada piękną roślinę. Stwierdził, że wiedza o niej, o jej budowie komórkowej czy fizyce barw, tylko potęguje to piękno, odsłaniając jego tajemnice. Nauka dodaje każdemu opisywanemu i badanemu elementowi świata wartości i niejednokrotnie, podobnie jak sztuka, wzbudza zachwyt, podziw, a niekiedy i wzruszenie.

Gdzie dostrzega pani elementy styczne tych dwóch światów?

Wcielając się, jak wyczuwam, w rolę „adwokata diabła”, reprezentuje pan wbrew pozorom dość szerokie grono osób, dla których nauka i sztuka to dwie odmienne ludzkie działalności, niemające ze sobą nic wspólnego. Rzeczywiście uczeni postrzegani są często jako racjonalni, logiczni, twardo stąpający po ziemi, natomiast artyści używają w swojej pracy więcej emocji, zmysłów, wyobraźni. Prof. Adam Wsiołkowski, artysta malarz, były rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, mawia, że naukowiec szuka prawdy obiektywnej, a artysta... własnej, która nie dla wszystkich musi oznaczać to samo. Można skonstatować, że nauka jest bardziej obiektywna, sprawdzalna, podczas gdy sztuka – subiektywna, bo zależy w pełni od kreatywności artysty. Przy czym nie zawsze prawda, którą niesie sztuka, jest rzeczywiście prawdą. Podlega kwestionowaniu w zależności od twórcy i tego, kto odbiera tę sztukę. I jeszcze jedno: w nauce obowiązuje zasada powtarzalności, czyli oryginalne są te teorie, które inni potwierdzą. Sztuka ma wymiar indywidualny, jest jednorazowa. Oryginalność dzieła nie wymaga fałsyfikacji, wręcz przeciwnie – jeśli by inni zaczęli je powtarzać, straciłoby na oryginalności.

Obszerny ten protokół rozbieżności. Cech wspólnych na razie brak.

Ależ są i jest ich całkiem sporo. Obie te działalności koncentrują się na szeroko rozumianym świecie, często, jak u artystów, takim, który nie istnieje, i choć różne stosują instrumentalizm,

to próbują go opisać. Humanistykę czy nauki społeczne łatwiej powiązać ze sztuką, bo wiele w nich zależy od interpretacji, sposobu odczuwania, emocji. W naukach ścisłych to poznanie jest związane z determinizmem, wiedzą sprawdzalną i prawdą niekwestionowaną. Ale i tu mamy do czynienia z abstrakcyjnymi, czysto teoretycznymi artefaktami, których nie możemy dotknąć. Mówię choćby o całej mechanice kwantowej i funkcji fal, która stanowi jej podstawę. W ogóle naukowiec, żeby poznawać świat, musi posiadać cechy, które rozwija sztuka, a więc spostrzegawczość, kreatywność, wrażliwość, abstrakcyjne myślenie. I, podobnie jak artysta, powinien być niezależny, nikt nie może wpływać na jego pracę. W przeciwnym razie stanie się bezwartościowa. Obu łączy też pasja. Trzeba się nią wyróżniać, żeby poznawać świat zarówno poprzez prowadzenie badań naukowych, jak i tworzenie dzieł.

Proszę wybaczyć, ale czy w dobie slotów, punktów, parametryzacji, da się jeszcze wydobyć piękno z nauki?

Jeśli wziąć wszystkie procedury, schematy, w które jesteśmy wtłoczeni, to rzeczywiście trudno dziś mówić o nauce jako sztuce. Punkt ciężkości został położony nie na to, co i jak badać, ale gdzie opublikować. Liczy się ilość, nie jakość. Naukowcy zostali poddani presji, nic więc dziwnego, że pasja do odkrywania prawdy o świecie ustąpiła miejsca publikowaniu w mało wartościowych, ale wysoko punktowanych czasopismach. Trwa pogoń za punktami, nie ma miejsca na artyzm. A mimo to jesteśmy świadkami naukowych odkryć. Trzeba jednak pamiętać, że one nie powstają wówczas, gdy badacz ma z tyłu głowy systemowe reguły, które pętają mu ręce i nogi. Musi się od tego uwolnić. Pogodzenie tych dwóch postaw to dziś spore wyzwanie.

Czy w związku z tym odważyłaby się pani na określenie swoich kolegów i koleżanek mianem artystów nauki?

Władysław Tatarkiewicz uważał, że sztuka jest odtwarzaniem rzeczy, konstruowaniem form bądź wyrażaniem przeżyć, jeżeli wytwór tego konstruowania, wytwarzania, wyrażania jest zdolny zachwycać, wzruszać lub wstrząsać. Wielu uczonych wpisuje się w tę definicję. Odkrycia naukowe niejednokrotnie nas wzruszają, zachwycają. Sama nauka jest piękna. O teorii względności tak się mówi. Jej autor był zdania, że dobra teoria fizyczna, obok zgodności z doświadczeniem, musi odznaczać się pięknem wewnętrznym.

Czy naukowcom łatwo przychodzi znalezienie wspólnego języka z artystami?

Ba, niektóre instytucje naukowe zapraszają artystów do swoich laboratoriów. W Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN zorganizowano program rezydencyjny dla artystów, aby zderzyć ich emocje i zmysły z językiem matematyki i fizyki. Koncepcja dwumiesięcznej rezydencji w CERN polegała na tym, aby artysta zrealizował jeden z pomysłów, który powstał w jego wyobraźni zainspirowanej wielowymiarową fizyką cząstek elementarnych. W Massachusetts Institute of Technology pod koniec XX wieku poszerzono pola badawcze i dydaktyczne o szeroko rozumianą humanistykę. Powiem więcej, wielu naukowców jest artystycznie uzdolnionych i odwrotnie – niektórzy twórcy przejawiają inklinacje naukowe. Leonardo da Vinci był przecież jednocześnie naukowcem i odkrywcą, a inżynieria, obok malarstwa, była jego wielką pasją.



No tak, ale czy dziś, pięć wieków później, zdarzają się jeszcze tacy wszechstronni naukowcy?

Oczywiście, nie muszę daleko szukać. Mamy tu, na uniwersytecie, prof. Tadeusza Trzaskalika, który zajmuje się badaniami operacyjnymi, a więc matematycznym modelowaniem i optymalizacją procesów decyzyjnych z zakresu ekonomii, zarządzania i finansów. Doskonale łączy to z zapisem nutowym, bo gra na fortepianie. Miałam wielokrotnie okazję przekonać się o jego wirtuozerii podczas organizowanych przez niego koncertów. W ogóle sędzę, że muzyka jest ze wszystkich sztuk najbliższa nauce. Kod zapisu muzycznego w pewnym sensie przypomina właśnie język programowania. W mojej „działce”, czyli informatyce ekonomicznej, jest Donald Knuth, który gra na zaprojektowanych przez siebie organach. W jednej ze swoich książek dowodzi, że proces algorytmizacji i programowania wiąże się z przeżyciami estetycznymi podobnymi do tworzenia poezji lub komponowania muzyki. Według niego algorytm nie może być byle jaki, musi być elegancki, przejrzysty, zrozumiały. Używając języka artystów – to po prostu piękna forma. Dla mnie jednak odskocznią jest fotografia. Uwielbiam uwieczniać na zdjęciach piękno otaczającego świata, przyrodę, góry. Ostatnio zachwycałam się Górami Izerskimi. Na wyprawach zawsze zostaję z tyłu, bo ciągle szukam odpowiednich kadrów. Ale nawet w przydomowym ogrodzie często mam aparat pod ręką. Znajomi namawiają mnie na wystawę prac, może w przyszłości się zdecyduję.

Właśnie, ekonomistów, podobnie jak przedstawicieli nauk inżynierjno-technicznych, rzadko kiedy łączy się z umiłowaniem sztuki. To błąd?

Ogromny. Bernard Shaw mówił, że ekonomia jest sztuką jak najlepszego wykorzystania życia. Badamy, jakich społeczeństwa i jednostki ludzkie dokonają wyborów, jeżeli chodzi o wykorzystywanie ograniczonych zasobów do wytwarzania dóbr i ich konsumpcji. W dobie rosnącego konsumpcjonizmu, marnowa-

nia zasobów, skażenia środowiska, nierównowagi ekonomicznej wykształcił się nurt, który zwraca uwagę na sztukę rozumnego zarządzania tymi ograniczonymi zasobami. Już samo zarządzanie to sztuka planowania, organizowania, motywowania i kontroli, do głosu dochodzą tu też – tak ważne w przypadku artystów – kreatywność, intuicja, wyobraźnia. My też posługujemy się nie tylko twardymi danymi, lecz także miękkimi kompetencjami. Ekonomia pozytywna definiuje, jakie prawa rządzą gospodarowaniem, zaś ekonomia normatywna integruje ekonomię z etyką, wartościami społecznymi, kulturowymi. Wskazuje pewne wartości, zalecenia, niekoniecznie wynikające z liczb, zbliża się w tym do sztuki. Bo jej przedmiotem nie jest świat rzeczywisty, ale nowy, oparty na regułach, które są nie zawsze wynikiem tej niekwestionowanej wiedzy, bardziej wrażli-

wości, empatii. Tu jest miejsce na element sztuki.

A może tak naprawdę szukamy na siłę punktów wspólnych nauki i sztuki? Czy jest w ogóle potrzeba łączenia tych obszarów?

Nie mam co do tego wątpliwości. Uczni mogą wiele czerpać od artystów, przyglądać się, jak należy wychodzić poza utarte schematy. W drugą stronę też to działa – do tworzenia pięknych, wartościowych dzieł, trzeba nauczyć się krytycznego myślenia, żeby lepiej poznawać świat, opisywać go. Działania, które wspomagają taką współpracę, są bardzo pożądane. EASA odgrywa tu znaczącą rolę. Zresztą sama akademia, zgodnie z filozofią starożytnej szkoły Platona, oznacza zgromadzenie uczonych i artystów mające za cel rozwój nauki i sztuki. Idąc w poprzek wszelkim podziałom, w minionym roku utworzono sieć grup eksperckich, które mają integrować zainteresowania badawcze wszystkich członków. Są cztery takie grupy: digitalizacja, sztuczna inteligencja i wpływ społeczny; badanie, innowacje, edukacja; medycyna i nauki przyrodnicze; środowisko, klimat i energia, w których jest miejsce i dla artystów, i dla naukowców.

Jakie zadanie postawiła sobie pani, przyjmując zaproszenie do EASA?

Jestem przekonana, że wpłynie to na poszerzenie horyzontów badawczych, nowe kontakty naukowe i dalszy rozwój, nie tylko mój własny, ale też zespołów, z którymi teraz współpracuję. Chciałabym, żebyśmy stworzyli silną polską grupę. Jest nas około 40, reprezentujemy różne dyscypliny, ale nie powinno to przeszkodzić w zorganizowaniu ciekawych konferencji, warsztatów czy sympozjów. Poza tym chcę się włączyć w tworzenie czasopisma EASA. Wiele publikacji ma charakter dziedzinowy, mało jest artykułów, które łączyłyby różne dyscypliny i sztukę. Chciałabym pokazać, jak inna perspektywa, inne spojrzenie może zmienić ogląd danego zjawiska.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Dariusz Markowski

Fotografia w malarstwie

Portret Theodora von Bethmann-Hollweg autorstwa Franza Lenbacha

W obrazie bydgoskim odnajdujemy wszelkie cechy najlepszych portretów artysty: skrupulatność w oddaniu cech osobowych modela, doskonale przemyślaną kompozycję i wysmienite oddanie charakteru postaci.

Portret Theodora von Bethmann-Hollweg autorstwa Franza von Lenbacha, namalowany w technice olejnej na podobrazii drewnianym o wymiarach 96 x 72 cm, sygnowany i datowany w prawym górnym narożniku „F. Lenbach 1883” od 2004 roku jest własnością Archiwum Państwowego w Bydgoszczy. W archiwalnym Inwentarzu Zespołu Akt został wpisany pod numerem 182 jako „Archiwum rodziny von Bethmann-Hollweg z Runowa Krajeńskiego z lat 1739-2003” z adnotacją: „w technice olejnej, czas powstania 1883”.

Kim był Theodor von Bethmann-Hollweg? Był synem Maurycyego, z wykształcenia prawnikiem i dyplomatą (członkiem Reichstagu), ministrem kultury Prus, a także przyjacielem króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV. Od 1852 r. stał się właścicielem posiadłości w Runowie Krajeńskim. To za jego czasów przebudowano renesansowy pałac w stylu francuskim, a park przekształcono w stylu angielskim. W 1870 r. Theodor ożenił się z Fredą von Arnim-Boitzenburg, córką nadprezydenta prowincji poznańskiej. Rodzina von Bethmann-Hollweg mieszkała w pałacu w Runowie Krajeńskim do lat 20. XX wieku, kiedy to na skutek kryzysu zmuszona była sprzedać posiadłość i przeprowadzić się do Niemiec. Obecnie pałac jest ruiną.

Portret Theodora von Bethmann-Hollweg został przekazany wraz z innymi rodzinnymi pamiątkami i dokumentami Archiwum bydgoskiemu przez mieszkające w Anglii dzieci Joachima-Albrechta i Barbary von Bethmann-Hollweg. W roku 2017 obraz trafił do Katedry Konserwacji-Restauracji Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej UMK, gdzie został poddany szczegółowym badaniom oraz pracom konserwatorskim wykonanym przez studentkę I. Jabłońską pod kierunkiem prof. dr. hab. D. Markowskiego, dr. hab. S. Kamińskiego i dr. hab. M. Wachowiaka.

Artysta spełniony

Autor obrazu, Franz von Lenbach, należał do wybitnych portrecistów końca XIX w., urodził się 13 grudnia 1836 w Schrobenuhausen w Bawarii, w średniozamożnej rodzinie, ojciec malarza był kamieniarzem. W 1848 r. Franz ukończył szkołę podstawową w Landsbergu, a następnie Szkołę Biznesu w Land-

shut. W latach 1851-1852 odbył praktykę w pracowni rzeźbiarza Anselma Sickingera w Monachium. Na krótko, po śmierci ojca, wrócił w rodzinne strony, aby pomóc w prowadzeniu rodzinnego przedsiębiorstwa. Studia odbył w Wyższej Szkole Zawodowej w Augsburgu, w wolnych chwilach rysując i malując. Podczas studiów zaprzyjaźnił się z Johanem Baptistą Hofnerem, artystą znanym z malowania zwierząt, w tym martwych natur ze zwierzętami. Hofner, absolwent monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych, był artystycznym towarzyszem Lenbacha, dzieląc z nim wspólne mieszkanie w Aresing w latach 1854-1856. Z faktem tym wiąże się powstanie tzw. kolonii artystów Aresingera. Znajomość ta zainspirowała Lenbacha do głębszego zastanowienia się nad studiami malarskimi. Rozpoczęła je w 1854 r. na Akademii Sztuk Pięknych w Monachium pod okiem Karla von Piloty'ego oraz pobiera prywatne lekcje rysunku u Hermanna Anschütza. W 1858 roku ma miejsce wystawa prac Lenbacha w Glaspalast, dzięki której otrzymuje stypendium podróżnicze. Pieniądze umożliwiają mu wyjazd do Rzymu, podczas którego powstało kilka znaczących prac w dorobku artysty (*Chłop szukający schronienia w Bad Weather* z 1855 r., *Pasterze kóz* z 1860 r., w Galerii Schack, Monachium i *Łuk Tytusa* ze zbiorów Palfy w Budapeszcie). Odbywa również podróże do Paryża i Brukseli. Artysta coraz częściej otrzymuje zamówienia na portrety.

Po powrocie do Monachium w 1862 r. zostaje mianowany na stanowisko profesora w Książęcej Szkole Sztuk w Weimarze. Warto wspomnieć, że Lenbach ponownie współpracuje z Hofnerem, często malując tło w jego obrazach. W szkole zasłynął z tego, że zabierał studentów na wyprawy malarskie „na wolnym powietrzu”, które dawały ogrom pozytywnych doświadczeń i wiedzę na temat malowania natury i pejzażu. Plenery malarskie miały również za zadanie uczyć szybkiego myślenia artystycznego i przyczynić się do poprawnej techniki malowania, w tym szybkiego szkicowania, czego Lenbach był gorącym zwolennikiem. Po dwóch latach pracy w Weimarze wyjeżdża do Włoch w celu dalszego kształcenia warsztatowego. Mecenaszem artysty zostaje baron Adolf Friedrich von Schack, dzięki wsparciu którego malarz nie musi troszczyć się o byt, poświęcając się

wyłącznie pracy twórczej. Podczas pobytu we Włoszech Lenbach kopiuje dzieła dawnych mistrzów. W roku 1866 powraca do Monachium, a rok później zdobywa złoty medal na wystawie uniwersalnej i wyrusza do Hiszpanii w towarzystwie studenta, Ernsta Friedricha von Lipharta, w celu namalowania obrazów dla barona Schacka.

Po roku 1870 artysta powraca do malowania portretów, coraz częściej wyjeżdżając do Wiednia, w celu zapewnienia w stolicy cesarstwa rynku zbytu na swoje dzieła. Badacze twórczości Lenbacha częste wyjazdy artysty do Wiednia łączą z osobą Marii Beccadelli di Bologna, z którą łączyła artystę wielka przyjaźń. W latach 1875-1876 Lenbach wraz z m.in. Hanssem Makartem przebywa w Egipcie, co wpłynęło również na tematykę dzieł artysty. W roku 1882 otrzymuje Order Zasługi Korony Bawarskiej oraz tytuł von Lenbach. Rok później wraca do Rzymu, mieszka w apartamentach przy Palazzo Borghese. W 1885 r. otrzymuje zlecenie wykonania portretu papieża Leona XIII. Warto nadmienić, że portret ten artysta w dużej części, ze względu na liczne obowiązki papieża, malował z odbitki fotograficznej, co miało przyspieszyć sam proces malowania.

W roku 1887 artysta opuszcza Rzym i wraca do Monachium, gdzie buduje dużą willę. Rok później żeni się we Wrocławiu z młodszą od siebie o 28 lat hrabiną Magdaleną Moltke, a w 1892 r. przychodzi na świat córka Marion. Druga córka Erika urodziła się trzy lata później. Małżonkowie rozwodzą się w 1896 r., młodszą córkę Erika została z matką, Marion z ojcem. Artysta po kilku latach poślubił swoją uczennicę Charlotte von Hornstein, córkę znanego i cenionego kompozytora Roberta von Hornsteina. W roku 1899 z tego związku przychodzi na świat córka Gabriela (ur. w 1899 r.). Magdalena von Moltke, była żoną Lenbacha, również zawiera związek małżeński, wychodzi za mąż za lekarza Bismarcka, doktora Ernsta Schwenningera. Ok. 1900 r. Lenbach zajął się produkcją kart handlowych dla firmy czekoladowej Stollwerck z Kolonii, a w 1902 r. został Honorowym Rycerzem Legii Honorowej. W tym samym roku, wracając z podróży do rodzinnego miasta, przeżył udar mózgu i od tej pory już nigdy nie wyzdrowiał. Dwa lata po tym wydarzeniu umiera w monachijskiej willi 6 maja 1904 r. Zostaje pochowany na Cmentarzu Zachodnim w Monachium.

Lenbach stronił od wstępowania do artystycznych stowarzyszeń, odmówił np. przyłączenia się do grupy Secesji Monachijskiej i bardzo krytycznie odnosił się do nowego bawarskiego Muzeum Narodowego. Bez wątplenia był człowiekiem spełnionym zarówno finansowo, jak i artystycznie.

Analizując twórczość malarską Franza von Lenbacha, należy stwierdzić, że należał do artystów, którzy odchodzą od tradycyjnych technik malarskich. Zafascynowany był techniką tempery, która swój ponowny rozkwit przeżywa w latach 1850-1914. Stosuje technikę *alla prima*, wykorzystując szybko schnące farby wodne, ale większość dzieł Lenbacha to obrazy malowane wielowarstwowo, w których pierwsze warstwy podmalowań wykonane są temperą, a warstwy wykończeniowe farbami olejnymi. Taka technika zbliża artystę do malarstwa wielkich mistrzów, w którym podmalowania oraz wierzchnie warstwy laserunków odgrywają niezwykle istotną rolę. Z całą pewnością na twórczość artysty miał wpływ jego wyjazd do Włoch, gdzie kopiował dawnych mistrzów, stąd jego dzieła bliskie są malarstwu zarówno Rubensa, jak i Rembrandta czy malarzy włoskiego renesansu, Tycjana i Veronese'a. Portrety Lenbacha bliskie są również dziełom niemieckich mistrzów renesansu Dürera czy Holbeina, chociażby w sposobie ujęcia osoby portretowanej, ukazanej w eleganckim stroju na ciemnym, prawie czarnym tle. Lenbach, będąc jednym z najbardziej znanych i najlepiej opłaconych portrecistów w Cesarstwie Niemieckim, malował portrety osób publicznych, takich jak cesarze Wilhelm I, Franciszek

Józef, król Ludwik I Bawarski, stworzył niezliczoną ilość portretów Otto von Bismarcka, malował również eleganckie panie, wybitnych polityków, ludzi sztuki czy biznesmenów (Peggy'ego Guggenheima, Richarda i Cosimę Wagner, Franciszka Liszta, księcia Luitpolda, Williama Gladstone'a).

Portret *Theodora Bethmann-Hollweg* należy do licznej grupy portretów ludzi z wyższych sfer, chociaż w twórczości Lenbacha pojawiają się i portrety osób z klasy średniej. W obrazie bydgoskim odnajdujemy wszelkie cechy najlepszych portretów artysty: skrupulatność w oddaniu cech osobowych modela, doskonale przemyślaną kompozycję i wysmienite oddanie charakteru postaci. Zastosowanie ciemnego, prawie czarnego tła, tak jak i w innych dziełach artysty, doskonale kontrastuje z jasną karnacją portretowanego. Analiza znanych malarskich szkiców artysty jednoznacznie dowodzi, że Lenbach był doskonałym rysownikiem, oddającym z pietyzmem każdy detal osoby portretowanej. Podobne cechy znajdujemy w portrecie Theodora von Bethmann-Hollweg, w którym postać portretowanego, dojrzałego mężczyzny, ukazana jest *en trois quarts* (w trzech czwartych), na neutralnym, ciemnym tle, z wydłużoną twarzą pełną godności i wyniosłości, o miękkim modelunku, z lśniącościami oczami, wąskimi ustami, widocznymi zmarszczkami wokół oczu i ust oraz brodą. Postać zwrócona w prawo wypełnia większą część prawej strony obrazu, ubrana jest w elegancki i szykowny czarny garnitur. Pod szyją widoczny jest biały kołnierzyk. Kolorystyka obrazu, jak w większości portretów artysty, utrzymana jest w wąskiej gamie barwnej, ze zdecydowaną przewagą barw ciepłych, z wyraźnymi akcentami, jakie stanowią jasna karnacja oraz czerń ubrania. Portret jest przykładem malarstwa o silnych kontrastach światłocieniowych.

Technika wykonania

W ramach przeprowadzonych prac konserwatorskich wykonano szczegółowe badania obrazu, pozwalające określić technikę jego wykonania. Podobrazie o wymiarach 72 x 96 cm i grubości 1,1 cm, składa się z trzech sklejonych ze sobą pionowych desek lipowych, wzmocnionych na odwrocie parkietem składającym się z czterech profilowanych listew wpuszczonych w podobrazie w równej odległości na jaskółczy ogon.

Deski przeklejone zostały klejem glutynowym, a następnie zagruntowane w kilku warstwach białą, emulsyjną zaprawą na bazie kleju glutynowego i oleju lnianego oraz kredy i bieli ołowiowej jako wypełniaczy. Po wyschnięciu zaprawy dokładnie wyszlifowano całą jej powierzchnię i naniesiono warstwę monochromatycznej, szarobrazowej podmalówki (potwierdzają to badania mikroskopowe przekrojów poprzecznych próbek). Kolejnym etapem było naniesienie swobodnego rysunku, wykonanego za pomocą ołówka (patrz fot. 2) i ryłca (szczególnie cienkie wklęsłe linie są widoczne w partiach twarzy). Najważniejsze kontury dodatkowo wzmocniono ciemną farbą.

Na całość naniesiono warstwę olejno-żywicznej izolacji i przystąpiono do właściwego opracowania malarskiego. Analizując technikę malarską, można stwierdzić, że jest ona wielowarstwowa, w której poszczególne partie kolorystyczne rozpoczynano zapewne, wychodząc od ciemniejszych podmalowań. Następnie stopniowo podnoszono światła poprzez dodatek bieli do koloru lokalnego. Karnacja malowana *alla prima*, z widocznymi subtelnymi przejściami walorowymi oraz impastami (błkami) bielą w miejscach najwyższych światła oraz pogłębianiem cieni ciemnym brązem. Modelunek światłocieniowy wykonany został precyzyjnie, z dbałością o szczegóły. W olejnej warstwie malarskiej zidentyfikowano obecność bieli ołowiowej, kredy, bieli cynkowej, ugru, żółceni cynkowej, cynobru, błękitu pru-



Fot. 1. Franz von Lenbach, *Portret Otto von Bismarcka* z 1895 r., Galeria Narodowa w Berlinie.

Fot. D. Makowski

skiego, umbry, ziemnych brązów żelazowych i czerni organicznej (prawdopodobnie sadzy).

Fotografia w twórczości portretowej Lenbacha

W liście z 1878 roku do Josephine von Wertheimstein, swojej powierniczki, Franz von Lenbach pisał: „Wielkim problemem jest dla mnie uchwycić ulotne wyrażenia ludzi, ale wierzę i mam nadzieję, że pokonam tę przeszkodę”.

Analizując portrety artysty, można dojść do przekonania, że od końca lat 70. (zaraz po osiedleniu się w Monachium, w 1876 r., aby poświęcić się w pełni portretowaniu) Lenbach zmienił metodę tworzenia, wynikającą z samego procesu pozowania modela w pracowni. Jak wspomniano wcześniej, malując w roku 1885 portret papieża Leona XIII, artysta posiłkował się odbitką fotograficzną, co miało ułatwić wykonanie portretu. Metoda wykorzystywania fotografii w malowaniu portretu z całą pewnością stosowana była przez Lenbacha znacznie wcześniej. Powodu korzystania z fotografii można doszukiwać się nie tylko w ułatwieniu malowania, ale również w tym, że zdaniem artysty nie udało się wydobyc cech modela zastygłego w jednej pozie podczas pozowania.

Artysta miał wyjątkowy stosunek do fizjonomii malowanych postaci. W 1897 r. powiedział Wilhelmowi Wyłowi, jednemu ze swoich biografów: „Już wtedy zauważyłem, że mam niezwykle małą wyobraźnię i pamiętam tylko jedno: organiczną logikę natury, jeśli wolno mi tak to ująć. Mogłem na przykład zobaczyć, jak ucho konkretnej osoby wyłoniło się z jego głowy i kiedy to zobaczyłem, utkwiło we mnie jako organiczna nieuchronność i pojawiało się przed moimi oczami, ilekroć o tym pomyślałem”.

Szkic Lenbacha, przedstawiający *Portret Theodora Mommsena* z 1897 r. z berlińskiej Galerii Narodowej, ujawnia niezwykle dar obserwacji malarza. Artysta ukazuje najbardziej istotne części głowy portretowanego: wyrazisty nos, przejście między nosem a ustami, duże wyraziste i lśniące oczy, zmarszczki

w okolicach oczu oraz widoczne unerwienie przy skroni głowy (patrz fot. 5,6). Miękkie przejścia uzyskane są delikatnym rozcieraniem farby oraz wykorzystaniem koloru tła podobrazia (brązowej tektury). Wyraz twarzy portretowanego wykazuje cechy pogłębionej analizy psychologicznej postaci. Widzimy w nim wybitnego znawcę prawa rzymskiego, historyka, poeetę, przyszłego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

W szkicu tym widzimy, że zainteresowanie Lenbacha wykraczało poza zwykłe kopiowanie głowy we wszystkich szczegółach. Artysta chciał uchwycić charakterystyczny wyraz twarzy modela. Z biegiem lat nabierał coraz większego przekonania, że aby uzyskać wymowną podobiznę, powinien raczej rejestrować wyraz twarzy i ruchy ciała modela, niż przedstawiać dokładną, dwuwymiarową kopię ogólnego jego wyglądu. Portret ten jest bez wątpienia przykładem ewolucji dokonującej się w twórczości Lenbacha jako portrecisty.

W 1856 r. anatom E. Harless w swojej książce *Lehrbuch der plastischen Anatomie für akademische Anstalten und zum Selbstunterricht* (Podręcznik anatomii plastycznej do użytku akademickiego i samokształcenia) skrytykował popularne teorie Johanna Caspara Lavatera, który pod koniec XVIII wieku twierdził, że cechy psychiczne człowieka wpływają na kształt, strukturę i proporcje głowy. Zdaniem Lavatera, ludzka fizjonomia jest głównym wskaźnikiem osobowości. W myśl teorii Harlessa więcej można dowiedzieć się o charakterze człowieka, badając ruchy mięśni twarzy niż dokonując pomiarów czaszki.

Niemiecki pisarz Theodor Piderit w 1867 roku opublikował podręcznik dla fizjologów i psychologów, a także artystów i krytyków sztuk pt. *Wissenschaftliches System der Mimik und Physiognomik* (Naukowy system ekspresji i fizjonomii), w którym zasugerował, że to nie fizjonomia, ale raczej fizjologia – wyraz twarzy i ruchy – ujawniają wewnętrzną naturę osoby. Piderit podkreślał różnicę między chwilowymi i stałymi ruchami twarzy, twierdząc, że to właśnie te ostatnie tworzą charakterystyczny wyraz człowieka. Ponieważ podręcznik Piderita był w swoim czasie powszechnie znany, możemy przypuszczać, że Lenbach znał idee autora, które zainspirowały malarza do zmiany w podejściu do malarstwa portretowego. Stąd już tylko krok do sięgnięcia po fotograficzną odbitkę, dającą szersze spojrzenie na poznanie psychologicznych cech osobowych portretowanych. Wiadomo, że na początku lat 80. XIX wieku Lenbach regularnie zatrudniał profesjonalnych fotografów, takich jak Friedrich Wendling, Adolf Baumann i Karl Hahn, do fotografowania swoich modelek, co ułatwiły suche klisze, które właśnie pojawiły się na rynku, oraz aparat pudełkowy.

Od roku 1890 Lenbach coraz częściej korzysta z fotografii, malując portrety, co staje się popularnym zabiegiem wśród wielu artystów, tworzy szereg szkiców modeli. Znana jest historia swoistego skandalu, jaki miał miejsce w 1895 r., a spowodowany był faktem wykradania przez jednego z asystentów malarza niedokończonych jego dzieł, obrazów i szkiców, które przekazywał studentom w celu ich dokończenia i które z dużym zyskiem sprzedawał jako dzieła mistrza. Podobny przypadek miał miejsce również w przypadku Jacka Malczewskiego. Przyjaciel malarza Mieczysław Gąsecki żalił się, że w pracowni w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie ginęły obrazy i były to przeważnie podmalowane szkice. Okazało się, że wykradał je służący, który następnie dawał je jakimś malarzom do „wykończenia”, a potem za duże pieniądze sprzedawał.

Sam Lenbach tak opisał swoją nową metodę: „Kiedy już narysowałem figurę z życia (i zawsze robię to najpierw) i sфотографowałem ruch, staje się to kwestią dopracowania go za pomocą fotografii i wyobraźni”. Nie było więc to wykonywaniem portretów za pomocą szkiców i fotografii, ale wykorzystywaniem przez niego fotografii w uchwyceniu ruchu.

Poniższy przykład ilustruje standardową procedurę Lenbacha. Około 1895 r. artysta otrzymał zlecenie namalowania portretu egiptologa Georga Ebersa. Ebers przyszedł do pracowni Lenbacha w towarzystwie swojego syna Hermanna, który został relacją z tego, co się tam wydarzyło. Artysta zaczął od zastąpienia mało inspirującego płaszcza Ebersa ciemną, obszytą futrem peleryną i przygarbionym kapeluszem. Pod pretekstem „poznania modelu” zaaranżował z nim rozmowę, w trakcie której syn portretowanego usłyszał klikanie za czarnymi zasłonami. Okazało się, że Karl Hahn robił zdjęcia tej osobie, ilekroć Lenbach dawał mu dyskretny znak ręką.

W Lenbacharchiv (Archiwum Lenbacha) w Kolonii zachowały się cztery z dwudziestu zdjęć, które Hahn zrobił podczas tej sesji. Wszystkie ukazują Ebersa na białym tle, różnice między jego pozami są niewielkie, ale efekty psychologiczne są zadziwiająco zróżnicowane.

Wróćmy do wspomnianego podręcznika Theodora Piderita. Jeden z rozdziałów badacz poświęcił oku, wydaje się, że był on szczególnie istotny dla praktyki stosowanej przez Lenbacha. Piderit dowodzi, że ruchy oka odzwierciedlają sposób myślenia człowieka. Centralnym punktem jego dyskusji jest pojęcie „wydajności umysłowej”. Piderit sugeruje, że nieruchome spojrzenie może być skupione na czymś rzeczywistym lub wyimaginowanym: „Osoba patrzy nieruchomo, gdy napotyka rzeczywiste przedmioty w prawdziwym życiu lub wyimaginowane w swojej fantazji, lub gdy postanawia działać z determinacją lub przykładać się do intensywnego myślenia”. Dlatego zapewne Lenbach nie prosił swoich modeli, aby przybierali arbitralną minę lub pozę, ale raczej angażował ich w intelektualną rozmowę, zachęcając do mówienia o swoim zawodzie. W niektórych przypadkach prosił o słuchanie muzyki. Dzięki stworzeniu atmosfery, w której osoby pozujące zachowywały się naturalnie, ale nie były swobodne czy znudzone, ich fizjonomie stały się interesujące.

Wracając do sposobu pracy Lenbacha, warto omówić kilka istotnych szczegółów związanych z posługiwaniem się fotografią. Zanim artysta przeszedł od fotografii ruchu do gotowego portretu, naklejał na kartonik serię ujęć (najpierw używał pojedynczych ujęć, później stykowych). Oglądanie sekwencji ruchu dawało artyście poczucie skali wyrazu twarzy modela i pomagało wybrać najbardziej charakterystyczną cechę. Po wybraniu najlepszych części kilku fotografii artysta przenosił je na płótno. Zaczynając od tak tradycyjnych metod pracy, jak siatki kwadratów nanoszone na powierzchnię obrazu, przez stosowanie kalek, aż po przenoszenie kompozycji poprzez naświetlenie. W tej ostatniej metodzie powiększał i drukował negatyw na specjalnie przygotowanym płótnie, nakładając cienie na ledwo widoczny pozytywny, który ostatecznie został pokryty światłami i cieniami. Obraz nigdy nie był jednak dokładną kopią pojedynczej fotografii, ponieważ artysta często łączył różne elementy z kilku fotografii.

Obrazem wykonanym przy użyciu tej metody, oprócz *Portretu papieża Leona XIII*, jest *Portret Johanna Straussa*. Kom-



Fot. D. Marowski

Fot. 2. Fragment lica obrazu w bliskiej podczerwieni (IR). Widoczny wstępny, autorski rysunek wykonany ołówkiem.



Fot. I. Jabłońska

Fot. 3. Fragment *Portretu Theodora von Bethmann-Hollweg*, 1883 r., Archiwum Państwowe w Bydgoszczy.



Fot. I. Jabłońska

Fot. 4. Franz von Lenbach, *Portret Theodora von Bethmann-Hollweg*, 1883 r., Archiwum Państwowe w Bydgoszczy



Fot. 6. Fragment Portretu Theodora Mommsena F. Lenbacha z 1897 r. z berlińskiej Gallerii Narodowej



Fot. 5. Franz von Lenbach, Portret Theodora Mommsena z 1897 r., Galeria Narodowa w Berlinie

pozytor zamówił portret w 1895 roku. Najpierw wykonano zdjęcia kompozytora, na podstawie których wykonano szkice, a następnie ostateczny obraz. Całość miała miejsce bez udziału portretowanego.

Zachowane w Archiwum Lenbacha w Kolonii fotografie wspomnianego seansu ukazują Straussa patrzącego w różnych kierunkach: bezpośrednio na widza, w prawo, w stronę sufitu. Rejestrują również różne pozycje rąk. W jednym lewa ręka jest zaciśnięta w pięść na poręczu krzesła, w innym jego ręce spoczywają lekko na udach, w trzecim są złożone razem na jego kolanach. Wydaje się, że artysta był zainteresowany stworzeniem harmonijnego rozmieszczenia jasnych i ciemnych obszarów, ponieważ najpierw sfotografował Straussa w czarnym garniturze z ciemnym krawatem, a następnie w jasnych spodniach, ciemnej marynarce i białym krawacie. Fotografie dostarczyły konkretnych szczegółów, które malarz połączył następnie w gotowy portret. Choć nowe medium, jakim jest fotografia, było szeroko stosowane przez artystów, wielu z nich uciekało się do tego, by zachować je w tajemnicy. Dzieło sztuki miało być unikatem, wytworem ręki mistrza. Wykorzystywanie fotografii wydawało się zaprzeczać tym oczekiwaniom. Lenbach był świadomy tej postawy i często ukrywał praktykę robienia zdjęć swoich modeli. W przypadku przyzwyczajonych do fotografowania wybitnych osób, takich jak Otto von Bismarck czy Helmuth Graf von Moltke, nie ukrywał faktu wykonywania fotografii.

Warto wspomnieć jeszcze jednego klienta Lenbacha, kompozytora Richarda Wagnera, który z entuzjazmem podchodził do posługiwania się fotograficznymi odbitkami przy malowaniu portretów. Malarz wykonał cztery jego portrety. Jeden z nich, z lat 1881–82, przypomina szereg cech obrazu bydgoskiego. Wiadomo, że powstał on na podstawie fotografii wykonanej przez Josefa Alberta oraz szkiców z natury. Lenbach w dziele tym starał się wyjść naprzeciw myśli wyrażonej przez Wagnera, że „im bardziej stanowczy jest jego zewnętrzny wyraz swojej wewnętrznej jaźni, tym wyższy jest jego status artysty”.

Oba portrety zostały namalowane w technice olejnej w cienkich warstwach, dających możliwość wielokrotnego ich przerbiana i retuszowania bez oczekiwania na długi czas schnięcia. Pod warstwą malarską widoczny jest wstępny rysunek wykonany ołówkiem, na którym malarz nakreślił kształty uszu, oczu, ust i włosów. Mamy tutaj połączenie szkiców „z natury” z odrysowywaniem lub kopiowaniem fotografii. Podobnie stroje portretowanych uzyskiwane są kilkoma grubymi pociągnięciami pędzla. Jasno oświetlona twarz Wagnera i Theodora von Bethmann-Hollweg wydają się wyłaniać z mrocznego tła, jak z zaciemnionej sceny. Nawet bez bezpośredniego kontaktu wzrokowego przykuwają pełną uwagę widza.

Wraz z rozwojem technik fotograficznych popularne staje się wykonywanie reprodukcji dzieł (szczególnie w II poł. XIX w.) za pomocą fotografii, co podyktowane było w dużej mierze niższymi kosztami wykonania dzieła. Fotografie takie na różnych podłożach podmalowywano bardziej lub mniej starannie, często pozostawiając niezamalowane partie cienia, a podnosząc modelunek światłem. Bywało też na odwrót – pozostawiano np. niezamalowane partie karnacji, najczęściej nie modelowano w całości twarzy, stąd fotografia widoczna jest np. w partiach cienia karnacji. Popularne stają się małych formatów deseczki z naklejoną na nie, na cienkim papierze fotografią, w nieznacznym stopniu tylko podmalowaną w celu nadania efektów plastyczności, dodatkowo werniksowane ciemnym lakierem w celu nadania im patyny.

Czy bydgoski Portret Theodora von Behmann-Hollweg został wykonany z natury, czy z fotografii? Tego niestety nie uda się nam jednoznacznie ustalić, zresztą nie ma to chyba znaczenia. Bez wątpienia jest on pięknym przykładem malarstwa portretowego, ukazanego w sposób naturalistyczny z niezwykłą wirtuozerią.

Prof. dr hab. Dariusz Markowski, Katedra Konserwacji-Restauracji Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej, Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Magia, która działa

Skoro nauka to magia, która działa, to nauka w służbie zdrowiu jest magią ze wszech miar pożyteczną.

Trudno o bardziej powszechne życzenia niż te dotyczące zdrowia. Oczywiście nijak z tym polemizować. Wszak można chcieć bogactwa, sławy, a nawet pokoju na świecie i z pewnością wielu byśmy znaleźli z takimi potrzebami. Trudno jednakże wszystkimi tymi dobrodziejstwami cieszyć się w chorobie. Z pewnością potrzeba zdrowia jest też jedną z pierwszych, jakie wyrażała ludzkość. Co więcej, badania prehistorii pokazują, że nasi przodkowie nie poprzestawali na artykułowaniu owej potrzeby, lecz aktywnie starali się owo zdrowie zachować czy przywrócić. Świadczą o tym na przykład niektóre zwyczaje pogrzebowe naszych przodków. W grobach neandertalskich myśliwych odnaleziono ślady roślin, które nie wyróżniają się ani wyglądem, ani smakiem czy zapachem, jednak w medycynie tradycyjnej bywały wykorzystywane w celach leczniczych. Owo dawne leczenie, podobnie jak sama potrzeba zdrowia, było zawieszona w sferze życzeniowej oraz bardzo głęboko zakorzeniona w przesądach i magii. Inna rzecz, że przeglądając ofertę dzisiejszych uzdrowicieli, naturoterapeutów oraz sklepów z suplementami, utwierdzamy się w przekonaniu, że jeśli chodzi o magię, to nic się w tej sprawie nie zmieniło. Czy należy się temu dziwić, że w dobie aseptyki, neurochirurgii czy terapii genowych pozwalamy się zwodzić nieracjonalnym obietnicom i sprzedawcom lewoskrętnych witamin? Dziwić się z pewnością warto, jak wszystkiemu, co można zbadać i zrozumieć. Tutaj zdziwienie jest konieczne dla zauważenia problemu i podjęcia trudu badawczego. Wracając zaś do uzdrawiania, można przyznać, że nasz układ odpornościowy stał się trochę ofiarą własnego sukcesu. Sam proces naturalnego odzyskiwania zdrowia jest tak potężny, a jednocześnie tak niezrozumiały, że zakrawa na cud. Nie raz zresztą odzyskanie zdrowia przypisujemy nadprzyrodzonej interwencji, tak silnie robią na nas wrażenie zdolności regeneracyjne naszego organizmu. Oczywiście splendor spływa też na ludzi potrafiących zdrowie przywrócić oraz, choć w nieco mniejszym stopniu, na leki użyte w tym zbożnym celu. Szczęśliwie tych mamy obecnie dosyć, aby nie musieć w każdej chorobie uciekać się do pomocy niebios. Dziś coraz częściej mówimy, że to medycyna działa cuda, już nie Bóg, duch czy szaman. Mamy na myśli oczywiście wiedzę naukową i praktykę, a nie system ochrony zdrowia. Zresztą w przypadku tego ostatniego moglibyśmy mówić, przynajmniej w Polsce, raczej o czarnej magii. Skoro i dziś nie umiemy odciąć się w pełni od magicznych korzeni medycyny, nie należy się dziwić, że twórca pierwszej naukowej i racjonalnej metody poszukiwania leków oraz pierwszego „chemicznego” leku, Paul Ehrlich, nazwał swój wynalazek Zauberkugel, czyli magiczny pocisk.

Historia badań tego niemieckiego chemika i mikrobiologa jest na tyle pouczająca, że warto ją poznać bliżej. Paul Ehrlich urodził się w 1854 r. w Strzelinie, w żydowskiej rodzinie gorzelników i sprzedawców procentowych trunków. Być może to właśnie rodzinne tradycje zaszczyliły w nim zainteresowanie chemią i mikrobiologią. W swojej pracy podejmował wiele trudnych i jak na owe czasy nowatorskich problemów jak metody barwienia komórek, badania odporności oraz opracowania surowicy przeciwbłoniczej. Przede wszystkim szczególnie istotne dla naszych dzisiejszych rozważań możliwości wykorzystania chemii w selektywnym niszczeniu drobnoustrojów. Było to ziszczeniem czternastowiecznej teorii jatrochemii, czyli wykorzystania wiedzy chemicznej do leczenia, zamiast magicznych (oczywiście) poszukiwań kamienia filozoficznego. U źródeł takiego podejścia można doszukać się odwrócenia słynnej tezy Friedricha Wöhlera, który jako pierwszy otrzymał organiczny związek z nieorganicznej materii, obalając tym samym przekonanie, że substancje organiczne mogą powstawać tylko w organizmach żywych. Ehrlich tymczasem poszukiwał związków syntetycznych, które choć wytworzone w laboratorium, będą oddziaływać na żywą materię ze specyficzną siłą naturalnego serum. Warto tutaj przypomnieć, że w XIX w., pomimo znajomości podstaw sterylizacji oraz środków niszczących drobnoustroje, większość zakażeń była śmiertelnie niebezpieczna. Na odkrycie antybiotyków, które zrewolucjonizowały leczenie zakażeń, trzeba było czekać jeszcze blisko pół wieku. Tymczasem żaden z ówczesnych sposobów eliminacji bakterii, włącznie ze świeżo odkrytą pasteryzacją, nie nadawał się do leczenia. Innymi słowy wszystko, co niszczyło mikroorganizmy, zabijało też samego pacjenta. Przeciwciała powstające naturalnie w organizmie człowieka lub zwierzęcia mogą selektywnie działać na drobnoustroje, jednak ich wykorzystanie lecznicze jest również dziś często niemożliwe.

Sposób na kiłę

Ehrlich postawił więc sobie za cel znalezienie takiego leku, który magicznie ominie zdrowe komórki i tkanki, a skutecznie zniszczy wszystkie bakterie. W tym celu opracował metodę, którą do dziś posługują się naukowcy, poszukując nowych leków: badania przesiewowe. Przy okazji wynalazł też frustrację, bowiem metoda ta, choć skuteczna, jest bardzo pracochłonna. W skrócie polega ona na opracowaniu modelu choroby, którym może być hodowla bakterii na szalce, hodowla komórek zwierzęcych lub ludzkich, a także żywy organizm. Następnie należy przetestować na owym modelu możliwie dużą liczbę związków chemicznych otrzymanych w laboratorium. Im wię-

cej prób zostanie przeprowadzonych, tym większa szansa na znalezienie obiecującego leku. Paul Ehrlich wspólnie z Sahachiro Hatą wykorzystał króliki zarażone przez krętki blade – spiralne, Gram-ujemne bakterie wywołujące kiłę. O jego zaangażowaniu świadczą najlepiej setki prób, które musiał wykonać. Aktywny związek oznaczony został jako preparat 606, czyli szósta próba w szóstym serii. Choć ten zawierający arsen lek był jeszcze daleki od idealnych założeń i wykazywał toksyczność, został wprowadzony do leczenia pod wiele obiecującą nazwą Salvarsan (z łac. zbawiciel) i stał się jednym z najczęściej stosowanych leków na świecie. Przyniósł wielu ludziom wyleczenie, a Ehrlichowi Nagrodę Nobla w roku 1908. Dziś szczęśliwie kiłę można stosunkowo łatwo wyleczyć antybiotykami.

Jednak zainteresowania Paula Ehrlicha nie ograniczały się do bakterii. Sporo uwagi poświęcał badaniu odporności, sposobom leczenia nowotworów oraz metodom barwienia w biologii. Nie tylko jego urzekła magia nowych syntetycznych barwników, jakie pojawiły się w połowie XIX w. Łatwo dostępne w dużych ilościach (czytaj: tanie) sztuczne barwniki zrewolucjonizowały przemysł tekstylny i wyrzuciły do góry nogami naszą kulturę, a przynajmniej mocno potrząsnęły światem, wprowadzając purpurę czy szkarłat pod strzechy. Rozwój technologii otrzymywania barwnych związków chemicznych był jednym z elementów rewolucji przemysłowej. O tym, jak duże miał znaczenie, najlepiej świadczy fakt, że wiele firm produkujących barwniki utrzymywało laboratoria badawcze, w których pozwalano naukowcom traktować barwniki bakterie czy żywe komórki. Trzeba też przyznać, że do takiej gry w kolory garnęły się prawdziwe naukowe sławy; obok Ehrlicha wymienić należy W.H. Perkina, G. Domagka czy R. Kocha.

Z tamtych czasów płyną dla nas dwie ważne wskazówki: warto robić to, co sprawia nam dzieciinną przyjemność, oraz: można stworzyć taką cząsteczkę, która będzie selektywnie wnikać do jednych komórek czy ich fragmentów, omijając jednocześnie inne. Z takim zestawem zasad naukowcy mogli podjąć jedno z najtrudniejszych wyzwań, jakim jest poszukiwanie leku na raka.

Tu czytelnikowi należy się w pierwszej kolejności wyjaśnienie, na czym owe nadzwyczajne trudności polegają. Otóż w przypadku bakterii oraz pasożytów szybko się okazało, że tak jak niektóre barwniki mogą selektywnie barwić tylko niektóre mikroorganizmy, tak samo pewne związki chemiczne powinny wykazywać aktywność niszczącą wobec jednego tylko rodzaju komórek. Bakterie, pasożyty, a nawet grzyby mają budowę i biologię znacząco odmienną od komórek naszego ciała. Tymczasem nowotwory powstają z normalnych, zdrowych komórek w zwierzęcej czy ludzkiej tkance i zachowują wiele swoich pierwotnych cech. Potrafią nawet całkiem dobrze ukrywać się lub osłepiać układ odpornościowy, niczym w magicznej czapce niewidce. Metoda barwienia przeniesiona bezpośrednio na nowotwory zawodzi na całej linii, jako że barwią się one tak samo jak zdrowe komórki. Pozwała to wprawdzie doświadczonemu oku histopatologa wykryć i określić rodzaj chorobowej zmiany, nie daje jednak szans na leczenie, o ile nie ucieknijemy się do wykorzystania bardzo specyficznych przeciwciał. Farmakologia środków przeciwnowotworowych potrzebowała jeszcze jednego odkrycia, aby w pełni rozkwitnąć.

Gazy bojowe i chemioterapia

Pewnym paradoksem jest to, że pierwsze leki przeciwnowotworowe powstały dzięki wiedzy pozyskanej niejako przypadkiem, w trakcie zabijania ludzi. Podczas drugiej wojny światowej lekarze obserwowali drastyczny spadek liczby białych krwinek u tych pacjentów, którzy zdołali przeżyć atak gazami bojowymi. W podobnym czasie potwierdzono te obserwacje na

uniwersytecie w Yale, a nawet opracowano badania kliniczne z użyciem iperytów w leczeniu białaczek. Niestety powiązanie badań z przemysłem zbrojeniowym oraz specyficznym rozumianym interesem państwa wymusiło czasowe utajnienie wyników. Dopiero nowa, powojenna rzeczywistość pozwoliła na powtórzenie badań i rozpowszechnienie wiedzy o nieprzewidzianym, specyficznym działaniu niektórych gazów bojowych oraz ich pochodnych. Kolejny magiczny pocisk został odkryty. Tym bardziej magiczny, że dokładne poznanie sposobu jego działania stało się możliwe później, wraz z odkryciem struktury DNA. Dzięki temu możliwe było także opracowanie nowych, lepszych, a przede wszystkim mniej toksycznych leków. W dalszym ciągu jednak pierwsze terapie przeciwnowotworowe w niewielkim stopniu przypominały idealne leki. Działanie takich środków polega na zatruciu DNA, uniemożliwiając prawidłowe odczytanie informacji genetycznej, przez co uderzają one w komórki będące w fazie podziału. Przede wszystkim nowotworowe, bo te dzielą się niemal nieprzerwanie. Rykoszety dostają jednak również komórki układu odpornościowego, krwionośnego, włosów czy skóry, które również muszą dzielić się nieco częściej niż inne komórki organizmu. Dlatego pacjenci podczas chemioterapii są osłabieni, tracą włosy, a najmniejsza infekcja może się okazać niebezpieczna. Jednak leki oparte na wiedzy o chemii i biologii komórki, pomimo wad, wywołały ważną zmianę w naukowym podejściu do badań farmakologicznych. Zrozumienie mechanizmów działania leku jest podstawą przejścia od mniej czy bardziej chaotycznego poszukiwania do racjonalnego projektowania nowych leków. Dopiero poznanie zależności pomiędzy materiałem genetycznym oraz budową i funkcją poszczególnych fragmentów komórki pozwala niejako zbudować cząsteczkę leku niemalże atom po atomie. Zaprzęgnięcie do działania magii komputerów, sztucznej inteligencji, nie tylko przyspieszyło pracę, ale w ogóle uczyniło ją realną. Taka cząsteczka będzie idealnie dopasowana do konkretnego białka, zatem selektywna w stopniu najwyższym. Dlatego warto czasem wydać kilka miliardów dolarów na wyszukane przedsięwzięcia naukowe, np. Human Genome Project (w tym przypadku: trzy miliardy), nawet jeśli często przynoszą więcej pytań niż odpowiedzi.

Niespotykana wcześniej dokładność modeli struktur komórkowych i znajomość procesów w nich zachodzących pozwoliła osiągnąć wysoką skuteczność w projektowaniu aktywnych cząstek. Jeśli choroba jest związana z mutacją jednego genu, skutkującą zmianą budowy lub funkcji konkretnego białka, to racjonalne projektowanie pozwoli, przynajmniej w teorii, ziścić ideę magicznej cząsteczki. Lek opracowany na takich podstawach będzie blokował tylko „złe” białka w chorych lub uszkodzonych komórkach, pozostając obojętnym dla komórek zdrowych.

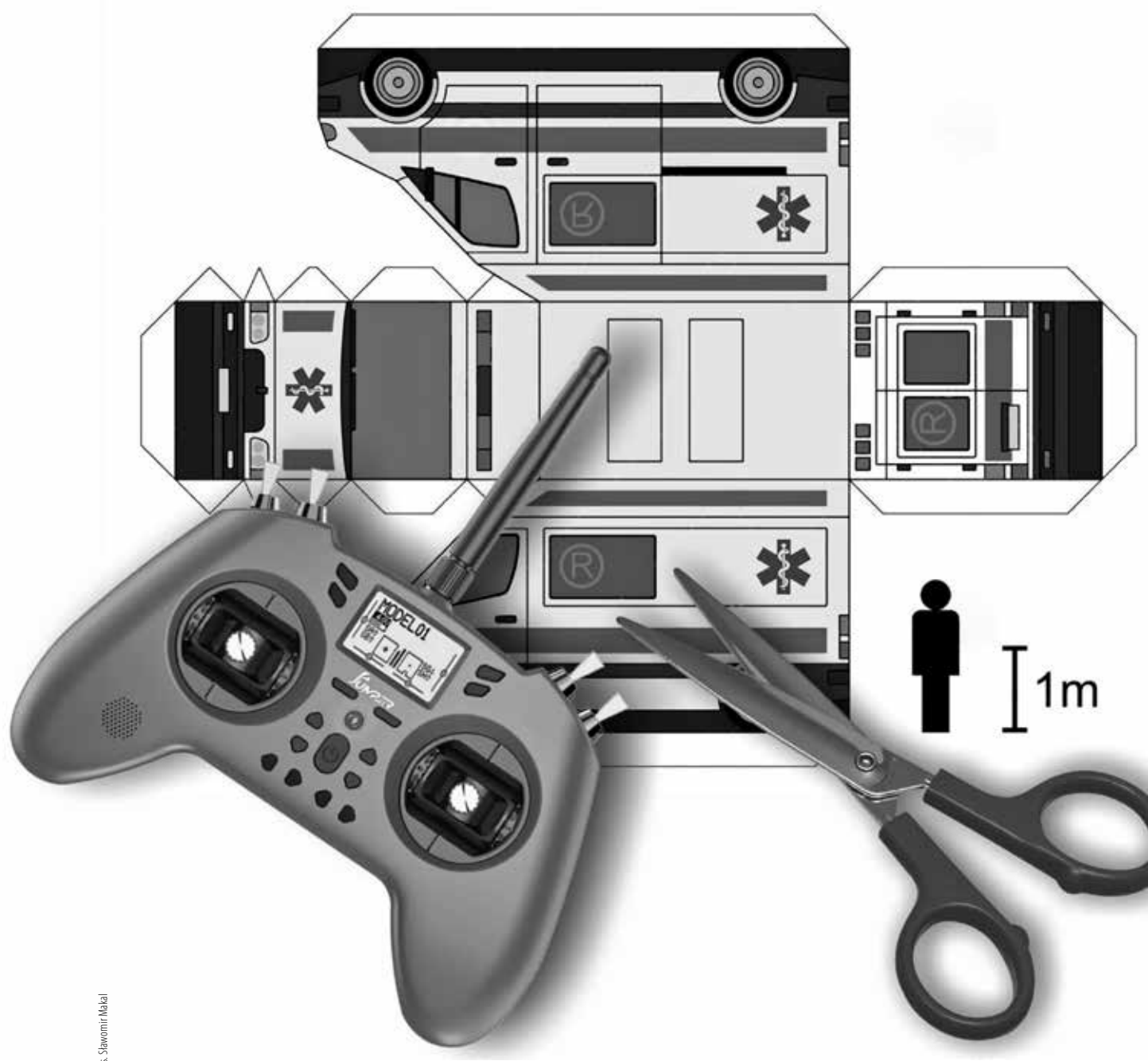
Pierwszym lekiem o wysokiej selektywności był imatynib, wprowadzony w 2001 roku. Wydarzenie to zrewolucjonizowało nasze podejście do projektowania leków oraz leczenia w ogóle. Lek celował w onkogeną mutację Bcr-Abl, tzw. Chromosom Filadelfia, wykryty pierwotnie w białaczkach, lecz później również w wielu innych rodzajach nowotworów. Warto przypomnieć, że artykuł dotyczący wprowadzenia na rynek imatynibu (w USA sprzedawanego pod nazwą Gleevec) oraz okładka tygodnika „Time” z 28 maja 2001 również przywołują określenie magiczny pocisk. Niestety szybko się okazało, że nowotwory mają swoją anty-magię, czyli lekooporność, której skuteczność przerosła nasze ówczesne wyobrażenia. W przypadku imatynibu wykryto ją już w pierwszych latach stosowania leku. Następne środki wprowadzone do leczenia czekała podobna przyszłość, co więcej, okazało się, że im bardziej selektywna cząsteczka, tym większe ryzyko lekooporności. Na osobliwą ironię zakrawa fakt, że obecnie w środowisku naukowców za naj-

lepsze potwierdzenie mechanizmu działania selektywnego leku uważa się wykrzywie lekooporności. Oczywiście w tej sytuacji nie trzeba było długo czekać na odwrócenie się poparcia opinii społecznej od nowoczesnych leków i pracujących nad nimi naukowców ani na zwrot w stronę teorii spiskowych. W całej tej historii jednak najsmutniejsze jest to, że lekooporność nie powinna nas szczególnie zaskakiwać. Skoro jedna najmniejsza zmiana w budowie białka może wywołać chorobę i staje się potem podstawą do stworzenia superselektywnego leku, to kolejna, równie drobna zmiana może spowodować, że lek straci swój punkt uchwytu, jak często nazywamy miejsce, w którym wiąże się on do białka. Drobne mutacje są nierozdzielnie związane ze wzrostem i rozwojem komórek oraz całych organizmów. To jest podstawa ewolucji, w którą – przynajmniej wśród osób racjonalnych

– nikt chyba nie wątpi. Co gorsza, szczególną cechą nowotworów jest właśnie szybki rozwój i wyższe tempo namnażania, co zmienia ryzyko kolejnych mutacji w pewność.

Hulajnoga i misje Apollo

Szczęśliwie imatynib oraz kolejne leki oparte na tej samej zasadzie nie stały się z dnia na dzień bezużyteczne. Dalej są stosowane i przynoszą pozytywne efekty. Jednak szybko zostały zdezonizowane z pozycji świętego Graala farmakologii. Kierunek dalszych badań wyznaczyła obserwacja dużej szybkości, z jaką lekooporność pojawia się wobec leków najbardziej selektywnych. Doprowadziło to do powstania nowej strategii: leków wielocelowych. Jedna cząsteczka zdolna atakować w kilku miejscach jednocześnie będzie mniej wrażliwa na lekooporne muta-



Rys. Sławomir Makal

cje, a jednocześnie wykazuje zazwyczaj większą efektywność. Taki idealny lek powinien w dalszym stopniu magicznie omijać zdrowe komórki i tkanki, aby w komórkach nowotworu atakować różne cele. Zatem możemy go określić mianem wybiórczo selektywnego. O ile jednak opracowanie nowego, bardzo selektywnego leku jest zadaniem nadzwyczaj trudnym, o tyle w przypadku leku selektywnego wybiórczo trudności zdają się przerastać ludzkie możliwości. Szczęśliwie gdzieś naukowiec nie może, tam podpatruje naturę. Należy bowiem pamiętać, że pierwsze i wciąż popularne leki, np. aspiryna, to właśnie leki wybitnie wielocelowe. Wprawdzie leki pochodzące ze źródeł naturalnych nie są bez wad, do których doliczyć należy jeszcze problemy z dostępnością czy trudności w formulacji, czyli procesie tworzenia ostatecznej formy leku (tabletki, zastrzyk) z bezpostaciowego proszku substancji aktywnej, to jednak dopiero połączenie wszechstronności natury z pomysłowością nauki pozwala stworzyć lek o najlepszych właściwościach. Takim też, poprawionym w laboratorium, lekiem jest właśnie wspomniana aspiryna. W przypadku leków przeciwnowotworowych poprawianie natury stało się koniecznością wobec zbytnej toksyczności lub złych parametrów farmakodynamicznych, czyli słabej rozpuszczalności w wodzie, niskiej przenikalności do komórek. W przypadku paklitakselu, silnego leku o szerokim spektrum działania, dopiero zastosowanie metod półsyntetycznych umożliwiło w ogóle jego powszechne stosowanie. Pierwotnie bowiem ten skuteczny w terapii wielu rodzajów nowotworów lek otrzymywano z kory Cisu krótkolistnego (*Taxus brevifolia* Nutt.), rzadkiego gatunku występującego głównie w Ameryce Północnej. Niewielkie stężenie tej cennej substancji w korze powoduje, że trzeba zniszczyć nawet dziesięć kilkudziesięciolletnich drzew, aby uzyskać ilość niezbędną do leczenia jednego pacjenta. Nowoczesne metody syntezy z wykorzystaniem biotechnologii pozwalają dziś pozyskiwać paklitaksel w ilościach adekwatnych do potrzeb oraz przy znacząco mniejszych kosztach.

Tymczasem ostatnie dokonania naukowców znów czerpią garściami z wizji Paula Ehrlicha, łącząc magiczne pociski z nie mniej cudownym działaniem układu odpornościowego. Poznanie mechanizmów, jakimi wyspecjalizowane komórki układu odpornościowego niszczą zagrażające nam mikroby, wirusy, a także niewłaściwe komórki powstające w naszych tkankach, pozwoliło wykorzystać je do walki z nowotworami. W ten sposób możliwe jest również przełamanie jednej z kluczowych zdolności nowotworów do unikania komórek – strażników. Trzeba pobudzić układ odpornościowy, pokazać mu niewłaściwą komórkę i pozwolić załatwić sprawę po swojemu. Zaletą tego typu rozwiązania jest niska szkodliwość terapii wobec organizmu pacjenta, jej wysoka selektywność i skuteczność. Jej wady, w większości przeliczalne niestety na koszty, to konieczność opracowania leku do konkretnego rodzaju nowotworu oraz trudności w syntezie cząsteczek sygnałowych, jakie wykorzystują limfocyty. Przeciwciała – bo o nich tu mowa – to wysocze wyspecjalizowane białkowe struktury, potrafiące rozpoznać swój cel po wyglądzie (kształcie), dopasowując się doń jak smartfon umiejący rozpoznać odcisk palca właściciela. Przeciwciała, „uszyte” do rozpoznawania odcisków komórek nowotworowych, będzie zdolne wyszukać wszystkie takie komórki i oznaczyć je jako cele do zniszczenia. Największa bodaj trudność wynika ze skomplikowanej budowy tych białek. Cząsteczki przeciętnych leków syntetycznych liczą kilkanaście do kilkudziesięciu atomów. Tymczasem trastuzumab, przeciwciała stosowane w leczeniu HER-pozytywnego raka sutka, ma ich sporo ponad 20 tysięcy. Jeśli porównać cząsteczkę aspiryny do zwykłej, nieelektrycznej hulajnogi, to trastuzumab swoim skomplikowa-

niem przypomina wehikuly wykorzystywane przez misje programu Apollo.

Magia ma się dobrze

Już samo otrzymywanie przeciwciał monoklonalnych generuje problemy. Najczęściej używa się w tym celu linii komórkowych lub zwierząt laboratoryjnych, przez co końcowy produkt może, po wstrzyknięciu do organizmu pacjenta, sam generować niepożądaną odpowiedź układu odpornościowego, tak jak wszystkie inne obce cząsteczki białek. W celu przygotowania do terapii należy białko poddać „uczłowieczeniu”, wykorzystując techniki inżynierii genetycznej. Interesującą alternatywą dla dużych i trudnych w obróbce przeciwciał są znacznie mniejsze cytokiny – małe fragmenty białkowe, odpowiadające za regulację całego szeregu funkcji w ludzkim organizmie. Choć niektóre z cytokin zostały na tyle dobrze poznane, aby wykorzystanie ich w terapii stało się możliwe, to wiedza o tych układach jest w dalszym ciągu niewystarczająca, co zmusza naukowców do szukania po omacku. Nie będzie chyba zaskoczeniem, że jeden z większych projektów związanych z wykorzystaniem cytokin w terapii przeciwnowotworowej, koordynowany przez Politechnikę w Zurychu, nosi nazwę Zauberkugel. Podobnie jak zrzeszenie europejskich uczelni kształcących młodych naukowców w zakresie chemii leków pod mianem Paul Ehrlich Network. Magia wciąż ma się dobrze w nauce.

Czytającemu ten tekst może nasunąć się pytanie: czy to wszystko nie przypomina zbytnio wyścigu zbrojeń, w którym naukowcy żartobliwym odwołaniem do magii tuszują własną nieudolność? Wiedza gromadzona przez pokolenia pozwala nam z całą pewnością stwierdzić, że prawdziwego panaceum, zdolnego uleczyć ze wszystkich znanych chorób, otrzymać się nie da. Podobnie jak leku całkowicie pozbawionego skutków ubocznych. Spektakularne sukcesy medycyny nie powinny nam zasłaniać właściwego obrazu sytuacji, który nie jest – niestety – wyłącznie optymistyczny. Wybuch ostatniej pandemii pokazuje najlepiej, że nauka i medycyna pozostają niejako krok w tyle za naszymi problemami zdrowotnymi. Zatem użyty powyżej wojskowy termin jest adekwatny, nawet jeśli budzi najgorsze skojarzenia z czasów, które wprawdzie minęły, ale pozostawiły po sobie paskudne zwyciężki i zależności. Zresztą nawet pobieżne studiowanie historii wskazuje, że na tym polu od dawna niewiele się zmieniło i niszczenie zdrowia zawsze miało wyższy priorytet niż badania. Tymczasem w nauce nic nie dzieje się samo. Panta rhei to słowa, które nadzwyczaj dobrze oddają, jak rzeczy się mają w nauce, a w szczególności w medycynie. Nowe teorie, odkrywcze eksperymenty oraz nowoczesne terapie to przede wszystkim efekt swego rodzaju ewolucji, w której stare nie od razu staje się niepotrzebne, a nowe nie zawsze okazuje się lepsze. Takie postawienie sprawy paradoksalnie niesie ze sobą również pewien optymizm. Naukowcy nie powiedzieli wszak ostatniego słowa, a wiele nowotworów jest obecnie wyleczalnych, o ile zostaną wykryte na odpowiednio wczesnym etapie. Leki skuteczne w terapii trudnych odmian raka z pewnością pojawią się w przyszłości. Wszystko wymaga czasu, a właściwie pieniędzy. Kolejna ważna nauka wyniesiona z pandemii COVID-19 to ta, że nawet czas można zmienić, jeśli sięgnąć do kieszeni odpowiednio głęboko. Wszak żyjemy w czasach, w których na pieniądze przeliczyć można wszystko. Z wyjątkiem może pracy naukowców – oni pracują dla przyjemności. Zwłaszcza naukowcy w Polsce, ci robią to niejako z konieczności.

Prof. Robert Musioł, Instytut Chemii,
Uniwersytet Śląski w Katowicach

Praktyczne doktoraty

W ramach kolejnej edycji wydarzenia „Kadry Przyszłości” 21 października w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie przedstawiciele świata nauki i biznesu podsumują 5 lat funkcjonowania programu „Doktorat wdrożeniowy”.

Doktorat wdrożeniowy to alternatywna droga uzyskania stopnia doktora przeznaczona dla osób, które chcą rozwijać swoją karierę naukową, nie rezygnując przy tym z pracy zawodowej. Zainaugurowano ją w Polsce w 2017 roku i od tego czasu ze ścieżki tej skorzystało już ponad 2000 doktorantów. 189 doktoratów wdrożeniowych realizowanych jest w instytutach Sieci Badawczej Łukasiewicz, które pełnią w tym przypadku rolę partnera przemysłowego.

Inaczej niż w squaszu

Kto wie, jak potoczyłaby się kariera Kamili Startek, gdyby nie przeprowadzka na Dolny Śląsk. Po studiach na Politechnice

Rzeszowskiej w ogóle nie myślała o pozostaniu na uczelni. Rozpoczęła pracę w przedsiębiorstwie produkcyjnym, gdzie była technologiem i kontrolerem jakości. Wszystko zmieniło się za sprawą przenosin do Wrocławia. Prawie dekadę temu trafiła do Łukasiewicza – PORT, a dziś jest pierwszym pracownikiem tego instytutu, który obronił doktorat wdrożeniowy.

– Nie wyobrażam sobie obecnie innej pracy niż naukowo-badawcza – przekonuje bez cienia wątpliwości.

O alternatywnej ścieżce prowadzenia doktoratu już wcześniej wiele słyszała, ale za granicą. Uważa ją za idealną formułę dla osób, które pracują naukowo, ale w projektach o charakterze aplikacyjnym. W Polsce do niedawna nie było to możliwe. Jej z kolei na tym bardzo zależało, dlatego tradycyjnego doktoratu nie brała nawet pod uwagę. Tematyką warstw hybrydowych zaczęła interesować się podczas realizacji jednego z wcześniejszych projektów. Wciąż miała niedosyt i nowe pomysły. Wtedy właśnie wystartował program doktoratów wdrożeniowych. Poczula, że to dobry kierunek. Podjęła świadomą decyzję.

Celem jej badań było stworzenie funkcjonalnych hybrydowych warstw organiczno-nieorganicznych na podłożu elastycznym, tj. folii politereftalanu etylenu (PET). Chodziło o zaprojektowanie ich struktur chemicznych i sprawdzenie właściwości, m.in. chropowatości czy zwilżalności. Miały być ciągle, wolne od defektów, spękań i przede wszystkim elastyczne. Wybranej przez Kamilę metody zol-żel nikt wcześniej do takich celów nie stosował. Efekt? Powłoki o obniżonej przenikalności tlenu, niskiej swobodnej energii powierzchniowej i obiecujących parametrach optycznych.

– Materiały, które opracowuję, mają duży potencjał do zastosowania w przyszłości. To bardzo buduje podczas realizacji takiego doktoratu, daje motywację i chęć do pracy – zapewnia Kamila Startek z Laboratorium Analiz Chemicznych i Spektroskopowych w Łukasiewicza – PORT, która pracę doktorską realizowała w Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN we Wrocławiu.

W wolnych chwilach gra w squasza. Za każdym razem, gdy wchodzi na kort, musi się przestawić, bo w przeciwieństwie do nauki wdrożeniowej, w której wynalazki mają przede wszystkim ułatwić ludziom życie, w tym sporcie chodzi o odbicie piłki o ścianę tak, by maksymalnie utrudnić jej odbiór przeciwnikowi. Materiały opracowane przez Kamilę stanowią łatwiejszą w aplikacji, ale także pod kątem recyklingu, alternatywę dla obecnie stosowanych opakowań spożywczych. W optyce sprawdziłyby się jako warstwy ochronne w ogniwach słonecznych. Z racji tego, że są gładkie i pozwalają na małe straty pro-



Kamila Startek

mieniowania padającego na dany układ optyczny, nadawałyby się też jako warstwy antyrefleksyjne.

Chce dać coś światu

U Oskara Sadowskiego było inaczej. Już na studiach na Politechnice Warszawskiej wiedział, że chce oddać się w pełni pracy naukowej. Z wypiekami na twarzy śledził wówczas doniesienia o polskim grafenie i na fali tej fascynacji zainteresował się materiałami 2D. Wkrótce bardziej zaczęły go pociągać półprzewodniki i przyrządy półprzewodnikowe. Kiedy trafił do Łukasiewicza – Instytutu Mikroelektroniki i Fotoniki, nie chciał już robić niczego innego.

– Od zawsze chciałem, żeby moja praca coś dawała światu. Marzyłem, by pracować nad rozwiązaniami, które będą mogły pojawić się za jakiś czas na rynku, w urządzeniach codziennego użytku. Daje mi to olbrzymią satysfakcję – podkreśla.

Podaje przykład inteligentnych banków energii. Nie takich do smartfona, lecz w znacznie większej skali, np. do budynków. Żeby mogły powstać, wymagana jest elektronika wysokiej mocy, która „udźwignie” wszystkie obciążenia, a przy okazji obędzie się bez dużych strat energii. Również ładowarki do samochodów elektrycznych muszą charakteryzować się na tyle wysoką sprawnością, by auto było gotowe do jazdy maksymalnie w pół godziny. Do tego typu zastosowań wprowadza się dziś materiały, jak np. azotek galu, które mają korzystniejsze właściwości niż najczęściej stosowany półprzewodnik, czyli krzem. Aby móc użyć nowych materiałów półprzewodnikowych do stworzenia na ich bazie przyrządu, konieczne jest opracowanie kontaktów metalicznych, pozwalających na przepływ prądu między urządzeniem a zewnętrznym obwodem elektrycznym, w którym ono pracuje. Nie każdy metal daje dobre połączenie

z dowolnym półprzewodnikiem, przez co urządzenie może być mniej sprawne lub nie działać poprawnie.

– Pracuję nad technologią wytwarzania metalicznych styków do przyrządów na bazie azotku galu. To wciąż stosunkowo świeży temat, mimo że kilka rodzajów takich kontaktów jest już dostępnych. Moja praca będzie więc w kilku aspektach pionierska, m.in. w zakresie złącza do azotku galu typu P, a zwłaszcza typu P uzyskanego drogą implantacji jonów, który efektywnie uzyskano zaledwie dwa lata temu w Instytucie Wysokich Ciśnień PAN – wyjawia doktorant Politechniki Warszawskiej.

Do obrania alternatywnej ścieżki doktoratu nie trzeba go było długo namawiać. Tym bardziej że niezbędne badania może realizować w ramach zawodowych obowiązków. Pracuje właśnie przy dużym projekcie EnerGaN, dotyczącym technologii tranzystorów wertykalnych, opartej na azotku galu. W porównaniu do rozwiązań opartych na krzemie mają być energooszczędne, niezawodne i zminiaturyzowane. Ale to niejedyna zaleta tej formuły. Sadowski wspomina także o nieco wyższym stypendium i – last but not least – nieocenionym wsparciu koleżanek i kolegów z instytutu.

– Gdy zna się tych ludzi od lat, na co dzień się z nimi współpracuje, łatwiej jest o wzajemną pomoc niż w przypadku klasycznego doktoratu. Dlatego nie żałuję, że dwa lata temu zdecydowałem się pójść tą drogą – podsumowuje.

Ambitne wyzwania

Magdalena Saramok z Łukasiewicza – Instytutu Nowych Syntezy Chemicznych w Puławach wkroczyła na drogę doktoratu wdrożeniowego już wcześniej, w 2019 roku, i również jest zadowolona z decyzji. U niej w zasadzie w grę wchodził tylko doktorat wdrożeniowy. Traktuje go nie tylko jako możliwość poszerzenia swojej wiedzy, ale także wdrożenia uzyskanych



Oskar Sadowski



Magdalena Saramok

rezultatów w przemyśle. Pracuje nad innowacyjnym katalizatorem, konkurencyjnym w stosunku do komercyjnych. To badania w skali pilotowej, więc czysto teoretyczne podejście jest niewystarczające.

– To nie są małe, kilkugramowe próbki badane w warunkach modelowych w laboratorium, ale w znacznie większej skali, rzędu kilkudziesięciu kilogramów. Pojawiają się więc i większe problemy, np. z badaniem w przepływie rzeczywistych gazów resztkowych – tłumaczy.

Jej katalizator miałby, przy udziale amoniaku, redukować niezaabsorbowane w instalacji kwasu azotowego tlenki azotu, emitowane z gazami resztkowymi. Dopuszczalne wielkości emisji tlenków azotu określa Dyrektywa Europejska, a producenci kwasu azotowego są zobligowani do jej przestrzegania. Obecnie najczęściej stosowany do tego celu jest katalizator na bazie np. tlenku wanadu, osadzony na nośnikach np. z tlenku glinu czy z tlenku tytanu. Bazą nowego katalizatora jest glinokrzemian: materiał tani, łatwo dostępny i, co ważne, nietoksyczny. Dotychczasowe wyniki badań doprowadziły do przygotowania i złożenia w Urzędzie Patentowym RP zgłoszenia patentowego.

– Opracowanie składu i preparatyki nowego katalizatora redukcji NO_x z instalacji kwasu azotowego może poszerzyć wachlarz produktów instytutu – zapowiada doktorantka Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

W Polsce jest kilka zakładów produkujących kwas azotowy, w których innowacyjny katalizator mógłby znaleźć zastosowanie. Ale grupa potencjalnych odbiorców jest znacznie większa,

instytut sprzedaje bowiem swoje katalizatory do zakładów na całym świecie. Dla młodej badaczki to ambitne wyzwanie, ale ona właśnie takie lubi. Niedawno zaczęła regularnie jeździć konno. Wprawdzie tylko hobbystycznie, lecz już myśli o pierwszych zawodach.

– To znakomita odskocznia od pracy zawodowej, nauki. Trzeba odświeżyć głowę, żeby móc efektywniej myśleć. Brak czasu? Jestem zdania, że im się ma więcej obowiązków, tym łatwiej o dobrą organizację – podsumowuje z uśmiechem.

Nie tylko inżynierowie

Wydawać by się mogło, że w Łukasiewiczu realizowane są doktoraty wdrożeniowe jedynie o charakterze inżynierskim. Nic bardziej mylnego. Pokazuje to przykład Marcina Latałło-Anulewicz z Łukasiewicz – Krakowskiego Instytutu Technologicznego, który prowadzi badania z zakresu ekonomii. Do zdobycia pierwszego stopnia naukowego w swojej karierze przystąpił już od dłuższego czasu. Właśnie jest na ostatniej prostej do tego celu.

– Mój doktorat związany jest z instytutem, w którym od blisko dwudziestu lat pracuję. Mam więc dostęp do danych, rozwiązań, o które w innym przypadku byłoby trudno. To spore ułatwienie – przyznaje.

Jak to w ekonomii bywa, jego dysertacja lokuje się na pograniczu nauk podstawowych i stosowanych. Dotyczy teoretycznego modelu zasobowo-procesowego rachunku kosztów w instytucie badawczym. To najnowocześniejszy system według standardów IFAC (International Federation of Accountants), międzynarodowej organizacji zrzeszającej specjalistów z dziedziny rachunkowości zarządczej. Stosuje się go w przedsiębiorstwach, jednak nikt jak dotąd nie pokusił się, by przenieść go do instytutu badawczego, którego zakres działalności jest o wiele szerszy: od prac badawczych aż po usługi komercyjne. Aby rachunek kosztów spełniał swoją rolę, musi więc zostać dopasowany do tych realiów.

– Rachunek kosztów musi dostarczyć informacji, które wspomogą decyzje podejmowane przez osoby zarządzające instytutem, głównie w obszarze racjonalizacji kosztów, optymalizacji wykorzystania urządzeń badawczych, aparatury i zdolności do realizacji prac, a to nie zawsze jest tożsame ze zdolnością produkcyjną, jak w przedsiębiorstwie – tłumaczy doktorant Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Optymalny poziom wykorzystania urządzeń będzie inny w firmie produkcyjnej nastawionej na maksymalizację zysków, a inny w instytucie, w którym pracownicy, oprócz obsługi aparatury, mają cały szereg innych zadań, np. pisanie artykułów naukowych czy wniosków o grant. Czym więc będą różniły się oba modele?

– System zaawansowanego rachunku kosztów to pewna koncepcja zarządcza, która funkcjonuje w wielu firmach. Inaczej niż tam, mój model oparty jest na optymalizacji kosztów, w szczególności pośrednich, które są najczęściej w sposób arbitralny przypisywane narzutem procentowym, zaś metodologia zasobowo-procesowego rachunku kosztów kładzie przede wszystkim nacisk na odzwierciedlenie związków przyczynowo-skutkowych pomiędzy kosztami a obiektami działalności. W modelu skupiłem się także na wykazaniu kosztów niewykorzystanych zasobów, urządzeń, aparatury – wyjaśnia.

Jego rozwiązanie będzie niezwykle przydatne w prowadzeniu efektywnej polityki kosztowo-cenowej. Już po obronie zamierza zaproponować wprowadzenie takiego modelu w swoim instytucie.

W sumie spośród wyłonionych dotąd w Polsce ponad 2000 doktorantów wdrożeniowych prawie co dziesiąty prowadził lub prowadzi badania w instytutach Sieci Badawczej Łukasiewicz.



Marcin Latałło-Anulewicz

Natalia Gruenpeter

Nauka otwarta na zmiany

Na bariery finansowe napotykają także osoby spoza społeczności akademickiej oraz – co równie ważne – badacze z ośrodków, których nie stać na opłacenie licencji zapewniających dostęp do literatury naukowej. Dyskusje o otwartej nauce zbliżają się tym samym do szerszego tematu społecznej odpowiedzialności nauki.

Koniec października już od kilkunastu lat jest okresem, w którym środowisko akademickie szczególną uwagę poświęca otwartym modelom komunikacji naukowej. Zachętą do dyskusji na temat sposobu rozpowszechniania wyników badań jest Tydzień Otwartego Dostępu, międzynarodowa inicjatywa promująca szeroko rozumianą otwartą naukę, czyli udostępnianie publikacji, danych badawczych, oprogramowania czy metod i procedur w sposób pozbawiony barier finansowych (bezpłatnie), technicznych (w ogólnodostępnych serwisach, wykorzystujących standardowe rozwiązania techniczne) i prawnych (na wolnych licencjach).

Tegoroczna edycja Tygodnia Otwartego Dostępu organizowana jest pod hasłem „Otwartość dla sprawiedliwości klimatycznej”, które ma być okazją do nawiązania współpracy pomiędzy społecznością otwartej nauki a ruchem klimatycznym. „Dzielenie się wiedzą jest prawem człowieka, a walka z kryzysem klimatycznym wymaga szybkiej wymiany wiedzy ponad granicami geograficznymi, gospodarczymi i dziedzinowymi” – piszą koordynatorzy Tygodnia, zwracając uwagę na potrzebę wpisania postulatów otwartej nauki w sprawy istotne dla całego społeczeństwa (<https://www.openaccessweek.org/theme/pl>).

Po raz pierwszy w historii inicjatywy temat przewodni sformułowany został w sposób, który wskazuje na bardzo aktualny problem. „Pomysł na ten temat spontanicznie pojawił się w komisji podczas ubiegłorocznego planowania i natychmiast spotkał się z zainteresowaniem, zyskując poparcie członków grupy” – wyjaśnia Nick Shockey, odpowiedzialny w organizacji SPARC za rozwój programów i zaangażowanie, w tym za organizację Tygodnia Otwartego Dostępu. Hasła przewodnie dotychczasowych edycji w większym stopniu odwoływały się do wewnętrznych idei i wartości ruchu na rzecz otwartej nauki, często w sposób ogólny i abstrakcyjny, np. „Set the default to open access” (2012), „Open for Collaboration” (2015), „Open in order to...” (2017) czy „Designing Equitable Foundations for Open Knowledge” (2018). Chealsye Bowley, koordynatorka komitetu doradczego Tygodnia, wskazuje jednak na ciągłość: „Myślę, że jest to logiczne następstwo tematów; skupiamy się na tym, co może osiągnąć otwarty dostęp. Biorąc pod uwagę wcześniejsze tematy, takie jak >Otwórz, aby...<, zwracamy uwagę na jeden z najbardziej palących problemów w naszym świecie w tej chwili”. Bowley zauważa też, że istnieje wiele punktów wspólnych pomiędzy działaniami promującymi otwartą naukę i odpowiadającymi na wyzwania związane ze zmianami klimatu, takie jak badania (jako przykład podaje artykuł: Tai

TC and Robinson JPW (2018) *Enhancing Climate Change Research With Open Science*. *Front. Environ. Sci.* 6:115. doi: 10.3389/fenvs.2018.00115) czy tworzenie forów dyskusji na ten temat (np. konferencja zorganizowana przez Bibliotekę Dag-Hammarskjöld Organizacji Narodów Zjednoczonych pod hasłem „From Tackling the Pandemic to Addressing Climate Change”, <https://www.un.org/en/library/OS21>). „Szczególnie istotne w tegorocznym hasle przewodnim jest skupienie się na działaniu” – podkreśla Bowley.

Na pewien szczególny zwrot w formie działań na rzecz otwartej nauki składają się też inne inicjatywy, w coraz większym stopniu akcentujące społeczne skutki określonych form komunikacji naukowej i potrzebę zmian.

Otwarty dostęp nie jest celem samym w sobie

Kwestia ta została poruszona w rekomendacjach wydanych z okazji 20. rocznicy Budapeszteńskiej Inicjatywy Otwartego Dostępu (tłumaczenie na język polski dostępne jest na stronie BOAI, <https://www.budapestopenaccessinitiative.org/boai20/boai-polish-translation/>). „Otwarty dostęp nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem prowadzącym do dalszych celów. Nade wszystko jest środkiem pozwalającym osiągnąć sprawiedliwość, jakość, użyteczność i długofalową równowagę badań naukowych” – piszą sygnatariusze deklaracji, zwracając tym samym uwagę na potrzebę osadzenia postulatów ruchu otwartej nauki w szerszym kontekście. Sprawiedliwość, korespondująca z tegorocznym tematem Tygodnia Otwartego Dostępu, wymieniona została jako pierwsza spośród dalszych celów.

Cztery kluczowe rekomendacje na następną dekadę

(<https://www.budapestopenaccessinitiative.org/boai20/boai-polish-translation/>)

- Przechowujemy i udostępniamy wyniki otwartych badań naukowych, korzystając z otwartej infrastruktury.
- Zmieniamy systemy ewaluacji i nagradzania w taki sposób, by zwiększyć zachęty do otwartego dostępu.
- Dajmy pierwszeństwo inkluzywnym kanałom publikowania i dystrybucji, które nigdy nie wykluczają autorów z powodów ekonomicznych.
- Wydając środki na otwarte publikacje, pamiętajmy o celach, do jakich ma prowadzić otwarty dostęp.

Więcej światła na tę kwestię rzuca komentarz, jakim opatrzone zostały ostatni punkt rekomendacji: „Powinniśmy dawać pierwszeństwo tym modelom publikowania, które przynoszą korzyść wszystkim rejonom świata, są kontrolowane przez organizacje akademickie i non-profit, unikają koncentracji nowej, otwartej literatury naukowej w czasopiśmie mających w przeważającej mierze komercyjny charakter i umacniania modeli stojących w sprzeczności z celami otwartego dostępu”. Chodzi tutaj o świadomość istnienia niesprawiedliwych struktur komunikacji oraz zdolność do tworzenia form dostępnych dla każdego, nad którymi czuwać będą instytucje akademickie. Wprowadź rekomendacje w większym stopniu akcentując perspektywę autorów publikacji (wysokie opłaty za publikację w otwartym dostępie), ale na bariery finansowe (paywall) wciąż napotykają także osoby spoza społeczności akademickiej oraz – co równie ważne – badacze z ośrodków, których nie stać na opłacenie licencji zapewniających dostęp do literatury naukowej.

Dyskusje o otwartej nauce zblizają się tym samym do szerszego tematu społecznej odpowiedzialności nauki, a kwestia (nie)sprawiedliwości w dostępie do wiedzy może być ujęta jako jeden z czynników (nie)sprawiedliwości klimatycznej. W książce *Za pięć dwunasta koniec świata. Kryzys klimatyczny-ekologiczny głosem wielu nauk* Kasia Jasikowska, Patryk Sierpowski, Natalia Styrol i Dorota Guzik piszą, że przez (nie)sprawiedliwość społeczną rozumieją „(nie)przyznanie każdej jednostce bądź grupie takich samych praw oraz dostępu do społecznie cenionych dóbr”. Do takich dóbr należą m.in. wiedza czy edukacja, natomiast opisywane przez autorów strukturalne, globalne nierówności, w tym relacje władzy, można odnieść także do systemu komunikacji naukowej i problemów opisywanych w rekomendacjach wydanych z okazji 20. rocznicy BOAI.

„Otwarta nauka może dostarczyć wiedzy koniecznej przy budowaniu świadomości istotności wyzwań, a także przy podejmowaniu decyzji, zarówno indywidualnych, jak i systemowych – przez rządy, samorządy, przedsiębiorstwa. Może też zapewnić zrozumienie i akceptację dla odgórnych koniecznych

działań, np. konieczności rezygnacji ze spalania węgla bądź przejścia na pojazdy niespalające paliw kopalnych” – zauważa dr Michał Pałasz, współredaktor publikacji. Badacz dodaje, że jako zwolennik otwartości nauki dostrzega również potrzebę publikowania w języku polskim, udostępniania wersji elektronicznych dostępnych do bezpłatnego pobrania dla każdej zainteresowanej osoby (bez konieczności logowania, dzielenia się danymi osobowymi itp.), a także pisania maksymalnie przystępnym, niehermetycznym językiem. „O wszystko to zadaliśmy przy >Za pięć dwunasta koniec świata...?<, wiedząc, z jak istotną społecznie tematyką się mierzymy. A skoro jest istotna społecznie – społeczeństwo powinno mieć do niej dostęp” – dodaje, doceniając zarazem pracę takich pośredniczących instancji, jak portale internetowe naukaoklimacie.pl czy naukadlaprzyrody.pl, a także osób jak Szymon Bujalski – dziennikarz dla klimatu.

Warto zwrócić uwagę nie tylko na merytoryczne aspekty cytowanej publikacji, ale i na jej formę, która wydaje się swoim odpryskiem opisywanych zjawisk. Wydana w 2022 r. książka pod redakcją Kasi Jasikowskiej i Michała Pałaza z Uniwersytetu Jagiellońskiego udostępniona jest na osobnej stronie internetowej (<https://za512.uj.edu.pl/>). „Chodzi o dostępność i inkluzywność. Chcieliśmy, aby każda zainteresowana osoba mogła pobrać książkę łatwo i bezpłatnie. Warto też zwrócić uwagę, że minimalistyczny projekt graficzny umożliwia wydrukowanie książki i poszczególnych rozdziałów na własne potrzeby w dobrej jakości z wykorzystaniem zwykłej domowej drukarki (białe strony, czarny tekst – prócz stron tytułowych)” – tłumaczy dr Pałasz. „Dla mnie taka forma publikowania daje znacznie większą wolność w decydowaniu, o tym, co chcę przekazać, aniżeli w przypadku tradycyjnej współpracy z redakcją czy wydawnictwem. Bierzesz całą odpowiedzialność na siebie, ale realizujesz swój plan. Kosztem jest oczywiście większy nakład pracy, ale ostateczny efekt zależy od ciebie” – dodaje dr hab. Jasikowska. Badaczka zwraca także uwagę na formę przekazu, która powinna zostawiać jak najmniejszy ślad węglowy.



Rys. Sławomir Makal

Otwarty dostęp a COVID-19

Dodać można, że w tym roku w podobnej formie ukazała się edukacyjna publikacja Uniwersytetu Warszawskiego *Klimatyczne ABC. Interdyscyplinarne podstawy współczesnej wiedzy o zmianie klimatu* pod redakcją Magdaleny Budziszewskiej, Aleksandry Kardaś i Zbigniewa Bohdanowicza (<https://klimatyczneabc.uw.edu.pl/>). Choć publikacje pod wieloma względami się różnią (*Klimatyczne ABC* ma charakter podręcznika), łączą je forma i data publikacji, licencja CC-BY-SA 4.0, promocja uwzględniająca współpracę z mediami, a także powiązanie z szerszymi akademickimi inicjatywami na rzecz klimatu, zarówno zinstytucjonalizowanymi, jak i oddolnymi, np. działaniami KlimatUJ, Rady Klimatycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego czy powołanego na Uniwersytecie Warszawskim Zespołu Rektorskiego ds. ekologii oraz kryzysu klimatycznego.

Tegoroczny Tydzień Otwartego Dostępu nie jest (i nie powinien być) jedyną okazją do podjęcia działań na rzecz otwartego dostępu do wiedzy na temat zmian klimatu. W sierpniu zainicjowana została zaplanowana na wiele lat kampania Open Climate Campaign (<https://openclimatecampaign.org/>), której celem jest systemowa zmiana modelu komunikacji naukowej w obszarach istotnych dla klimatu. To rezultat dyskusji w gronie osób zaangażowanych w promocję otwartej nauki. „Cable Green z Creative Commons, Melissa Hagemann z Fundacji Otwartego Społeczeństwa, Heather Joseph ze SPARC, Frances Pinter z Wydawnictwa Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego i Peter Suber z Uniwersytetu Harvarda spotkali się, aby porozmawiać o tym, czego nauczyliśmy się o otwartym udostępnianiu rezultatów badań na przykładzie COVID-19 i jak tę wiedzę wykorzystać w odpowiedzi na zmiany klimatu i postępujący w ich wyniku zanik bioróżnorodności na świecie, stanowiących jedne z najpilniejszych wyzwań” – tłumaczy Iryna Kuchma z EIFL (Electronic Information for Libraries), organizacji zaproszonej do kampanii, aby uwzględnić perspektywę Globalnego Południa. Kuchma uważa, że bariery w otwartym udostępnianiu wyników badań dotyczących klimatu nie różnią się zasadniczo od problemów w innych dziedzinach, a do najważniejszych należą: brak jasnych polityk i zachęt do praktykowania otwartej nauki, brak umiejętności, kompetencji i struktur wspierających zarządzanie danymi i ich otwarte udostępnianie oraz tradycyjne podejście do ewaluacji, które nie nagradza badaczy za dzielenie się publikacjami i danymi. „Mamy nadzieję, że nasza kampania pomoże rozwiązać te problemy” – dodaje Kuchma.

Dalekosiężne cele otwartej nauki były ponadto punktem wyjścia zaakceptowanych w ubiegłym roku rekomendacji UNESCO, które stanowią obecnie najważniejszy dokument o zasięgu światowym, określający wspólne kierunki działań w tym zakresie. W preambule podkreślono potrzebę podjęcia działań w odpowiedzi na złożone wyzwania, które dotyczą środowiska naturalnego, społeczeństwa i gospodarki, w tym wyzwania związane z wyczerpywaniem się zasobów naturalnych, zanikiem bioróżnorodności, zmianami klimatu, klęskami żywiołowymi i katastrofami spowodowanymi przez człowieka. Likwidowanie nierówności w dostępie do wiedzy, rozwój partnerstw na rzecz nauki i edukacji czy wspieranie inkluzywności i wymiany wiedzy z lokalnymi społecznościami i grupami narażonymi na wykluczenie bądź niedostatecznie reprezentowanymi w nauce – to zaledwie kilka istotnych kierunków działań, które mają na celu włączenie w system komunikacji naukowej innych perspektyw i, w konsekwencji, zadbanie o sprawiedliwość klimatyczną.

Wspomniane cele nauki znajdują także wyraz w rozwiązaniach o charakterze technicznym. Za zwiastun takich zmian uznać można wdrożenie w serwisie OpenAIRE Explore schematu klasyfikacji, opartego na Celach Zrównoważonego Roz-

woju (ang. Sustainable Development Goals – SDGs) przyjętych przez przedstawicieli 193 państw członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych. Siedemnaście obszarów stanowi podstawę kategorii, które pozwalają filtrować wyniki wyszukiwania lub przeglądania zagregowanych w serwisie OpenAIRE danych. Powiązanie rezultatów badań z agendą na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030 pełni dwie funkcje: stanowi punkt wyjścia do monitorowania społecznego wpływu nauki oraz ułatwia wyszukiwanie i agregowanie istotnych informacji. W przyszłości pozwoli też na wdrożenie nowych systemów ewaluacji, uwzględniających nie tylko wskaźniki bibliometryczne, ale także potencjał nauki w zakresie odpowiadania na społeczne potrzeby.

Warto zauważyć, że kategoria „Działania w dziedzinie klimatu” zajmuje w OpenAIRE Explore drugie miejsce pod względem największej liczby informacji o rezultatach badań (przyjęto jej prawie 1,5 mln wyników) i sytuuje się za kategorią „Dobre zdrowie i jakość życia” (ponad 3 mln wyników – dane na 20 września 2022 r., zob. <https://explore.openaire.eu/sdgs>). Zdrowie stanowi obszar o szczególnym znaczeniu w dyskusjach na temat otwartej nauki. Olbrzymi wpływ na ten stan rzeczy miała pandemia COVID-19, która wymagała od naukowców współpracy i szybkiej wymiany informacji, a od decydentów kształtowania polityk publicznych w oparciu o dostępne dane. Potrzeba dostępu do aktualnych badań nie zniknęła jednak w chwili opanowania najostrzejszej fazy kryzysu wywołanego szybkim rozprzestrzenianiem się koronawirusa. W sierpniu tego roku na stronie Białego Domu opublikowano skierowany do wydawców apel o zapewnienie otwartego dostępu do rezultatów badań nad małpą ospą. Inicjatywa jest odpowiedzią na rozpowszechnianie się wirusa i ogłoszenie przez Światową Organizację Zdrowia stanu zagrożenia zdrowia publicznego o znaczeniu międzynarodowym.

Niewykluczone też, że to właśnie globalny kryzys wywołany pandemią miał bezpośredni wpływ na sygnalizowaną tutaj zmianę sposobu myślenia o promowaniu otwartych modeli komunikacji. Odwoływanie się do obszarów, w których najwyraźniej widoczna jest potrzeba szybkiego zastosowania zdobyczy nauki, to jeden ze sposobów na angażowanie szerszych grup odbiorców. Myślenie o roli otwartej nauki nie powinno być jednak ograniczone do sytuacji kryzysowych, na co zwracają uwagę Robert Kiley i Johan Rooryck z Koalicji S: „Po raz czwarty w ciągu niespełna siedmiu lat liderzy w obszarze nauki i technologii skierowali do wydawców naukowych apel o otwarte udostępnianie rezultatów badań nad chorobami. W 2016 roku sprawa dotyczyła wirusa Zika, w 2018 – Eboli, w 2020 – COVID-19, a teraz – w 2022 – badań nad małpą ospą. (...) Otwarty dostęp nie powinien być podyktowany pilnymi potrzebami spowodowanymi przez chorobę, ale powinien dotyczyć wszystkich badań” (<https://www.coalition-s.org/blog/monkeypox-and-open-access-time-to-change-the-narrative/>).

Warto dodać, że dyskusja o otwartości nauki nie powinna ograniczać się do samych rezultatów badań (publikacji czy danych badawczych), ale powinna także uwzględniać proces badawczy, postawy samych naukowców oraz możliwości współpracy z lokalnymi społecznościami czy obywatelami, na przykład w ramach projektów nauki obywatelskiej. Działania te mogą zwiększyć zaufanie do nauki, w szczególności w tych obszarach, w których za konsensusem naukowym mają iść istotne decyzje polityczne i zmiany wpływające na codzienne życie i przyszłość.

Natalia Gruenpeter pracuje w zespole Platformy Otwartej Nauki, działającej w Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego.

Za plagiat – nagana

Rzecznik dyscyplinarny uznał przywłaszczenie sobie autorstwa czyjegoś utworu, czyli plagiat, za przewinienie dyscyplinarne mniejszej wagi. Ta smutna i przykra sprawa pokazuje, jak poważne naruszenie praw autorskich przechodzi dzisiaj bez echa w lokalnym środowisku naukowym.

Dr Józef Sadkiewicz jest od 2013 r. adiunktem (pół etatu) w Zakładzie Technologii i Inżynierii Przemysłu Spożywczego Wydziału Technologii i Inżynierii Chemicznej Politechniki Bydgoskiej. Doktorat w naukach rolniczych uzyskał w 2006 r. Dysertacja pt. „Wpływ cech odmianowych oraz warunków pluwiotermicznych na jakość pszenicy ozimej z uwzględnieniem adhezji ciasta, barwy mąki i miękiszu pieczywa” (promotor: prof. Aleksander Hermann) została obroniona na Wydziale Biotechnologii i Rolnictwa Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy (dzisiaj Politechnika Bydgoska). Warto też wiedzieć, że Józef Sadkiewicz od roku 1997 pracuje w prywatnej, rodzinnej spółce Zakład Badawczy Przemysłu Piekarskiego i od roku 2000 jest tam prezesem, prowadząc ją z bratem, dr Jackiem Sadkiewiczem. Z placówką tą – wcześniej filią Zakładu Badawczego Przemysłu Piekarskiego „Społem” w Warszawie – przez 40 lat był związany jego ojciec, prof. Kazimierz Sadkiewicz (ur. w 1929 r.), który ją przed 25 laty sprywatyzował (akcjonariat pracowniczy). Ten 93-letni nestor przemysłu piekarskiego w Polsce jest autorem i współtwórcą ponad stu patentów. Działalność bydgoskiego Zakładu Badawczego ma głównie charakter szkoleniowo-produkcyjno-sprzedażowy. Pieczywo jemy wszyscy. Piekarstwo oraz cukiernictwo opierające się na podstawowym surowcu, jakim jest mąka, służąca do wyrobu ciasta, to duży i ważny biznes, który potrzebuje wielu różnych maszyn w procesie produkcji. Do ich obsługi trzeba przeszkolić pracowników.

Habilitacja

W końcu marca 2019 r. do Biura Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów wpłynął wniosek dr Józefa Sadkiewicza o przeprowadzenie postępowania habilitacyjnego w dziedzinie nauk rolniczych, w dyscyplinie technologia żywności i żywienia. Wskazano w nim Radę Wydziału Nauk o Żywności i Rybactwa Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie jako podmiot habilitujący. Jako tytuł osiągnięcia naukowego podano „Innowacje technologii piekarstwa”. Powołaną przez CK na początku września 2019 r. komisją habilitacyjną kierował prof. zw. Zdzisław Targoński z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie.

Dr Sadkiewicz do oceny przedstawił monografię habilitacyjną pt. „Badanie i rozwój miesienia ze wspomaganie hydrokinetycznym”. Podał również do dorobku naukowego 11 publikacji. Wśród nich 5 monografii wydanych przez Wydawnictwo Uczelniane UTP w Bydgoszczy, 2 rozdziały w anglo-

języcznej monografii naukowej, wydanej w Polsce. Wymienił też 17 prac o charakterze popularnonaukowym, opublikowanych na stronach internetowych. Habilitant wskazał również w swoim dorobku 18 wieloautorskich patentów krajowych, 8 wzorów użytkowych, 4 znaki towarowe, jeden wzór przemysłowy oraz 15 potwierdzeń zgłoszenia projektu wynalazczego. Podał, że brał udział w 19 międzynarodowych i 15 krajowych konferencjach, wygłaszając 21 referatów w kraju i 8 za granicą. Prezentował wyniki swoich badań w postaci 12 prezentacji ustnych i 2 posterowych. Był członkiem komitetów organizacyjnych 3 konferencji naukowych.

Wszyscy recenzenci - prof. zw. Alicja Ceglińska z Katedry Technologii i Oceny Żywności SGGW w Warszawie, dr hab. Sylwia Mildner-Szkodkarz z Wydziału Nauk o Żywności i Żywieniu Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu i prof. zw. Jerzy Balejko z Zakładu Inżynierii Procesowej i Maszynoznawstwa ZUT w Szczecinie - jednomyślnie stwierdzili, że przedstawiony dorobek jest bardzo słaby i tylko trzy albo cztery prace można uznać za naukowe. Reszta to opracowania dydaktyczne i sprzedażowo-reklamowe. Wiele „osiągnięć” habilitant przedstawił niedokładnie lub błędnie, a nawet z naruszeniem dobrych praktyk naukowych. Np. okazało się, że 5 wystąpień na konferencjach zagranicznych to prawie takie same referaty, zaś w przedstawionych patentach nazwisko habilitanta tylko w jednym przypadku jest podane na pierwszym miejscu. W autoreferacie kandydat zataił, że legitymuje się dyplomem magistra wychowania fizycznego, a więc nie ma formalnego wykształcenia w dziedzinie habilitacji i brak mu doświadczenia w prowadzeniu badań naukowych. Jego dorobek jest głównie popularyzatorski i dydaktyczny.

Omawiając monografię habilitacyjną, prof. Jerzy Balejko napisał, że „jest ona zbiorem innowacyjnych rozwiązań technologicznych w piekarstwie oraz analiz dotyczących kinetyki, budowy i eksploatacji urządzeń i instalacji procesów miesienia ciast na potrzeby piekarstwa. Charakterystycznym elementem monografii jest podział na 7 koncepcji rozwiązań konstrukcyjnych przestrzeni roboczej dozowników mąki oraz sposobu wstrzykiwania wody do komory mieszania. Zarówno rozwiązania konstrukcyjne miesiarek wykonanych według każdej z 7 koncepcji jak i analiza hydrokinetyczna każdego przypadku nie jest indywidualnym dziełem doktora Sadkiewicza, lecz efektem współpracy zespołu badawczego, którego kierownikiem był habilitant. Opracowania każdej z omówionych koncepcji

wcześniej publikowane były w opracowaniu naukowym realizowanym na podstawie umowy o dofinansowanie podpisanej z NCBR nr POIR.01.01.01-000-0542/15. W przedstawionej do recenzji monografii zamieszczone zostały obszerne fragmenty in extenso, co de facto jest autoplagiatem.

Prof. Balejko znalazł też obszerny plagiat. Jak napisał w recenzji, strony 29 - 42 (17 stron) monografii przepisano z habilitacji dr hab. inż. Feliksa Chwarścianka pt. „Projektowanie i podstawy teorii formowania kształtek kulistych z ciasta”, wydanej w roku 2006 przez ATR w Bydgoszczy (dziś Politechnika Bydgoska), zmieniając jeden wyraz, numerację wzorów i odnośniki do literatury. Powielając treść z opublikowanej 13 lat wcześniej rozprawy habilitacyjnej innego autora habilitant używa formy „celem badań jest” i „przedmiotem badań jest”. Splagiatowany autor jest profesorem Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy, uznanym specjalistą-mechanikiem od eksploatacji maszyn i urządzeń, a nazwisko habilitanta nie było mu obce.

Komisja habilitacyjna na posiedzenie 14 listopada 2019 r. zaprosiła dr. Józefa Sadkiewicza na rozmowę, podczas której przewodniczący i recenzenci zadawali pytania na temat niejasności w dorobku i naruszeń praw autorskich. Odpowiedzi uznano za dalece niewystarczające. W głosowaniu jednogłośnie odmówiono nadania stopnia doktora habilitowanego. Poproszono też Senat ZUT, który w tej uczelni formalnie nadaje stopnie naukowe, aby w związku z odkrytym plagiatem wdrożył stosowne kroki prawne. Po miesiącu, 18 grudnia 2019 r., Senat ZUT odmówił nadania stopnia doktora habilitowanego, szczególnie uzasadniając przyczyny odmowy i m.in. wyszczególniając popełniony plagiat. Dokument ten został wysłany ówczesnemu dziekanowi Wydziału Technologii i Inżynierii Chemicznej, na którym zatrudniony do dzisiaj jest dr J. Sadowski.

Postępowanie dyscyplinarne

W końcu lutego 2020 r. prof. Zdzisław Targoński z UP w Lublinie, przewodniczący komisji habilitacyjnej, powiadomił o plagiacie rektora ZUT, prof. Jacka Wróbla, prosząc o podjęcie stosownych kroków. Wtedy prof. Jacek Przepiórski, prorektor ZUT ds. nauki, powiadomił bezpośrednio ówczesnego rektora bydgoskiej uczelni, prof. Tomasza Topolińskiego. Ten ostatni 2 kwietnia 2020 r. polecił rzecznikowi dyscyplinarnemu Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy, prof. zw. Grażynie Harasimowicz-Hermann z Katedry Agronomii Wydziału Rolnictwa i Biotechnologii, rozpocząć wyjaśniające postępowanie dyscyplinarne. Wszczęto je 6 kwietnia, a już 6 tygodni później - 18 maja, rzecznik złożyła wniosek do rektora o ukaranie dr Józefa Sadkiewicza karą nagany z tego powodu, że w przepisany 17-stronicowym tekście nie zamieścił powołania na źródło. Jednak jej zdaniem, po zauważeniu tego „błędu”, obwiniony zwrócił się w październiku 2019 r. do kierownika Wydawnictw UPT, mgr Doroty Ślachciak, o wydrukowanie korekty, która zawierała powołanie się na pozycje literatury we wskazanych fragmentach. Poinformował też o swoim błędzie dr hab. inż. Feliksa Chwarścianka, który został także przesłuchany przez rzecznika dyscyplinarnego. Nie



Fot. Mike z Pixabay

przesłuchano recenzenta, który odkrył plagiat. Prof. Harasimowicz-Hermann w uzasadnieniu wniosku o ukaranie rektorskie, a nie przed Uczelnianą Komisją Dyscyplinarną (UKD), uznała, że przywłaszczenie sobie autorstwa, czyli plagiat, jest przewinieniem dyscyplinarnym mniejszej wagi. Rektor Tomasz Topoliński nie zgodził się ze stanowiskiem pani rzecznik, żeby ominąć rozprawę przez UKD i wniosek został cofnięty. Tydzień później wpłynął wniosek do UKD o ukaranie J. Sadkiewicza karą nagany. Tym razem, uzasadniając tak niską karę, rzecznik uznała, że obwiniony „podjął działania korygujące i naprawcze”: przywołał właściwe źródła literatury i umieścił w publikacji odpowiednią erratę dodrukowaną przez wydawnictwo. Rzecznik poprosiła o zaniechanie wezwania świadków, a wśród załączonych do wniosku dokumentów zabrakło recenzji habilitacyjnych, protokołu posiedzenia komisji habilitacyjnej, monografii habilitacyjnych J. Sadkiewicza oraz F. Chwarścianka.

Powołany w połowie czerwca 2020 r. przez przewodniczącą UKD, prof. Jacka Żarskiego, skład orzekający pod przewodnictwem dr. hab. inż. Macieja Walkowiaka, profesora Wydziału Telekomunikacji, Informatyki i Elektrotechniki, składał się jeszcze z dr. inż. Marcina Karwasza, adiunkta z Wydziału Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska oraz dr. inż. Andrzeja Skibickiego z Wydziału Inżynierii Mechanicznej. Rozprawa odbyła się 25 sierpnia 2020 r. i zgodnie z wnioskiem dyscyplinarnym ukarano dr Józefa Sadkiewicza naganą. Uzasadnienie wprawdzie wspomniało, że kilka rozdziałów zostało zapożyczonych, ale ukarany przeprosił pokrzywdzonego, wyjaśnił swoje postępowanie i wyraził ubolewanie. Słowo „plagiat” nie padło.

Sprawa została „załatwiona”, a od 1 września 2020 r. władzę objął nowy rektor.

Komentarz

Opisana sprawa ma kilka odcieni. Odkrywając plagiat i pisząc szczegółową recenzję, prof. Jerzy Balejko chyba pomylił się „in minus” i podał, że w monografii splagiatowano tekst in extenso w rozdziale 1.6, na stronach 29-42 (17 stron). Z kolei dr Sadkiewicz w swojej erracie, która jakoby usuwa jego błędy w powołaniu bibliograficznym, podał poniższe tytuły podrozdziałów, dodając do nich wyrażenie: „(opracowano na podstawie [21])”. Wypisał następujące rozdziały: „1.4 »Modelowanie mechaniki miesienia ciasta«, str. 21-26, 1.5, »Modelowanie mechanicznych właściwości ciasta«, str. 26-33, 1.6 »Badania reologicznych właściwości ciasta«, str. 33-42, »Niepewności pomiarowe«, str. 70-75, 2.2 »Hydrokinematyka punktu materialnego ciasta«, str. 75-79”. Taka errata zasadniczo niczego nie zmienia i przejęty tekst nadal narusza prawo autorskie, zaś pozycja powinna być formalnie retraktowana przez wydawnictwo uczelniane w komunikacie na stronie internetowej.

Uważam, że prof. Grażyna Harasimowicz-Hermann nie powinna w tej sprawie pełnić funkcji rzecznika dyscyplinarnego, bowiem pozostawała w konflikcie interesów z habilitantem. Promotorem doktoratu Józefa Sadkiewicza jest prof. Andrzej Hermann, mąż pani rzecznik. Wspólnie z mężem jest ona współautorką czterech patentów, w których jako kolejny współautor figurował obwiniony. Przedstawił on te patenty jako dorobek naukowy do habilitacji, niezgodnie z prawdą podając swoje nazwisko na pierwszym miejscu w roli głównego wynalazcy. Pani profesor zasiada od lat w Zarządzie Stowarzyszenia na rzecz Nauki i Technologii Zbóż, a dr Józef Sadkiewicz jest jednym z jego założycieli. Na łamach „Gazety Pomorskiej” z 12 marca 2007 r. ukazał się artykuł *Bakterie na mykotoksyny*, dotyczący wspólnego patentu, ilustrowany zdjęciem pani profesor z dr. Sadkiewiczem. Można śmiało powiedzieć, że dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające odbyło się „po starej znajomości”.

Zarzucam też rzeczniczce, że do wniosku o ukaranie J. Sadkiewicza karą nagany nie załączyła publicznie dostępnych recenzji habilitacyjnych, opinii i protokołu komisji habilitacyjnej, nie przesłuchała recenzentów, jak również nie powołała biegłego do sprawdzenia naruszeń, gdyż oprócz plagiatu są tam też autoplagiaty, które nie są karalne, ale nie można ich przedstawiać jako oryginalnego dorobku i w tej sytuacji z całą pewnością naruszają dobre obyczaje akademickie.

Mimo wymogów prawnych, ówczesny rektor UTP, prof. Tomasz Topoliński, nie powiadomił o plagiacie Prokuratury Rejonowej w Bydgoszczy. Ten sam obowiązek ciążył na rzeczniku dyscyplinarnym, która stwierdziła naruszenie prawa autorskiego, co jest ścigane karnie z oskarżenia publicznego. Nawiasem mówiąc, plagiat dr. Józefa Sadkiewicza nie przedawnił się jeszcze, stąd ten wymóg prawny ciąży teraz na obecnym rektorze PBS, prof. Marku Adamskim. Zdziwiony też jestem, że członkowie komisji dyscyplinarnej uznali, iż nagana za kilkanaście stron plagiatu to właściwa kara dla nauczyciela akademickiego, zaś Dziekan Wydziału Technologii i Inżynierii Chemicznej, dr hab. Jolanta Tomaszewska, nie widzi problemu w obecności nierzetelnego adiunkta w kadrze wydziału. To nie jest dobry wzór dla studentów i doktorantów.

Zawieszenie przewodu doktorskiego „poprawianego z plagiatu”

Ostatnio informowałem (FA 9/2022), że w Instytucie Ekonomii i Finansów Uniwersytetu Szczecińskiego toczy się przewód doktorski mgr Urszuli Mentel, asystentki w Zakładzie Zarzą-

dania Projektami Politechniki Rzeszowskiej. Doktorantka pod okiem promotora, prof. US dr hab. Sebastiana Majewskiego z Katedry Finansów Zrównoważonych i Rynków Kapitałowych (kierownik: prof. zw. Beata Filipiak) przygotowała dysertację pt. „Warunki pogodowe jako determinanta zmienności na rynku akcji. Behawioralna analiza ilościowa”. Powołany recenzent, prof. dr hab. Adam Szyszka z Instytutu Ekonomii Międzynarodowej SGH w Warszawie, odkrył dwa obszerne fragmenty tłumaczenia z angielskiego bez odniesienia bibliograficznego, które są plagiatami. Nie zdyskwalifikował pracy doktorskiej, którą skądinąd ocenił bardzo nisko z powodu wielu istotnych błędów merytorycznych. Stwierdził, iż nie jest ona „oryginalnym rozwiązaniem problemu naukowego”. Mimo krytycznej opinii, zawniósł o poprawę doktoratu! Inny recenzent, dr hab. Leszek Czerwonka, profesor z Katedry Mikroekonomii Wydziału Ekonomicznego UG, pozytywnie ocenił dysertację i dopuścił do obrony. Z kolei recenzentka, dr hab. Katarzyna Kuziak, profesor z Katedry Inwestycji Finansowych UE we Wrocławiu (to jej pracę m.in. splagiatował b. rektor UG, dr Jerzy Gwizdała), miała szereg krytycznych uwag, ale we wniosku końcowym oceniła doktorat pozytywnie.

Komisja doktorska, kierowana przez prof. Beatę Filipiak, szefową katedry, w której zatrudniony jest zarówno promotor, jak i rektor US Waldemar Tarczyński, na posiedzeniu 10 marca 2022 r. zgodziła się na poprawę dysertacji i wyznaczyła okres 6 miesięcy na jej zwrot. Rektor Tarczyński początkowo też wszedł w skład komisji doktorskiej, ale szybko zrezygnował z powodu konfliktu interesów - posiadania wspólnej publikacji z doktorantką. Członkami komisji byli jeszcze: prof. dr hab. Dariusz Zarzecki z Katedry Finansów i Bankowości, profesorem: dr hab. Mariusz Doszyn z Katedry Ekonometrii i Statystyki, dr hab. Stanisław Hońko z Instytutu Rachunkowości oraz dr hab. Małgorzata Tarczyńska-Łuniewska z Katedry Statystyki.

Trzeba też wiedzieć, że mąż doktorantki, dr hab. Grzegorz Mentel, jest profesorem na Wydziale Zarządzania PRz, zaś promotorem jego doktoratu z 2006 r., obronionego na Wydziale Ekonomii i Zarządzania US, był prof. W. Tarczyński. Habilitacja, też obroniona na tym wydziale w 2019 r., dotyczyła tematu „Wartość zagrożona jako instrument zarządzania ryzykiem pogodowym”. Pod koniec sierpnia br. niżej podpisany powiadomił rektora Politechniki Rzeszowskiej, prof. Piotra Koszelnika, o zarzutach plagiatowych w recenzji prof. A. Szyszki. Kopię pisma przesłano też do rektora US, prof. W. Tarczyńskiego. Reakcja obydwu rektorów była szybka: prof. Koszelnik następnego dnia przekazał sprawę rzecznikowi dyscyplinarnemu, którym jest dr Andrzej Kiełtyka, adiunkt w Zakładzie Prawa i Administracji Wydziału Zarządzania PRz, a przed kilkunastu laty - zastępca prokuratora apelacyjnego w Rzeszowie.

Z kolei prof. Tarczyński przekazał tę informację prorektorowi ds. nauki, prof. Andrzejowi Skrendo, który zawiadomił Prokuraturę Rejonową Szczecin-Niebuszewo. Powiadomiona o tym Rada Naukowa Instytutu Ekonomii i Finansów uchwaliła z 8 września 2022 r. z urzędu zawiesiła przewód doktorski.

Ta sprawa wynika z faktu, że żaden z członków komisji doktorskiej nie zaprotestował przeciwko dalszemu procedowaniu przewodu doktorskiego na podstawie pracy, w której recenzent stwierdził plagiat. Przewodu doktorskiego opartego na plagiacie od chwili jego wykrycia nie wolno procedować, a tym bardziej „poprawiać” w celu dopuszczenia do obrony. Trzeba było go zamknąć natychmiast po zweryfikowaniu opinii recenzenta.

Jak wynika z tych dwóch historii, tolerancja dla nierzetelnych zachowań wciąż jest w polskim środowisku akademickim dość powszechna.

Marekwo@gmail.com

Zbigniew Drozdowicz

Akademickie wyróżnienia

Nagrody rektorskie za osiągnięcia badawcze są bardziej cenione niż nagrody za osiągnięcia dydaktyczne, a te z kolei stoją wyżej niż nagrody za osiągnięcia organizacyjne. Niżej w tej hierarchii stoją nagrody przyznawane przez dziekanów. Jednak w żadnym razie nie można powiedzieć, że są one bagatelizowane przez wszystkich. Byli bowiem i są członkowie akademickiej społeczności gotowi walczyć o nie „na noże”.

Przyznawaniu akademickich wyróżnień z reguły towarzyszą różnego rodzaju emocje. Rzecz jasna, jednym większe, innym mniejsze. Wiele zależy nie tylko od rangi wyróżnienia, ale także od kierowania się w tym przyznawaniu zasadami, które można uznać za na tyle sprawiedliwe, że ci, którym nie zostały one przyznane, nie czują się pokrzywdzeni. Trudno jest jednak nie tylko o określenie takich zasad, ale także o pogodzenie się z tym, że inni otrzymali jakieś istotne wyróżnienie, a nie my.

Wyróżnienia z „najwyższej półki”

Za takie wyróżnienie może uchodzić przyznanie w procedurze parametrycznej – wcześniej wydziałom, a obecnie dyscyplinom naukowym – kategorii A+. Jak wielką wagę przywiązuje się do niego, może świadczyć to, że informacja o jego przyznaniu zamieszczana była i jest na pierwszych stronach internetowych uczelnianych jednostek, których wydziały lub dyscypliny je otrzymały i zachowywana jest niejednokrotnie do następnej parametryzacji, a czasami nawet jeszcze dłużej. Natomiast ci, którzy są lub przynajmniej czują się współautorami tego sukcesu, mówią o nim często tak, jakby otrzymali Nagrodę Nobla. Warto im jednak przypomnieć, że ma ono ograniczony okres ważności i trzeba zadbać o powtórzenie sukcesu za kilka lat. Rzecz jasna, skrajnie odmienne emocje przeżywają ci, którzy „otarli się” o tego „Nobla” i są przekonani, że powinni go otrzymać, bo go mieli w poprzednim „rozdaniu” lub też, iż w ostatnich pięciu latach wykazali się wystarczająco znaczącymi wynikami badawczymi. Zapewne złożyli odwołania od wyników ostatniej parametryzacji. Być może niektóre z nich okazały się skuteczne. Zdziwiłbym się mocno, gdyby była to większość z nich. Jeśli już miałbym coś sugerować niezadowolonym z braku kategorii A+, to szukanie winnych niepowodzenia nie tylko w KEN-ie i w MEiN-ie lub w nieprawidłowościach procedowania, ale także uważne rozejrzenie się na własnym „podwórku”. Emocje mogłoby nieco ostudzić upublicznienie całej procedury, w tym opinii dwóch recenzentów, którzy na końcowym etapie zostali powołani do ustalenia, czy dyscyplinie przyznać kategorię A+. Szczególnie interesujące są przypadki, w których jeden z nich był „za”, a drugi „przeciw”, w tym jak układają się proporcje między recenzentami zagranicznymi i krajowymi. Nie wykluczam, że potwierdziłyby one przekonanie, że w naszych realiach akademickich o uzyskanie „za” łatwiej jest u obcych niż u „swoich”.

Nie da się jednak obronić twierdzenia, że cała społeczność akademicka żyła i żyje parametryzacją. Bez większego trudu można znaleźć takich, którzy słabo się orientują, o co w niej chodzi, a nawet takich, których mało ona obchodzi. Bardziej ich interesują wyróżnienia związane z akademicką procedurą awansową, a tych, którzy przekroczyli próg habilitacji, procedurą o nadanie tytułu profesorskiego. Tytuł ten stanowi dobro pożądane przez wielu uczonych. Jednak był on i jest nadal osiągnięciem przez stosunkowo niewielu. Taka jego namiastka, jaką jest stanowisko profesora uczelnianego, może wprowadzić zadowolonych, jednak dla wielu stanowi to tylko „stację przesiadkową” w podróży do profesury bez tego przymiotnika. Jak wielka jest ich determinacja, mogłem się przekonać, występując w roli opiniodawcy w takiej procedurze. Przy okazji mogłem się zapoznać z opiniami innych recenzentów. Ze sporym przekonaniem mogę powiedzieć, że dzisiaj z opiniowaniem jest lepiej niż jeszcze kilka lat temu. Oznacza to jednak, że wyróżnienie, jakim jest tytuł profesora, jest trudniej dostępne dla tych, którzy wprowadzić mieli i mają swoich protektorów, ale ich osiągnięcia naukowe są co najwyżej przeciętne. O tym, że niełatwo jest im to przyjąć do wiadomości, świadczą m.in. odwołania po otrzymaniu pierwszej negatywnej opinii Prezydium Rady Doskonałości Naukowej.

Wyróżnienia ze średniej „półki”

Wahałem się, czy wyróżnienia, jakim jest przyznanie uczelni statusu badawczej, nie zaliczyć do najwyższej „półki”. Jeśli w końcu zdecydowałem się na zaliczenie go do średniej, to kierowałem się nie tylko tym, że jest to „dziecko” stosunkowo młodej daty („poczęte” przy okazji narodzin Ustawy 2.0) i nie jest pewne, czy przeżyje kolejne zmiany regulacji prawnych, ale także, a nawet przede wszystkim tym, że narodziło się ono z istotną skazą, jaką jest sprzeczność między nazywaniem uczelni badawczymi i prowadzeniem przez nie zarówno badań naukowych, jak i w szerokim zakresie kształcenia studentów. Dotyczy to wszystkich dziesięciu uczelni, którym przyznano ten status. Pracowników naukowych zatrudnionych na etatach badawczych, tj. nie mających w zakresie swoich obowiązków prowadzenia zajęć dydaktycznych, jest w nich niewielu, a w mojej uczelni (UAM) to wręcz śladowa liczba. Jeśli w ogóle o tym mówię, to przede wszystkim dlatego, że z tym wyróżnieniem wiąże się przyznawanie całkiem pokaźnych dodatków do

wynagrodzeń dla osiągających wyróżniające się wyniki w publikowaniu artykułów i monografii naukowych w czasopiśmie i wydawnictwach obecnych w bazie Scopus. Rozumiem, że nie wszystkie osiągnięcia naukowe dają się przeliczyć na pieniądze, a jeśli już zostały przeliczone i przyznane uczelniom, które uzyskały status badawczych, to trzeba je sensownie wydać. Nie jestem do końca przekonany, że takim jest rozwiązanie przyjęte na mojej uczelni. Argumentem za trzymaniem się go byłoby wykazanie, że w istotnym stopniu przyczynia się ono do wzrostu aktywności i efektywności badawczej uczonych. Wyniki ostatniej parametryzacji dyscyplin naukowych realizowanych w UAM tego jednak nie pokazują.

Wyróżniania finansowego za osiągnięcia w pracy akademickiej nie bagatelizuję. Są jednak różne jego rodzaje i nie każdy z nich można umieścić na średniej „półce”. Jestem przekonany, że znajdzie się na niej miejsce przynajmniej dla corocznych nagród rektorskich I stopnia za osiągnięcia w pracy badawczej. Nie tylko dlatego, że są one stosunkowo najwyższe finansowo i wiążą się z najbardziej cenioną w środowisku akademickim formą aktywności zawodowej, lecz także dlatego, że są stosunkowo najmniej liczne, a ci, którzy je otrzymują, są zwykle proszeni na uroczyste spotkanie z władzami rektorskimi i mogą usłyszeć kilka miłych słów o swoich osiągnięciach. To, co o tym myślą i mówią ci, którzy tej nagrody nie otrzymali, zależy nie tylko od ich samokrytycyzmu (lub jego braku), ale także od obiektywizmu w ocenianiu osiągnięć naukowych przez wnioskujących o te nagrody (zwykle są to dziekani lub dyrektorzy jednostek organizacyjnych uczelni). Rzecz jasna ostateczna decyzja należy do rektorów. Obiektywizm ten może mieć i niejednokrotnie ma różne miary i niełatwo wybrać taką, która zadowoli przynajmniej większość zainteresowanych. Mówię to nie tylko jako osoba, która otrzymywała takie nagrody, ale także jako były dwukadencyjny dziekan dużego i zróżnicowanego dziedziny wydziału. Pełniąc tę funkcję, niejednokrotnie wnioskowałem o przyznanie nagrody I stopnia za osiągnięcia naukowe osobie, która co roku je miała i mogła to udokumentować nie tylko znaczącymi publikacjami w prestiżowych czasopiśmie i wydawnictwach, ale także znaczącymi grantami badawczymi. Oczywiście nie przysporzyło to wielu sympatyków ani mnie, ani tej osobie. Jeśli już miałbym cokolwiek doradzać uczelnianym decydom, byłaby to sugestia, aby nie dyskryminowali tych, którzy notorycznie otrzymują wyróżniające się osiągnięcia badawcze, a także nie przejmowali się zanedo pretensjami tych, którzy jedynie aspirują do takich osiągnięć.

Wyróżnienia z niższych „półek”

Takich wyróżnień jest najwięcej i nie wszystkie można umieścić na jednej „półce”, nie tylko dlatego, że są zróżnicowane rodzajowo, ale także dlatego, że są różnie oceniane w akademickim środowisku. Przykładem mogą być nagrody rektora niższego stopnia za osiągnięcia naukowe. Jednym członkom społeczności ich otrzymanie daje sporą satysfakcję. Przez innych mogą być i bywają traktowane jako nagroda pocieszenia, nawet jeśli jest to nagroda II stopnia. Jednak mimo wszystko nagrody rektorskie za osiągnięcia badawcze są bardziej cenione niż nagrody za osiągnięcia dydaktyczne, a te z kolei stoją wyżej niż nagrody za osiągnięcia organizacyjne. Niżej w tej hierarchii stoją nagrody przyznawane przez dziekanów. Jednak w żadnym razie nie można powiedzieć, że są one bagatelizowane przez wszystkich. Są bowiem członkowie akademickiej społeczności



gotowi walczyć o nie „na noże”. Przekonałem się o tym, pełniąc obowiązki dziekańskie. Świadcstwo tej walki można jeszcze dzisiaj znaleźć w internecie po wprowadzeniu do wyszukiwarki hasła: „groteskowy spór naukowców”. Drugą stroną tego sporu była osoba, która domagała się ode mnie nagrody na osiągnięcia, których moim zdaniem nie było. Po odmowie nagłośniła swoją „krzywdę” w mediach. Później miała wielkie pretensje do dziennikarki, która ujawniła jej brak osiągnięć. Jest to wprawdzie historia już z dosyć długą „brodą”, jednak pokazuje, jak wrażliwą i drażliwą kwestią są różnego rodzaju akademickie nagrody.

Odrębną kategorię stanowią wyróżnienia przyznawane przez studentów wykładowcom. Na mojej uczelni do najbardziej prestiżowych należy nagroda Praeceptor Laureatus, przyznawana co roku na podstawie wyników ankiet studenckich.

Nie bagatelizuję jej znaczenia, zwłaszcza wówczas, gdy otrzymują ją osoby potrafiące udanie łączyć obowiązki dydaktyczne z badawczymi. Tacy się zdarzają, jednak nieczęsto. Częściej wyróżniony dydaktyk ma dosyć przeciętne wyniki badawcze lub nawet nie ma ich wcale i jest zatrudniony na etacie dydaktycznym, a co za tym idzie, nie ma w zakresie obowiązków prowadzenia badań naukowych. Pozostaje kwestią dyskusyjną, czy można być bardzo dobrym dydaktykiem akademickim, nie prowadząc żadnych badań. Nie oczekiwałbym od studentów udzielenia przekonującej odpowiedzi na to pytanie. Kierują się oni bowiem często kryteriami, które wprawdzie świadczą o potrzebie przyjemnego studiowania i mało kłopotliwego zaliczania kolejnych jego etapów, ale raczej trudno to pogodzić z surowym egzekwowaniem przez wykładowców wiedzy na egzaminach.

Jeszcze inną kategorię stanowią akademickie wyróżnienia honorowe. Są one również dosyć mocno zróżnicowane. Do najwyższej stojących należy honorowy doktorat. Zapewne są tacy, którzy skłonni będą je zaliczyć do wyróżnień z najwyższej „półki”. Rzecz jednak w tym, że uprawnienia do jego przyznawania mają nie tylko najlepsze uczelnie, ale także średnie, a nawet słabsze i chętnie z nich korzystają. Rzecz również w tym, że kryteria przyznawania są na tyle niejednoznaczne, że w gronie obdarzonych doktoratem honorowym znajdują się osoby, których związki z nauką są dosyć skromne. Zdarzało się również, że przyznawany był na tzw. zamówienie polityczne. Odpowiedź na pytanie, jak to wyglądało w przeszłości, można znaleźć w uczelnianych dokumentacjach. Jeszcze niżej w hierarchii znajdują się honorowe wyróżnienia przyznawane przez rozmaite organizacje naukowe. Miewają one „pompatyczne” nazwy i wręczane są z dużą „pompą”, co oczywiście poprawia samopoczucie darczyńców i obdarowanych, jednak jedynie w niewielkim stopniu podnosi rangę tych wyróżnień.

A ja?

Jeśli nawet tytułowe pytanie sformułowałem nieco żartobliwie, to nie będę żartował, udzielając na nie odpowiedzi. Nie chciałbym jednak czepiać się tych, którzy z sobie wiadomych względów nie przyznali mi któregoś z istotnych akademickich wyróżnień (z takimi spotkał się zapewne na swojej drodze nie jeden akademik). Chciałbym natomiast przedstawić krótkie sprawozdanie z wyróżnień, które otrzymałem albo ja, albo moja dyscyplina nauki. W moim przekonaniu jest się czym pochwalić i nie muszę przeproszać nikogo za któreś z tych wyróżnień. W pierwszej kolejności wyniki parametryzacji. Wyglądają one dobrze, bowiem moja dyscyplina otrzymała kategorię A+. W punkcie „tytuł profesorski” również wygląda to nieźle, bowiem otrzymałem go w wieku 44 lat (i nie był mi nadany na kredyt). W punkcie „nagrody rektora” jest więcej niż nieźle, bowiem było ich wiele i to w różnych kategoriach. Znacznie gorzej to wygląda w punkcie „wyróżnienia honorowe i dydaktyczne”, bowiem mimo długiego akademickiego życia żadnego z nich nie otrzymałem (ale też o żadne z nich nie zabiegałem). Najwyżej cenionym wyróżnieniem ostatnich lat było jednak przedłużenie mi zatrudnienia na uczelni (mimo osiągnięcia wieku emerytalnego). Sądzę, że rektor, który podjął tę decyzję, dobrze wiedział, co robi. W ten bowiem sposób w istotnym stopniu pomogłem swojej dyscyplinie w uzyskaniu wyróżniającej kategorii, nie tylko dając do parametrycznej oceny swoje wysoko punktowane publikacje, ale także umożliwiając innym (jako redaktor naczelny wysoko punktowanego czasopisma oraz wydawnictwa) dołożenie do niej „cegiełek”. Rzecz jasna, byłoby miło, gdyby obecne władze rektorskie przedstawiły mi jakąś poważną propozycję dalszego zatrudnienia.



Fot. Sławomir Makal

Rozmowa z dr. Dariuszem Karłowiczem, filozofem, prezesem Fundacji Świętego Mikołaja i dyrektorem programowym Instytutu Kultury św. Jana Pawła II w Angelicum

Polsko-rzymska perspektywa

W stulecie urodzin świętego Jana Pawła II, z inicjatywy „Teologii Politycznej”, powstał w rzymskim Uniwersytecie św. Tomasa z Akwinu – Angelicum – Instytut Kultury imienia polskiego papieża. Jaka była geneza?

Przyczyną było przekonanie, że pilnie potrzebna jest działająca w skali Kościoła powszechnego instytucja, która w twórczy sposób zajęłaby się dziedzictwem Jana Pawła II. Oczywiście byłoby rzeczą wspaniałą, gdyby taką inicjatywę podjęło państwo albo Kościół, ale tak się nie stało. Zatem podjęła się jej organizacja pozarządowa.

„Teologia Polityczna”.

Fundacja św. Mikołaja, która jest wydawcą „Teologii Politycznej”.

Proszę opowiedzieć, jak to się stało. Bo to jednak wydarzenie bez precedensu.

Pewnego razu przyszedł do mnie Mateusz Bednarkiewicz, reżyser i filozof (syn znanego adwokata Macieja Bednarkiewicza) z pomysłem, żeby założyć w Rzymie instytucję upamiętniającą dorobek św. Jana Pawła II. Przez dwa lata chodziliśmy od Annasza do Kajfasza, żeby się zorientować, iż w Polsce nie znajdziemy żadnego instytucjonalnego zaplecza podobnej inicjatywy. Po dwóch latach, kiedy byliśmy już prawie gotowi się poddać, stanął na naszej drodze ówczesny rektor Angelicum, o. prof. Michał Paluch OP (umówił nas nieodżałowany o. Maciej Zięba). Ojciec rektor z wielką życzliwością potraktował pomysł, żeby Instytut otworzyć właśnie na Angelicum. Jan Paweł II jest najsłynniejszym alumnem tej znakomitej rzymskiej uczelni, więc taka lokalizacja wydaje się oczywista. Było to wiosną 2019, pół roku przed stuleciem urodzin Karola Wojtyły.

To był początek realizacji projektu?

Nie. Przez kolejne kilka miesięcy znowu obiegliliśmy rozmaite instytucje w poszukiwaniu potrzebnych pieniędzy. Ponieważ znowu nic z tego nie wyszło, więc wraz z Joanną Paciorek, z którą prowadzimy Fundację św. Mikołaja, podjęliśmy decyzję o rezygnacji ze starań, które zabrały nam już dwa lata. Dokładnie w dwa dni po tej decyzji odwiedzili nas przyszli sponsorzy. Przyszli w zupełnie innym celu, ale kiedy – zresztą zupełnie przez przypadek – dowiedzieli się o tym projekcie, podjęli błyskawiczną decyzję o sfinansowaniu go. To byli państwo Jolanta i Mirosław Gruszkowie,

do dziś główni sponsorzy Instytutu. Potem dołączyli następní: Krzysztof Domarecki, Wojciech Piasecki i Tomasz Zdziebkowski.

Kim są ludzie gotowi wydać niemałe, jak sędzę, pieniądze na cel nieobiecujący zysków materialnych, na wsparcie przedsięwzięcia edukacyjno-formacyjnego o bardzo szlachetnym założeniu, a charakterze elitarnym?

Wszyscy bez wyjątku to polscy biznesmeni działający z ogromnym rozmachem i wielkim sukcesem w różnych dziedzinach od przemysłu spożywczego, przez chemię budowlaną, przemysł kosmetyczny po rolnictwo. Transformacja sprawiła, że w polskim biznesie wielki sukces osiągnęli ludzie o niezwykle jak na biznes horyzontach i, co ciekawe, często wcale niebiznesowym wykształceniu (mówię oczywiście o ich pierwszej, podstawowej formacji). Jolanta Gruszka jest romanistką, przez lata wykładowcą uniwersyteckim, Mirosław Gruszka z wykształcenia jest archeologiem i socjologiem. Krzysztof Domarecki jest doktorem prawa konstytucyjnego, Wojciech Piasecki wykształconym w Stanach Zjednoczonych politologiem, a Tomasz Zdziebkowski kończył studia rolnicze. Niezwykli, znakomicie czytani ludzie, niepowierzchowni miłośnicy sztuki i kultury europejskiej, a przy tym ludzie bardzo zaangażowani w działalność kulturalną i charytatywną.

Nowa rola inteligencji humanistycznej. Obiecująca.

To są ludzie gruntownie wykształceni, o niezwyklej orientacji w świecie. Wszystkich ich łączy wielkie oddanie dziedzictwu Jana Pawła II i szczerą troską o przyszłość cywilizacji, w której przyszło nam żyć.

Obecność takich osób na rynku i w życiu publicznym jest nowym zjawiskiem, jeszcze powszechnie nieznanym, a niezwykle ważnym.

Na pewno. Mówimy o ludziach, którzy nie są biznesmenami skoncentrowanymi wyłącznie na pomnażaniu kapitału, ale ludźmi, którzy gotowi są wziąć odpowiedzialność za stan i kształt polskiej i nie tylko polskiej kultury.

Dziełem takiej kategorii osób jest Instytut Kultury Jana Pawła w Rzymie. Jakie ma główne zadanie?

Historia jest dla nas środkiem, nie celem. Interesuje nas współczesność, kluczowe problemy Kościoła i świata, które

chcemy rozważać wraz z Janem Pawłem II. Badanie dziedzictwa to sprawa bardzo istotna, ale nie można na nim poprzestać. Ogromne dziedzictwo, które pozostawił Jan Paweł II, to rzecz zbyt poważna, by oddać ją na wyłączność historykom.

W odbiorze przeciętnego człowieka nauka Jana Pawła jest wyrażona bardzo jasno i bardzo, powiedziałabym, definitywnie. Mniej trzeba ją interpretować, bardziej zaszczerpieć, żeby w konsekwencji urzeczywistnić.

Z pewnością element popularyzacji jest ogromnie ważny. Z tego punktu widzenia trudno o lepsze miejsce od Angelicum, gdzie uczy się fantastyczna, starannie dobrana młodzież z blisko stu krajów katolickiego świata. Studentów, zwłaszcza młodych księży, zakonnice i zakonników, kierują tu ich diecezje. Wybór jest bardzo staranny, bo pobyt w Rzymie to jednak spory koszt. Nie ma wątpliwości, że to właśnie tu kształcą się przyszła elita intelektualna Kościoła Powszechnego: przyszli biskupi, redaktorzy naczelni pism katolickich, rektorzy i profesorowie, przełożeni zgromadzeń zakonnych, a może i kolejni papieże. Gdzie zarażać Janem Pawłem jak nie tutaj? A powiedzieć trzeba, że studia w Angelicum są naprawdę czymś wyjątkowym. To uczelnia, w której żyje duch prawdziwego uniwersytetu, gdzie zamiast zajmować się punktami i slotami nadal pamięta się, czym jest życie naukowe, debata, wykład, pasja intelektualna i duchowa...

Mogę sobie wyobrazić, że studiowanie w takich warunkach sprzyja oglądaniu świata z Janem Pawłem, jak pan określił cel Instytutu.

Pomysł, by poprzez i z pomocą dziedzictwa Jana Pawła II mierzyć się z problemami współczesnego Kościoła i świata, zawdzięczam znakomitemu francuskiemu filozofowi Rémiemu Brague'owi, z którym się od lat przyjaźnimy. Przygotowując koncepcję Instytutu, myśleliśmy o miejscu refleksji wychylonym ku współczesności. Gigantów nie wolno zamykać w muzeum. A Jan Paweł II to gigant i to nasz gigant. A to, jak sądzę, zobowiązuje. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, żeby sobie uświadomić, że większy się dotąd w Polsce nie narodził. I ten gigant jest dzisiaj dla nas liliputów wielkim wyzwaniem, z którym zresztą nie radzimy sobie w Polsce najlepiej. A szkoda. W różnych ogrodach, które uprawiał Jan Paweł II, zostawił tak dużo rozmaitych narzędzi, że przeniesienie tego wszystkiego do muzeum byłoby nie tylko marnotrawstwem, ale barbarzyństwem.

Czy są w tym ogrodzie miejsca dotąd nieprzebyte?

Nie uważam się za znawcę dorobku Jana Pawła i nie dam na to pytanie zdecydowanej odpowiedzi. Tym, co wydaje mi się szczególnie intrygujące, jest sposób patrzenia na współczesność, w tym zwłaszcza na kulturę. Jak pani wie, od lat nie tylko w Polsce trwa spór o to, ile w duchowości i nauce Jana Pawła II mamy św. Tomasza, a ile fenomenologii. Podejście Janopawłowe, nawet jeśli nie zawsze ortodoksyjnie tomistyczne, wydaje



mi się z mocy samego metafizycznego sposobu niesłychanie podobne do Tomaszowego. Chodzi o zwrócenie się ku współczesnemu, często pogańskiemu światu, ale nie po to, by zerwać więzi z tradycją i się w świecie rozpuścić, ale by ze światem prowadzić prawdziwy dialog. Odniesienie Jana Pawła do Schellera, do Husserla, wydaje mi się bardzo podobne do tego zainteresowania, jakim św. Tomasz obdarzał Arystotelesa. Zamysł dialogu z filozofami współczesnymi, zamysł, którego, tylko początek dane nam było zobaczyć, to z pewnością plan godny kontynuacji. To droga, którą warto byłoby przebyć.

Instytut istnieje dwa lata.

Udało nam się go otworzyć w setną rocznicę urodzin Jana Pawła. Mimo pandemii urządziliśmy huczną, choć tylko

internetową, uroczystość. Strony podpisały umowę. Rémi Brague wygłosił wykład inauguracyjny, a zaproszone znakomite krótkie mowy. Co więcej, papież Franciszek, który odprawił uroczystą mszę przy grobie świętego, tuż po mszy osobiście wręczył rektorowi Angelicum list gratulujący tej inicjatywę i życzący jego twórcom wszelkiej pomyślności. Żartujemy, że jeśli powstanie kiedyś kaplica Instytutu, to scena przekazania tego listu może być tematem pierwszego fresku.

Ile w ciągu dwu pierwszych lat udało się urzeczywistnić z przemyślanych i przedyskutowanych planów?

Szczególnie jestem zadowolony z trwającego od początku istnienia Instytutu cyklu comiesięcznych wykładów Janopawłowych (JP2 Lectures). Lista wykładowców to najlepszy dowód, że współpracują z nami najtęższe głowy i że nauka Jana Pawła II to bardzo ważny punkt odniesienia poważnej refleksji. Żeby nie być gołosłownym – w liczbie wykładowców znaleźli się między innymi profesorowie: John Alderdice, Carl A. Anderson, John Cavadini, Rémi Brague, Marek Cichocki, John M. Finnis, Stanisław Grygiel, François Daguet OP, Chantal Delsol, Dariusz Gawin, Jean-Luc Marion, kard. Gianfranco Ravasi, Andrea Riccardi, Ewa Thompson, George Weigel. To nawet nie jest pierwsza liga współczesnych myślicieli, to ekstraklasa. Co dla mnie szczególnie ważne, pracują z nami nie tylko katolicy. Wykład inauguracyjny najbliższy rok akademicki wygłosi sam Joseph Weiler. W gronie bliższych współpracowników znaleźli się dwaj wybitni intelektualiści kościoła anglikańskiego: były prymas Anglii i emerytowany prof. Cambridge abp. Rowan Williams oraz założyciel środowiska Radical Orthodoxy prof. John Milbank.

To podejście bardzo bliskie Janowi Pawłowi II.

Tak. Co ciekawe, a co dotyczy zwłaszcza Rowana Williamsa, obecność Janopawłowej nauki jest bardzo żywa.

Co poza wykładami dzieje się w Instytucie?

Już po roku działalności udało nam się uruchomić studia Janopawłowe. Są to jednoroczne, interdyscyplinarne studia

skierowane zarówno do studentów Angelicum, jak i do osób z zewnątrz uniwersytetu. Studia składają się z trzech bloków tematycznych. Pierwszy to wykłady pozwalające pogłębić wiedzę o Janie Pawle II. Prowadzą je znakomici znawcy nauczania polskiego papieża. „Życie i myśl” wyklada Georg Weigel, filozofii Wojtyły uczy dyrektor Instytutu o. Cezary Binkiewicz OP, nauczanie społeczne wykładają profesorowie Francis Hittinger i Michał Gierycz, a teologii uczy o. Jarosław Kupczak. Drugi blok to Janopawłowe inspiracje. W zeszłym roku w ramach tej części o solidarności uczył Rowan Williams, a o kulturze chrześcijańskiej Rémi Brague. W tym roku wykład będzie miał m.in. Jean Luc Marion, członek Akademii Francuskiej, który wraz z Réminem Brague’em jest laureatem niezwykle prestiżowej Nagrody Ratzingera. Z Polaków wspierają nas ks. prof. Franciszek Longchamps de Berier, profesorowie Marek Cichocki i Dariusz Gawin. W trzecim bloku zajęć pozostawiamy swobodę studentom, którzy z ogromnej oferty Angelicum mogą wybrać sobie zajęcia, które uznają za najciekawsze. Idąc tropem Wojtyły, założyliśmy również teatr, który jest znakomitą formą seminarium uczestniczącego. W tym roku pod okiem prof. Jarosława Kiliana studenci wystawili *Hioba*. Spektakl został bardzo gorąco przyjęty i był szeroko dyskutowany.

Mogę sobie wyobrazić, jak teatr porusza myśli oraz emocje, a także wzmacnia zainteresowanie spuścizną Jana Pawła...

Tak, rzeczywiście zainteresowanie było ogromne i co najważniejsze niepowierzchowne. Podam jeden przykład, który mnie bardzo poruszył. W spektaklu brała udział, pisząca w Angelicum doktorat z teologii, siostra zakonna mieszkająca w tej części Nigerii, gdzie chrześcijanie doznają największych prześladowań. Powiedziała mi, że dołączyła do tego przedsięwzięcia, bo szuka odpowiedzi na pytanie, jak ludziom, którzy stracili wszystko, którym wymordowano całą rodzinę, opowiadać o Chrystusie i chrześcijaństwie. Sztuka powstała w 1940 roku. Dwudziestoletni Karol Wojtyła dobrze już wiedział, czym jest krwawy niemiecki terror. To niezwykle poruszające, że po z górą osiemdziesięciu latach jego artystyczna odpowiedź na pytanie o związek Hioba ze zbawcą ofiarą Chrystusa okazuje się zrozumiała i istotna dla chrześcijan z Biafry.

Teatr będzie stałym wątkiem studiów Janopawłowych?

Mam nadzieję, że tak.

Angelicum jest uczelnią elitarną. Ilu studentów kształci się w Instytucie Jana Pawła?

Górna dopuszczalna liczba studentów na zajęciach w Angelicum to osiemnastu. Na pierwszym roku mieliśmy trzynastu słuchaczy. Pięcioro to nasi stypendyści, wyłonieni w drodze zorganizowanego z Tertio Millennio konkursu spośród, o ile dobrze pamiętam, stu siedemnastu chętnych. Sądząc po liczbie zapytań, zainteresowanie rośnie, choć, jak myślę, na dobrą markę i rozpoznawalność musimy jeszcze solidnie popracować.

Kim są studenci?

Zależy nam na ludziach o bardzo różnej formacji. W tym roku wśród studentów mieliśmy m.in. dwójkę prawników, ekonomistkę, lekarzkę, historyka, historyka sztuki, nauczycielkę. To oczywiście stanowi dla wykładowców spore wyzwanie. Dlatego zresztą – żeby wyrównać poziom – w tym roku zdecydowaliśmy się na dodatkowe bardzo solidne zajęcia propedeutyczne z filozofii. Trzeba powiedzieć, że to nie są łatwe studia. Wszystkie zajęcia odbywają się w języku angielskim, co akurat nie jest dzisiaj dużą przeszkodą. Odbywają się w blokach, profesorowie przyjeżdżają na dwutygodniowe sesje i wtedy pracuje się bardzo intensywnie. Potem jest przerwa, żeby się przysto-

wać do następnej sesji. Oczywiście niektóre zajęcia odbywają się co tydzień, np. propedeutyczne zajęcia z filozofii. Zajęć jest dużo, ale zapewniam, że nasi studenci znajdują czas na zwiedzanie Rzymu i doświadczanie tego wszystkiego, co w Rzymie piękne i porywające.

A nowe projekty?

Moc planów na bliższą i dalszą przyszłość.

Proszę wymienić choć niektóre.

Kultura w nazwie instytutu to nie przypadek. Mam wrażenie – i mówię to ze smutkiem – że Kościół katolicki w ostatnich dwóch dekadach odwrócił się od kultury. W najbliższych latach chcemy się skoncentrować na tej sprawie, na diagnozie sytuacji, źródłach kryzysu, słowem – na problemach relacji Kościoła z kulturą. Za dwa lata będziemy obchodzili czterćwiecie *Listu do Artystów* Jana Pawła II. Wiem, że ten list ciągle inspiruje chrześcijańskich twórców, więc warto potraktować go jako punkt odniesienia do podobnej debaty, do której chcemy zaprosić intelektualistów i artystów z całego chrześcijańskiego świata. Myślimy o seminariach i projektach badawczych, ale chcemy również podjąć pewne działania praktyczne. Fundacja św. Mikołaja wraz z Instytutem Kultury zainicjowała projekt, który nazwaliśmy: „namalować katolicyzm od nowa”. Do współpracy zaprosiliśmy znakomitych polskich malarzy, z profesorem Jarosławem Modzelewskim na czele. Pracujemy z historykami sztuki, teologami sztuki, filozofami, pracujemy nad zagadnieniami, które niestety nie są dzisiaj żywym centrum refleksji katolickiego świata. Poważną refleksję chcemy połączyć z pracą artystyczną. Na początek u dziesięciu wybitnych artystów zamówiliśmy obrazy Chrystusa Miłosiernego. Namalowali je zgodnie z założeniami, które można znaleźć w *Dzienniczku* Siostry Faustyny. Dziewiętego listopada pokażemy je w krągankach dominikanów w Krakowie, potem w Warszawie, a potem – mam nadzieję – w Rzymie.

Wydaje się, że wobec aktualnych kłopotów Kościoła troska o kulturę zesza na nieco dalszy plan.

Tak, niestety, co zresztą bardzo niebezpieczne zarówno dla chrześcijaństwa, jak i dla kultury. Bez kultury chrześcijaństwo traci zdolność komunikacji ze światem, kultura zaś, oddalając się od chrześcijaństwa, traci korzeń, najważniejszy punkt odniesienia. Nie bez przyczyny Grecy, których religią ja się zajmuję, za rodziców Muz uważali Mnemosyne i Zeusa. Jeśli dobrze rozumiem ten mit, źródłem kultury są zapisane w pamięci doświadczenia epifanii bóstwa, kultura więc wyrasta z pamięci o spotkaniu z tym, co trwałe, a co kryje się za postacią zjawisk. Bez tego traci porządek i sens. A wracając do planów. Pracujemy nad dwiema seriami książek. Wydaliśmy już pierwszy tom wykładów Janopawłowych, przygotowujemy kolejny. Warto powiedzieć, że w USA tom dystrybuuje największy katolicki wydawca Catholic University Press. Współpraca z nimi to dla nas niezwykle wyróżnienie i szansa. Druga seria, również w języku angielskim, to monograficzne tomy przedstawiające wielkie postaci polskiej tradycji duchowej. Każdy z bardzo solidnym wyborem tekstów. Jako pierwszy ukaże się tom o Pawle Włodkowicu. Planujemy oczywiście tom norwidowski, tom poświęcony Stefanowi Wyszyńskiemu, Janowi Kochanowskiemu i wiele kolejnych. Oby nie zabrakło sił. No i środków.

Pozostaje mi życzyć, żeby te plany się spełniły. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Magdalena Bajer

Rozmowa z prof. Alojzym Z. Nowakiem, rektorem Uniwersytetu Warszawskiego i prezesem Akademickiego Związku Sportowego

Czas sukcesów, nie tylko sportowych

Europejskie Igrzyska Akademickie w Łodzi były największą sportową imprezą, jaką AZS kiedykolwiek zorganizował. Organizacyjny sukces znów pozwala nam odważniej myśleć o uniwersjadzie nad Wisłą.

Za nami półmetek obecnej kadencji Zarządu AZS. Pierwszej, wydłużonej do czterech lat...

Wbrew pozorom dwa lata to bardzo krótki okres przy tak rozległej działalności, jaką prowadzimy. Dwuletnie kadencje to nieustanna „walka” wyborcza, która nie pozwala na swobodną i merytoryczną dyskusję podczas Zjazdu AZS. Uważam, że ta zmiana była bardzo przydatna, co widać po ostatnim Zjeździe Sprawozdawczym. Świetna organizacja, bardzo dobra atmosfera, dużo merytorycznych wystąpień pozwoliły nam bez personalnych (wyborczych) uwarunkowań przyjąć nowy statut, czym zakończyliśmy długi proces jego dopasowywania do zapisów nowelizacji ustawy o stowarzyszeniach. Inny aspekt to komfort realizacji celów, bez konieczności ciągłego wybierania nowych władz. Pokazały to minione 2 lata – był to czas wyjątkowych sukcesów, zarówno sportowych, organizacyjnych, jak i finansowych. Ze zmianą trafiłszy w dziesiątkę, również biorąc pod uwagę trudności wynikające z pandemicznych ograniczeń i spowolnień. Rzetelnej oceny będziemy jednak mogli dokonać na koniec czteroletniej kadencji. Liczę, że będzie ona miała tylko pozytywne elementy.

Stoi pan na czele AZS-u od 2017 roku. Dwa lata temu został pan rektorem Uniwersytetu Warszawskiego i od tego czasu studentów tej uczelni, wcześniej dominujący w AMP-ach, nie mogą sięgnąć po tytuł.

Proszę jednak zwrócić uwagę, że cały czas jesteśmy na podium i długo nikt nie poprawi naszej medalowej serii, zwłaszcza że wcale nie zamierzamy jej zakończyć. Nie ma tu żadnego konfliktu interesów i chciałbym zdradzić, że poważnie szykujemy się do odzyskania miana najlepszej sportowo uczelni w kraju.

Jak pan wytłumaczy fenomen niewielkiej Politechniki Gdańskiej, porównując z UW czy AGH, która w AMP-ach bije potentatów i to już trzeci rok z rzędu?

Politechnika Gdańska świetnie poradziła sobie w trudnym, pandemicznym czasie i wykazała się wyjątkową mobilizacją oraz świetnym przygotowaniem do zmian zasad punktacji w Akademickich Mistrzostwach Polski. Zgodnie z nowymi

regułami na końcowy rezultat składają się wyniki osiągnięte we wszystkich startach. W sezonach 2019/2020 i 2020/2021 gdańszczanie jako jedyni zapunktowali we wszystkich dyscyplinach, a że przy tym za ilość szła także jakość i bardzo dobre wyniki, wygrywali zasłużenie. W ostatnim sezonie powtórzyli wyczyn, choć tym razem także Uniwersytetowi Warszawskiemu udało się wystartować w każdej imprezie.

AMP-y to perła w koronie AZS. Jak pokazują statystyki, cieszą się coraz większym zainteresowaniem studentów. Przyzna pan jednak, że ostatnie edycje pełne były turbulencji. Proszę odsonić nieco kulisy decyzji odnośnie do organizacji zawodów w trakcie pandemii.

Covidowe turbulencje faktycznie dały się nam mocno we znaki. Gdy w 2020 roku pandemia nabierała tempa, na chwilę przed startem odwołaliśmy AMP w narciarstwie. Przerwa w aktywności trwała potem kilka miesięcy i do skutku nie mogły dojść wszystkie pozostałe imprezy z kalendarza, ale ostatecznie okazało się, że narzekać mogli tylko narciarze. AMP zostały dokończone, choć wydarzyło się to w nietypowym dla nas, jesiennym czasie. Stanęliśmy na głowie i tylko jedne zawody musiały się odbyć w nowym miejscu, bo Stadion Śląski, na którym mieli rywalizować lekkoatleci, nie miał już wolnych terminów. Dwumiesięczna przerwa w 2021 roku nie zrobiła już na nas dużego wrażenia. Ustanowiliśmy organizacyjny rekord świata, bo w samym tylko maju odbyło się ponad 40 naszych imprez. Pandemia dużo nas nauczyła, ale pokazała też, że nawet w najtrudniejszych sytuacjach możemy sobie poradzić. Inni nie mogą tego powiedzieć. Do skutku nie doszły przecież Europejskie Igrzyska Akademickie w Belgradzie, Letnia Uniwersjada w Chengdu i zimowa w Lucernie.

Czy to właśnie pandemia sprawiła, że w roku akademickim 2019/2020 AZS miał ponad 33,5 tys. członków, w kolejnym już tylko 28,2 tys., a w obecnym znów ok. 33 tys.?

To wahnienie to oczywisty efekt pandemii. Proszę zauważyć, że mieliśmy problem nie tylko z AMP, ale także z podstawową działalnością na poziomie klubów i uczelnianych sekcji.

Szkoły wyższe przez długi czas były zamknięte, a to przekładało się na nasze funkcjonowanie.

Jak będzie wyglądać przyszłoroczny cykl?

W nowym sezonie będziemy mieć już 75 imprez centralnych, czyli dwie więcej niż w tym roku. Duże zainteresowanie uniho-kejem sprawiło, że nie możemy już grać tylko jednego turnieju i potrzebne będą strefowe eliminacje. W rywalizacji w pływaniu odbędą się dwie nowe konkurencje, zdecydowaliśmy też o połączeniu typów wyższych szkół zawodowych i uczelni społeczno-przyrodniczych w jeden. Do 30 lat wydłużyliśmy także limit wieku uczestników.

AMP 2023 to dla wielu organizatorów będzie z pewnością spore wyzwanie. Mówię tu oczywiście o kosztach związanych z przygotowaniem i przeprowadzeniem zawodów...

Zapowiedzi nie są optymistyczne, jednak liczę na operatywność i kreatywność naszych koleżanek i kolegów działających w klubach i organizacjach środowiskowych AZS. Jesteśmy również po rozmowach z Kamilem Bortniczukiem, ministrem sportu i turystyki, które pozwalają zakładać większe wsparcie sportu akademickiego, co będzie miało przełożenie na transfer tej pomocy do klubów, głównych organizatorów AMP. Z natury jestem optymistą i wierzę, że poradzimy sobie z tymi trudnościami.

Pytam o tę pomoc nie bez powodu. Kondycja finansowa AZS, jak wynika ze sprawozdań, jest najlepsza od lat. Pierwszy raz od dawna znaczące zyski przyniosły ośrodki AZS: w Wilkasach, Górkach Zachodnich oraz Przyszań w Krakowie. Co miało największy wpływ na polepszenie ich kondycji?

Widzę, że dobrze się pan przygotował. Rzeczywiście możemy pochwalić się sukcesami ekonomicznymi. To też jest w pewnym wymiarze efekt stabilizacji pracy w kontekście wydłużonej kadencji. Dobre planowanie, racjonalizacja i optymalizacja kosztów, a przede wszystkim świetne zarządzanie i kierowanie zespołami pracującymi w naszych ośrodkach. Do tego wykorzystywanie zewnętrznych możliwości (granty, tarcze covidowe). Nie mogę pominąć w tym momencie dobrej współpracy z naszymi partnerami biznesowymi: Grupą Lotos i Grupą PZU. Te wszystkie elementy złożyły się na zauważalny sukces. Wypracowane środki w ubiegłym i poprzednim roku rozsądnie inwestujemy w rozbudowę i modernizację ośrodków, co podnosi ich atrakcyjność. Dzięki temu zwiększamy ich obłożenie i generujemy kolejne zyski. Środki wypracowane w ten sposób przede wszystkim chcemy inwestować w rozwój naszego stowarzyszenia i posiadanego majątku. Przed nami przynajmniej dwie duże inwestycje: gruntowna modernizacja Centralnego Ośrodka Sportu Akademickiego w Zieleńcu oraz, wspólnie ze środowiskiem krakowskim, przystani wioślarskiej AZS AWF Kraków nad Wisłą.

Kilka miesięcy temu NIK opublikowała raport pokontrolny dotyczący sportu akademickiego. Wprawdzie uwag pod adresem AZS i podlegających mu jednostek nie ma w nim zbyt wiele, ale pojawił się m.in. zarzut o „brak kierunków i obszarów działań AZS oraz skutecznego mechanizmu weryfikacji liczby studentów, zawodników, trenerów, instruktorów, sekcji sportowych, pozwalającego na coroczne ich monitorowanie i ocenę”.

Tak, to prawda. Wyjaśniliśmy już tę kwestię podczas sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży. NIK potraktował AZS jak typowy polski związek sportowy działający na podstawie ustawy o sporcie, która wymaga od PZS-ów zarówno długoterminowej strategii działania, jak i narzędzi, o których

mowa. Akademicki Związek Sportowy jest tymczasem stowarzyszeniem działającym w oparciu o ustawę o stowarzyszeniach, która jako główny dokument związany z działalnością wskazuje statut. Statut AZS zawiera kierunki i cele naszego działania oraz opisuje, w jaki sposób mamy je realizować. To nasza AZS-owska biblia. Działamy od 115 lat, mamy na swoim koncie niezliczoną liczbę sukcesów w sporcie powszechnym, młodzieżowym i wyczynowym z największą liczbą medali olimpijskich, skupiamy ok. 40 tys. członków. Bez określonych „kierunków i obszarów działań” nie byłibyśmy w stanie tego osiągnąć. Wyjaśniliśmy to na etapie sprawozdania podczas obrad komisji i zostało to przyjęte. Podobnie sprawa się ma z „mechanizmem weryfikacji”. Od trzech lat sukcesywnie wprowadzamy elektroniczny system obsługi członkostwa i zawodów Planeta AZS. Nazwa została wskazana przez studentów w drodze plebiscytu. To nowoczesne rozwiązanie oparte na systemie Civi CRM. U prognozy obecnego roku akademickiego uruchomiliśmy kolejną istotną funkcjonalność: tworzenie certyfikatów przynależności akademickiej i pełną obsługę (zgłaszanie, weryfikacja, archiwizacja wyników itd.) Akademickich Mistrzostw Polski. Jestem przekonany, że to jedno z najnowocześniejszych rozwiązań w polskim sporcie, dające dużo szersze możliwości niż oczekiwania kontrolne NIK.

Czy ten system rzeczywiście poprawił jakość obsługi i przynosi wymierne efekty?

Elektroniczny system członkowski to oczywiście konieczność, do której musiało dojść. Teraz naszą legitymację każdy ma w swoim smartfonie, w ciągu kilku minut można dopełnić wszelkich formalności. W założeniach tej małej rewolucji było to, że system będzie się rozwijał i w kolejnych latach zaczął pojawiać się w nim nowe funkcjonalności. Od tego sezonu w internecie mamy nie tylko system członkowski, ale także system zgłoszeń na zawody.

W lipcu w Łodzi gościli studenci-sportowcy z całego kontynentu. Europejskie Igrzyska Akademickie były największą w tym roku imprezą w Polsce. Jakie są pana wrażenia z tych dwóch tygodni?

To było niezwykle wydarzenie i największa sportowa impreza, jaką AZS kiedykolwiek organizował. W 20 dyscyplinach wystartowało blisko 5 tys. sportowców-studentów z 400 uczelni całej Europy. Organizowane przez Politechnikę Łódzką, AZS i miasto Łódź zawody wspierało kilkuset wolontariuszy. Udało się wyśmienicie, o czym świadczyły niezwykła atmosfera wydarzenia i ogrom ciepłych słów od jego uczestników. Ten organizacyjny sukces znów pozwala nam odważnie myśleć o uniwersjadzie nad Wisłą.

Polacy wygrali klasyfikację medalową EUG. Z workiem medali wrócili też „azetesiacy” z igrzysk olimpijskich w Tokio. Czy te osiągnięcia można jakoś łączyć z uruchomionymi przez AZS programami?

83 medale zdobyte przez studentów polskich uczelni i zwycięstwo w klasyfikacji są dopełnieniem sukcesu Europejskich Igrzysk Akademickich w Łodzi. Krążki olimpijskie to zupełnie inna sprawa i nie da się ich w prosty sposób odnieść do akademickiej rywalizacji. Tu jednak także świętowaliśmy, bo azetesiacy wywalczyli 9 z 14 polskich medali w Tokio. Z 15 naszych zawodników, którzy podczas igrzysk stanęli na podium, wielu korzysta z dobrodziejstw Narodowej Reprezentacji Akademickiej i Akademickich Centrów Szkolenia Sportowego.

Przed nami tradycyjna Gala Sportu Akademickiego, która w tym roku ma miejsce w Lublinie. Po zakończeniu EUG Adam Roczek, prezydent EUSA i wiceprezes AZS, stwierdził, że jedną



Fot. Paweł Skraha

z kolejnych edycji mógłby zorganizować ośrodek lubelski, który i infrastrukturalnie, i organizacyjnie jest już na to gotowy.

Adam Roczek jest człowiekiem sukcesu i chciałby, by firmowane przez niego wydarzenia utożsamiane były tylko z sukcesem. Trudno się dziwić takiemu stanowisku. Rzeczywiście Lublin jako ośrodek sportu akademickiego w ostatnich latach należy do najprężniej rozwijających się w naszej strukturze i jest gwarancją sukcesu. Spełnia wszystkie warunki, by podjąć się organizacji tego typu wydarzenia, a my – władze AZS – jeśli taka inicjatywa się pojawi, *będziemy ich wspierać*. Dzisiaj jednak, poza intencjami, nie ma jeszcze konkretnych rozmów. Europejskie Igrzyska Akademickie muszą trochę popodróżować po Europie, by studenci mieli okazję poznać szerszą perspektywę oferty środowisk akademickich. Jak tylko pojawi się okazja, z pewnością podejmiemy wyzwanie, licząc na pełne zaangażowanie się władz Lublina i województwa lubelskiego, z którymi dotychczasowa współpraca układa się wzorowo.

Niedawno pisaliśmy na łamach FA o inicjatywie AZS dotyczącej nowelizacji ustawy PWSN w zakresie stypendiów. Chodzi m.in. o oddzielne listy rankingowe dla studentów-sportowców i studentów-artystów. Czy jest szansa, że te zmiany wejdą w życie od następnego roku akademickiego?

Zgłosiliśmy nasze propozycje zmian ustawy. Decyzja w tym zakresie nie leży w naszej gestii. Jednak bardzo liczymy na podjęcie tematu, dyskusję, a ostatecznie na wdrożenie naszych postulatów. Oddzielne listy to jeden z głosów w dyskusji. W pierwszej kolejności zasugerowaliśmy, by stypendia rektora za osiągnięcia w sporcie były procedowane w oparciu o 10% ogółu studentów danej uczelni, a nie tylko danego kierunku studiów. Propozycja ta nie wnosi zmian ilościowych, natomiast pozwala na to, by np. studenci tworzący reprezentacje uczelni w grach zespołowych, po zdobyciu osiągnięcia kwalifikującego ich do stypendium rektora, mogli je otrzymać niezależnie od tego, na jakim kierunku studiują. Obecna regulacja odnosząca się do 10% studentów na danym kierunku sprawia, że niektórzy studenci na tej samej uczelni z tym samym osiągnięciem sportowym, ale kształcący się na różnych kierunkach, mogą nie otrzymać stypendium, co może nosić znamiona nierównego traktowania.

Czy do końca obecnej kadencji AZS można się spodziewać jeszcze innych prawnych propozycji dotyczących sportu akademickiego i co wyznacza pan sobie za główne zadanie na najbliższe dwa lata?

W ramach uwag i postulatów zgłoszonych do Ministerstwa Edukacji i Nauki zasugerowaliśmy formalne umocowanie AZS jako swoistego rodzaju uczelnianej organizacji studenckiej. To rozwiązanie wpisuje AZS w grono organizacji studenckich, co daje władzom uczelni formalną możliwość (nie obowiązek) wspierania działalności klubów AZS realizujących zadania uczelni w obszarze promocji, rozwoju sportu i kultury fizycznej wśród studentów, doktorantów i pracowników. Należy wskazać, że jednostki terenowe AZS działają przy wszystkich publicznych uczelniach w Polsce i odpowiadają za organizację sportu zarówno masowego, jak i wyczynowego – w tym także na arenie międzynarodowej, angażując w tę działalność także środki własne oraz realizując programy ministerialne dedykowane dla sportu akademickiego (np. udział uczelnianych drużyn i zawodników w Uniwersjadach i Akademickich Mistrzostwach Świata, Akademickie Centra Szkolenia Sportowego, Narodowa Reprezentacja Akademicka). Mimo stałej obecności AZS na wszystkich uczelniach i jego wkładu w upowszechnianie i rozwój sportu akademickiego, status prawny AZS na uczelniach nie jest uregulowany przepisami ustawowymi.

Na koniec proszę przyjąć gratulacje za tytuł doktora honoris causa, otrzymany kilka tygodni temu we wrocławskiej AWF. Jak pan go odbiera?

To ogromne wyróżnienie całego środowiska akademickiego podkreśla nie tylko moją rolę w rozwoju sportu akademickiego, ale także wszystkich osób i uczelni wspierających tę działalność. Pokazuje także, że można łączyć działalność naukową, profesjonalną i zarządzanie uczelnią ze sportem akademickim. To także dobry sygnał dla wszystkich kolegów i koleżanek z uczelni, zarówno tych, którzy sport uprawiają czynnie, jak i tych, którzy sport wspierają. Co więcej, uzmysławia podobieństwo nauki i sportu, albowiem i w jednym, i w drugim przypadku liczy się pasja, konsekwencja w dążeniu do jej realizacji, świadoma skłonność do ryzyka oraz umiejętność podnoszenia się przy ewentualnych porażkach. Zawsze, o czym często mówimy studentom, każdą porażkę należy traktować jako drogę do sukcesu. Chciałbym w tym miejscu podziękować wrocławskiej AWF za przyznanie mi tego wyróżnienia.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Nauki nigdy dosyć

Kształcenie ustawiczne opisać można jako rozłożone w czasie życiowe continuum polegające na ciągłym pogłębianiu wiedzy oraz rozwijaniu nabytych wcześniej umiejętności. W praktyce oznacza to po prostu nieustające podnoszenie kwalifikacji, zarówno tych ogólnych, jak i zawodowych. Z obserwacji rynku pracy wynika, że zapotrzebowanie pracodawców na konkretne kompetencje posiadane przez pracowników podlega ciągłej zmianie, co wskazuje na konieczność dostosowania się do obowiązujących w danym momencie okoliczności. W tym kontekście niezwykle istotne stają się umiejętności przekwalifikowania oraz korekty posiadanych zasobów. Drogą do osiągnięcia sukcesu jest wybór odpowiedniej ścieżki edukacyjnej.

Z gotową ofertą różnego rodzaju zajęć wychodzi Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, o czym szczegółowo informują „Wiadomości Uniwersyteckie” (nr 7/2022). Na łamach pisma znaleźć można informacje na temat szerokiego wyboru i korzyści płynących z podjęcia studiów II stopnia. Głosem młodych naukowców przybliżone zostają perspektywy i benefity wynikające ze zdobywania wiedzy w trzech istniejących szkołach doktorskich UMCS, jest też miejsce na prezentację rozbudowanej propozycji studiów podyplomowych. Jak się dowiadujemy, z tych ostatnich skorzystało w ciągu minionej dekady ponad 10 tys. absolwentów, a ich zaletą jest bez wątpienia wysoka specjalizacja oraz praktyczna przydatność. Bez kształcenia ustawicznego, które jest niezwykle szansą dla pracowników, jak pisze prof. dr hab. Ryszard Naskręcki, trudno będzie przystosować się do stale ewoluującego rynku pracy. Okazuje się, że Polska ma w tym obszarze wiele do zrobienia, albowiem obecnie posiadamy dwu-, trzykrotnie niższy wskaźnik osób dorosłych w kształceniu ustawicznym niż większość krajów Unii Europejskiej i pięciokrotnie niższy niż Szwajcaria. Istniejący stan rzeczy może wynikać z hołdowania twierdzeniu, że „zdobyte w młodości wykształcenie formalne powinno wystarczyć na całe życie zawodowe”.



Renoma i rozwój

Do grona liczącego się na arenie międzynarodowej partnerstwa, jakim jest European Marketing and Management Association (EUMMAS), przystąpiła Politechnika Rzeszowska. Uczelnia ze stolicy Podkarpacia zaproszona została do tego zacnego gremium przez gruzińską uczelnię partnerską w programie Erasmus+ Business and Technology Univer-

sity. Negocjacje w sprawie przystąpienia do EUMMAS, a także podpisanie umowy partnerskiej uczestnictwa koordynowane były przez Dział Współpracy Międzynarodowej Politechniki Rzeszowskiej. Członkostwo w konsorcjum akademickim, zrzeszającym obecnie ponad 20 uniwersytetów oraz szkół biznesu, pozwala rzeszowskiej uczelni stale rozwijać jakże istotną płaszczyznę działalności, jaką jest z pewnością umiędzynarodowienie, zarówno obszaru badawczego, jak i dydaktycznego. EUMMAS ułatwia bowiem nawiązywanie relacji i kontaktów między naukowcami z różnych krajów, umożliwiając organizowanie konferencji międzynarodowych i spotkań dyskusyjnych, w trakcie których każdy z partnerów ma szansę podzielić się swoją wiedzą i praktyką. Skutkiem podejmowanych działań jest zarówno zwiększenie poziomu badań, jak i realne wsparcie udzielane młodym naukowcom, czy wreszcie wzmacnianie mobilności studentów i wykładowców.

O tym, jaką rolę pełni i jakie korzyści może przynieść rzeszowskiej uczelni podjęta niedawno inicjatywa, informuje „Gazeta Politechniki” (nr 1-3/2022).

Z rozmachem w przyszłość

Uruchomienie dwóch nowych pracowni laboratoryjnych w Instytucie Politechnicznym, modernizacja Domu Studenckiego, a także opracowanie projektu adaptacji pomieszczeń na pracownie Wodolecznictwa i Odnowy Biologicznej – takie przedsięwzięcia realizowane były i są przez Państwową Wyższą Szkołę Zawodową im. J. A. Komeńskiego w Lesznie. Efekty ich wdrażania można już obserwować w praktyce. Oto bowiem wyposażenie Laboratorium Elektrotechniki i Elektroniki w sześć nowych stanowisk pozwoliło na poszerzenie i uzupełnienie możliwości ćwiczeniowych w zakresie wykonywania pomiarów wielkości elektrycznych, a dodatkowo dało studentom możliwość pracy z wykorzystaniem nowoczesnej aparatury, która w znaczący sposób poprawiła jakość prowadzonych zajęć, zarówno pod względem merytorycznym, jak i bezpieczeństwa użytkowania. Z kolei doposażenie Laboratorium Mechatroniki w skaner 3D służący do ćwiczeń z obszaru inżynierii odwrotnej, a także w profilometr wykorzystywany do badania stanu



powierzchni w połączeniu z utworzeniem stanowiska do programowania i analizy z zakresu robotyzacji, w znaczący sposób udoskonalilo i uzupełniło zakres prac laboratoryjnych. Dało także możliwość praktycznego wykorzystania przez studentów wiedzy, którą przyswoili sobie w ramach zajęć teoretycznych i, co ważne, sprawiło, że łatwiejsze stało się samodzielne formułowanie wniosków z prowadzonych badań, znalazły one bowiem potwierdzenie w przeprowadzonych w nowoczesnych warunkach doświadczeniach.

Wszystkie zrealizowane projekty pozwalają, jak pisze „Leszczyński Notatnik Akademicki” (nr 74/2022), znacząco podnieść jakość oferty edukacyjnej.

Wszystkie zrealizowane projekty pozwalają, jak pisze „Leszczyński Notatnik Akademicki” (nr 74/2022), znacząco podnieść jakość oferty edukacyjnej.



Anna Kostrzyńska-Miłosz

Tradycja i nowoczesność

Polskie projekty mebli z okresu PRL

Nowoczesność jest terminem, który w odniesieniu do wzornictwa (designu) może być rozumiany w różny sposób. Tutaj określa całkowitą zmianę form i konstrukcji, możliwą nie tylko dzięki nowoczesnym tworzywom, ale także przez odmienne kształtowanie tworzyw już znanych. Zjawisko to ma charakter ciągły. Granica między tradycją a nowoczesnością jest więc płynna i trudno uchwytana.

Monografia *Polskie meble 1945-1970. Idee i rzeczywistość*, przedstawia szerokie spektrum przemian stylistycznych we wzornictwie mebli lat 1945-70. Przeanalizowano w niej nie tylko formy mebli, ich estetykę, techniki wykonania i zależność od możliwości materiałowych, ale także opinie zawarte w materiałach archiwalnych oraz prasowych.

Przyjęte ramy czasowe są związane z wydarzeniami historycznymi (zakończenie drugiej wojny światowej i dojściem do władzy bardziej liberalnej frakcji socjalizmu, kiedy I sekretarzem został Edward Gierek). W pewnym stopniu granice te odpowiadają przemianom zachodzącym w sferze sztuk plastycznych. Dlatego uznanie ich jest uzasadnione, choć data początkowa 1945 nie zawsze bywa przyjmowana jako oczywista. Książka potwierdza tę tezę, wykazując pewną ciągłość, kontynuację tendencji lat trzydziestych, co w odniesieniu do wzornictwa nie było podejmowane. Jednym z założeń opracowania jest również pokazanie źródeł nowoczesności, która nie pojawiła się nagle w połowie lat 50. Analiza stylistyczna projektów mebli począwszy już od połowy lat 40. udowadnia, że – wbrew powszechnej opinii – rok 1956 nie był początkiem wprowadzania nowych form w tej dziedzinie. Druga połowa lat 50. to jedynie kontynuacja wcześniejszych działań twórczych prowadzonych w „duchu nowoczesności”.

Stosunkowo krótki okres panowania doktryny realizmu socjalistycznego to jedynie przerwa, chwilowe zatrzymanie ruchu nowoczesnego, aczkolwiek trzeba przyznać, że w dziedzinie meblarstwa socrealizm nie był tak jednoznaczny jak w architekturze czy sztukach plastycznych i w swej „kanonicznej” postaci pojawiał się jedynie w nielicznych wnętrzach reprezentacyjnych, utrzymanych w estetyce odwołującej się do stylów historycznych. W sprzętach projektowanych z myślą o wnętrzach użyteczności publicznej (świetlice, domy kultury itp.) czy też mieszkalnych „socjalistyczność treści” zapewniano, eksponując prostotę konstrukcji i taniść użytych materiałów, a także ograniczenie rodzajów mebli do niezbędnych. Z kolei „narodowość formy” wyrażała się w wykorzystywaniu inspiracji ludowych.

Nowoczesność jest terminem, który w odniesieniu do wzornictwa (designu) może być rozumiany w różny sposób. Tutaj

określa całkowitą zmianę form i konstrukcji, możliwą nie tylko dzięki nowoczesnym tworzywom, ale także przez odmienne kształtowanie tworzyw już znanych (przykładem może być sklejka stosowana nie jako materiał dopełniający, ale również konstrukcyjny). Zjawisko to ma charakter ciągły. Granica między tradycją a nowoczesnością jest więc płynna i trudno uchwytana. Jednak na potrzeby opracowania materiał podzielono na dwie zasadnicze części: w jednej przedstawiono projekty nawiązujące do tradycji (rozdziały I-IV), w drugiej starając się uwzględnić idee nowoczesności (rozdziały V-XI), dążąc jednocześnie do pokazania istniejących między nimi zależności/podobieństw i rozbieżności/różnic. W końcowej części dotyczącej nowoczesności podjęto również próbę przedstawienia realizacji głoszonych przez artystów idei, odniesienia ich do rzeczywistości.

Rozdział pierwszy monografii *Kontynuacja przedwojennej tradycji: meble Spółdzielni Artystów „Ład”* prezentuje projekty z lat 40., począwszy od powstałych w działającej podczas okupacji spółce „ŚW” Olgierda Szlekysa i Władysława Winczego, która po wojnie była załączkiem pozwalającym na wznowienie pracy Spółdzielni Artystów „Ład”. Rozważania te uzupełnione są przykładami z wystaw, które organizowano w latach 40. – I Wystawy Przemysłu Ludowego i Rękodzieła Artystycznego (11 II – 25 III 1946), Mieszkanie Najmniejsze (16 II – 2 III 1947), II Wystawy Przemysłu Artystycznego (15 XII 1947 – 18 I 1948) – oraz analizą projektów zgłoszonych do konkursu z 1947 roku na wyposażenie domku fińskiego. Porównanie form mebli powstałych zaraz po wojnie pozwala zauważyć stopniową ewolucję nurtu tradycyjnego, reprezentowanego przez artystów związanych z „Ładem”, i przystosowywania projektów do nowych warunków społecznych i gospodarczych.

Kierunek, który także możemy łączyć z tradycją, to nawiązania do ludowości. Tej problematyki dotyczy rozdział drugi *W kręgu tradycji ludowej: meble z Cepelii*. Promowanie sztuki ludowej, które było zadaniem Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, przybierało różne formy. Dzielono projekty meblarskie na kategorie: „autentyki”, „kopie-repliki”, „reprodukcje”, „adaptacje” i „inspiracje”. Autentyk był wykonany

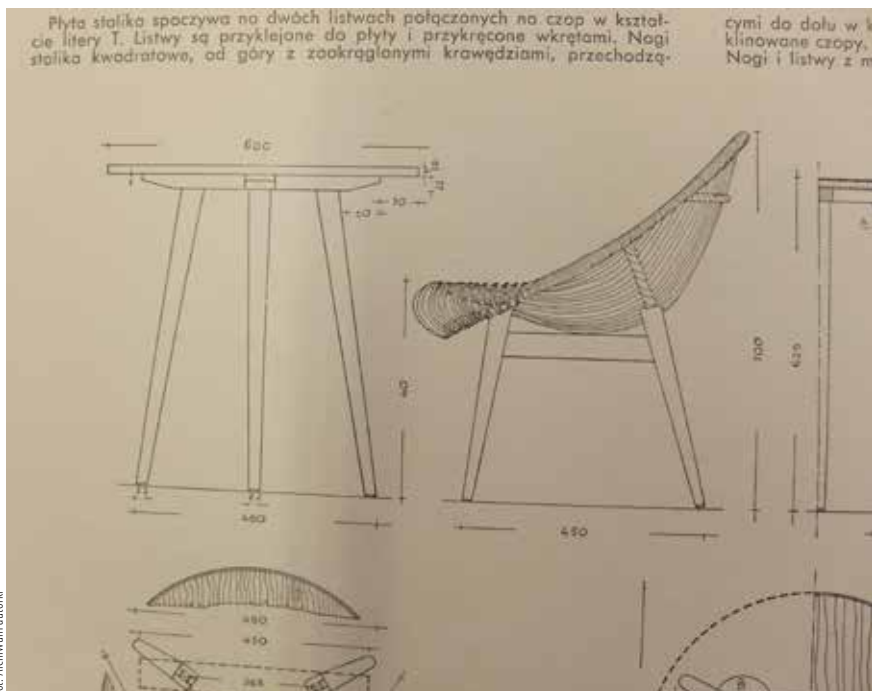
przez twórcę ludowego, kopię-replikę tworzono z dopuszczeniem zmiany rozmiarów, reprodukcja oznaczała mechaniczne odtworzenie przedmiotu, adaptacja – przystosowanie wyrobu wykonanego w formach tradycyjnych lub ich częściach do pełnienia funkcji w odmiennym środowisku, inspiracja zaś to swobodne przekształcanie wzoru ludowego przez osoby niezwiązane z tym środowiskiem. W kategorii mebli ludowych mieszczą się również projekty wykonane przez wykształconych w Akademii Sztuk Pięknych artystów Antoniego Kenara i Antoniego Rzęsę, najczęściej związanych z zakopiańską Szkołą Przemysłu Drzewnego, tworzących jednostkowe „meblorzeźby”. Inaczej kształtował się nurt stylistyczny cepeliowskiego meblarstwa okreśłany mianem „wiejskiego” lub rzadziej „regionalnego”. Jego istotą było przystosowanie projektów do krótkoseryjnej produkcji, najbardziej reprezentatywne projekty tworzył Józef Kulon. Meble „regionalne” nie były dotychczas przedmiotem głębszej analizy, choć w latach 50. były wykonywane w wielu spółdzielniach należących do Cepelii. Ich projekty to ciekawa synteza form ludowych. Rozdział uzupełnia omówienie wzorów mebli wyplatanych najczęściej z wikliny, które w jakimś stopniu stanowiły pomost między tradycją a nowoczesnością, ponieważ umożliwiały naśladownictwo form organicznych.

Do nurtu tradycjonalistycznego należy zaliczyć także meble o charakterze historyzującym, które są całkowicie pomijane w opracowaniach wzornictwa lat 1945–1970. Temu zagadnieniu poświęcony jest rozdział trzeci *Nowy ustrój – dawna stylistyka: meble historyzujące*. Problematyka ta wiąże się przede wszystkim z wnętrzami reprezentacyjnymi i użyteczności publicznej. Inspiracje historyczne w meblarstwie omawianego okresu nie są jednolite. Można je podzielić na kontynuujące „historyzujący modernizm” z dwudziestolecia międzywojennego oraz odpowiadające wymaganiom doktryny realizmu socjalistycznego. O ile pierwszy kierunek był w opracowaniach wspominany, szczególnie w kontekście twórczości Jana Bogusławskiego, o tyle socrealizm w projektach meblowych pozostawał zupełnie niezauważany. Doskonałym przykładem wnętrza, które pozwalają na analizę obu tendencji, jest wyposażenie Kancelarii Urzędu Rady Ministrów w Warszawie. Tezy podjęte przy interpretacji form tych sprzętów są egemplifikowane

także projektami mebli realizowanych przez działające w ramach Cepelii Biuro Wyposażenia Wnętrz, dla Pałacu Kultury i Nauki, Ministerstwa Leśnictwa, Ministerstwa Finansów, jak również wyposażeniem wnętrz reprezentacyjnych w Nowej Hucie. W rozdziale tym omówiono także wyróżniające się wnętrza użyteczności publicznej: Filharmonii w Bydgoszczy, Teatru Wielkiego, Domu Rzemiosła czy siedziby Związku Literatów Polskich w Warszawie.

Badania archiwalne i analiza źródeł ikonograficznych prowadzą jednak do wniosku, że większość wnętrz użyteczności publicznej było wyposażonych w meble produkowane seryjnie. Potwierdzają to chociażby warszawskie wnętrza Domu Społecznego Architektów, Domu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Domu Kultury przy ul. Próchnika na Żoliborzu czy nawet luksusowych domów wczasowych należących do Urzędu Rady Ministrów. Dopełnieniem problematyki związanej z meblami historyzującymi jest także omówiona w tym rozdziale kwestia kopii dawnych mebli wykonywanych w Spółdzielniach Cepelii „Rzeźba i Stolarstwo Artystyczne” z Poznania oraz wrocławskiej „Cis” nie tylko z myślą o rekonstruowanych zabytkach, lecz także współczesnych wnętrzach reprezentacyjnych. Potentatem w tej dziedzinie produkcji meblarskiej były Pracownie Konserwacji Zabytków, które miały swoją główną siedzibę w Henrykowie. Problematyka ta była również pomijana w opracowaniach dotyczących meblarstwa.

Podsumowaniem części opracowania dotyczącej tradycji jest rozdział czwarty *Przeгляд poszukiwań i osiągnięć: I Ogólnopolska Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej (1952)*. Ponieważ na wystawę nie zaproszono projektantów ani z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, ani z Departamentu Wzornictwa Przemysłowego Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, ani też z Cepelii, można powiedzieć, że prezentowała ona projekty nurtu tradycyjnego związanego z „Ładem”, choć pokazano również meble Jana Bogusławskiego. Nielicznymi odniesieniami do poszukiwań nowoczesności były niektóre projekty Jana Kurzątkowskiego oraz Mieczysława Puchały. Jednak obydwaj twórcy należeli do kręgu spółdzielni „Ład”: Kurzątkowski był jeszcze przedwojennym jej członkiem, a Puchała, choć związany z Centralnym Laboratorium Przemysłu Drzewnego,



Teresa Kruszewska, projekt przed 1959 r. Archiwum autorki



Zdzisław Wróblewski, projekt przed 1959 r.

Fot. dzięki uprzejmości Desa Unicum



Maria Chomentowska, Krzesło Pajak 1956 r.



Sekretarzyk określany jako: z wyposażenia sklepów „Mody Polskiej”, lata 60.

Fot. dzięki uprzejmości Desa Unicum

w 1939 roku zrobił dyplom w pracowni Wojciecha Jastrzębowski. Te dwa przykłady pokazują początek zmian także w środowisku kontynuatorów tradycji.

Skok w nowoczesność

Rozdział piąty *Nowoczesność zinstytucjonalizowana: Biuro Nadzoru Estetycznego Przemysłu i Instytut Wzornictwa Przemysłowego* dotyczy działalności instytucji, które zapoczątkowały zmianę myślenia o projektowaniu mebli. Sprzęty przez nie proponowane miały spełniać nowe potrzeby masowej produkcji mebli przeznaczonych do mieszkań ludzi pracy. Jednak i tu, mimo zmiany ideologii i sposobu wytwarzania, można wydzielić swego rodzaju kontynuację poszukiwań odwołującą się do purystycznych form i „prawdy materiału” meblarstwa skandynawskiego z lat 30. i 40. Szczególnie jest to widoczne w projektach meblarskich członków spółdzielni „Arkady”: Barbary Brukalskiej, Jana Bogusławskiego, Bohdana Gniewiewskiego i Jerzego Staniszkisa.

Projekty powstałe w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego z pierwszych lat jego działania były nieco zachowawcze. Około 1954 roku pojawiły się meble dostosowane do nowych realiów, przede wszystkim do małych powierzchni mieszkań. Szczegółowo przeanalizowano je w rozdziale szóstym *Nowoczesne meble dla „nowego człowieka”: projekty Instytutu Wzornictwa Przemysłowego*, ze szczególną uwagą traktując meble składane, wielofunkcyjne. Instytut Wzornictwa (inaczej niż BNEP) realizował także zadania badawcze, takie jak np. opracowanie wzorcowych mebli dla dzieci czy funkcjonalnego urządzenia małych kuchni, jak również sprzętów przeznaczonych do obiektów użyteczności publicznej: urzędów i biur, szkół i świetlic, żłobków i przedszkoli czy też hoteli. Efekty badań publikowano w czasopiśmie fachowych, jednak w większości pozostawały w sferze idei, czasami tylko wdrażano je do produkcji w krótkich seriach próbnych, ich szczegółowa analiza pozwoliła na weryfikację niektórych dotychczasowych ustaleń.

Kolejny rozdział *Nie tylko ludowość: nowoczesność z Cepelii* omawia próby dostosowania się projektantów-tradycjonalistów do tworzenia mebli odpowiadających potrzebom współczesnego odbiorcy. Ponieważ do Cepelii należała szereg spółdzielni, jej oferta meblowa była bardzo różnorodna, obejmowała też sprzęty o formach nowoczesnych (nazywane „konstrukcyjnymi”), których twórcami byli najczęściej artyści młodszego pokolenia współpracujący z Cepelią. Analiza sprzętów powstających w spółdzielniach „Ład” i „Rzut” oraz wielu innych zrze-

zonych w Centrali, choć z konieczności syntetyczna, pozwala jednak zauważyć zachodzące zmiany, głównie odchodzenie od form obłych, organicznych, ku „kanciastym”, preferującym nie swobodne krzywizny, lecz kąty proste.

Rozdział VIII *Bilans poszukiwań nowoczesności: II Ogólnopolska Wystawa Architektury Wnętrz (1957), Ogólnopolski Salon Architektury Wnętrz (1958) i inne ekspozycje z końca lat 50.* jest podsumowaniem rozważań o formach nowoczesnych. Przeanalizowano w nim wystawy architektury wnętrz z lat 1957–1958 urządzone przez środowiska projektantów w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu czy Zakopanem. Prezentowano na nich projekty opracowane z myślą o tym, by jak najlepiej wyraziły idee nowoczesności w meblarstwie. Intensywność ruchu wystawienniczego w roku 1957 i 1958 przyczyniła się do rozpropagowania „mody na nowoczesność” – odbiorcy zauważyli potrzebę przystosowania form mebli do nowych wnętrz, a producenci powoli przekonywali się do mebli o nowoczesnej stylistyce.

Normatywy i łatwość produkcji

Zmiana stylistyki, zauważalna w pierwszej połowie lat 60., została przeanalizowana w rozdziale IX *Nowoczesność w peerelowskich realiach: meble i normatywy*. Pokazano w nim wpływ zarządzeń dotyczących typizacji w budownictwie mieszkaniowym na kształt sprzętów. Jedyną możliwość kreowania indywidualnych wnętrz widziano w tworzeniu typowych zestawów (systemów) segmentowych, łatwych w produkcji i transporcie, a co najważniejsze dających się montować w zależności od potrzeb użytkownika. W praktyce jednak okazało się, że w małych wnętrzach i przy ograniczeniach narzucanych przez stałe elementy konstrukcyjne budynków mieszkalnych można je było ustawić tylko w jeden sposób. Normatywy i konieczność wprowadzenia mebli łatwych w produkcji prowadziły do wykrystalizowania się form dominujących około połowy lat 60., charakteryzujących się prostymi, graniastymi lub deskowymi elementami zestawionymi pod kątem prostym. Wszystkie spółdzielnie w ramach Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego miały dostęp do tych samych projektów, ich realizację ograniczały jedynie możliwości techniczne mniejszych wytwórni.

Zderzenie rzeczywistości z nowoczesnymi ideami prezentuje rozdział *Nowoczesność z „salonu meblowego”: produkcja meblarska i rynek w okresie „małej stabilizacji”*. W sklepach, dumnie nazwanych „salonami meblowymi”, przy stałym popycie przewyższającym podaż „kluczowy przemysł meblarski”

sprzedawał bez problemu każdy nawet najmniej udany sprzęt. Mimo że w latach 60. postulowano zwiększenie różnorodności form mebli, ponieważ takiej oferty oczekiwali klienci, w fabrykach usiłowano zawęzić asortyment. Można zatem stwierdzić, że poza uproszczeniami w konstrukcji i jakości materiału, z jakiego je wytwarzano, nie było w zasadzie większych różnic. Co prawda pojawiali się „domorośli” projektanci, działający przy mniejszych wytwórniach, którzy dostosowywali otrzymane „z centrali” wzory do możliwości materiałowych i produkcyjnych lokalnej spółdzielni, znacznie zmieniając niekiedy zamysł oryginału.

Ostatni rozdział *Nowoczesny materiał – nowoczesna forma* jest swego rodzaju uzupełnieniem rozważań o nowoczesnych formach mebli. Opisano w nim nowoczesne materiały stosowane w meblarstwie i odmienne użycie już znanych, a także przeanalizowano, w jaki sposób wpłynęły one na możliwości uzyskania nowych konstrukcji meblarskich. Dużą rolę odegrały tu czynniki ekonomiczne i rozwój gospodarczy Polski. Niedostępność tworzyw sztucznych projektanci rekompensowali nowatorskim użyciem sklejk, dzięki której można było uzyskać formy zbliżone do organicznych. Taką funkcję miały również meble o konstrukcji z prętów metalowych, wyplatane rogożyną, wikliną, a także barwną linką igielitową lub sznurkiem. Później na podobnych konstrukcjach z rurek, dzięki użyciu nowych „materiałów wyściółkowych” – formatek z gumy piankowej (popularnie nazywanej lateksem), tworzone sprzęty z tapicerką o nowoczesnych kształtach.

Szeroka perspektywa badawcza pokazująca różne kierunki rozwoju meblarstwa pozwoliła na przedstawienie roli nowoczesnych form w opozycji do tradycyjnych.

Tradycja ludowa promowana przez państwo stała się istotnym elementem prezentowania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za granicą, a meble stylizowane źródłem pozyskiwania potrzebnych dewiz. Z kolei propagowanie form nowoczesnych dawało społeczeństwu złudne poczucie nadążania za modą, która w Europie Zachodniej pojawiła się już w latach 30., a w następnej dekadzie stała się powszechna.

Dzięki tak wszechstronnemu przeglądowi form mebli lat 1945–1970 książka zapoznaje czytelnika z powtarzającymi się wzorcami, określającymi zarówno stylistykę mebli nazywanych



tradycyjnymi, jak i tych uważanych za nowoczesne. Analiza materiałów źródłowych i opracowań pozwala uwiarygodnić tę systematykę oraz ustalić inspiracje zmian.

Artykuł prezentuje zawartość monografii Anny Kostrzyńskiej-Mitosz, *Polskie meble 1945-1970. Idee i rzeczywistość*, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2021.

Dr Anna Kostrzyńska-Mitosz, kieruje Pracownią Rzemiosła Artystycznego i Designu w Zakładzie Historii Sztuk Plastycznych Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie

Małgorzata MYL, *Członkowie rodziny jako ofiary poważnych naruszeń praw człowieka. Studium z zakresu prawa międzynarodowego praw człowieka oraz międzynarodowego prawa karnego*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Gabriela ABRASOWICZ, *(Trans)pozycje idei w postjugosłowiańskim dramaturgii i teatrze (1990-2020). Perspektywa transkulturowa*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Bycie w terenie / Being out of the land / Estar en el terreno, red. Aleksandra KUNCE, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Franciszek KŁOSOWSKI, *Podstawy geografii usług*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Agnieszka ADAMOWICZ-POŚPIECH, *Adaptacje biografii i twórczości Josepha Conrada w kulturze współczesnej*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Lech MIODYŃSKI, *Slawistyka integralna. Naukowy kanon i erozja systemu (kontrapunktu południowo- i zachodniosłowiańskiego)*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Rafał Stanisław NAWROCKI, *Equus Polonus. Rycerski pomnik nagrobny w sztuce polskiej XVI wieku jako wyraz stanowczego prestiżu szlachty*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2021.

Grażyna MAROSZCZUK, *Artykulacje traumy: Andrzej Strug, Tadeusz Konwicki*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Włodzimierz TORUŃ, *Mapa podróży i wyobraźni. Studia o Juliuszu Słowackim*, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2021.

Maria CHEŁKOWSKA-ZACHAREWICZ, *Zagadka emocji muzycznych. Czym są, jak powstają i czy są podatne na zmiany?*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Agnieszka KRZEMIŃSKA, *Grody, garnki i uczeni. O archeologicznych tajemnicach ziem polskich*, Wyd. Literackie, Kraków 2022.

Mirosława SZOTT, *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*, Oficyna Wyd. UZ, Zielona Góra 2021.

Łukasz KUCHARCZYK, *Granty i smoki*, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2022.

Joanna DEMBIŃSKA-PAWELEC, *Sens życia, sens wiersza. Szkice o twórczości Stanisława Barańczaka*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Agata BŁOCH, *Wolni i zniewoleni. Głosy grup podporządkowanych w historii imperium portugalskiego*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022, seria: Monografie FNP.

Książki nadesłane

Paweł Majewski

Problem z encyklopedią

Diderot i jego koledzy, poza tym, że postawili encyklopedię poza wpływami czynników innych niż naukowe (wskutek czego, inaczej niż ich poprzednicy z dawnych epok, mieli spore problemy z władzami politycznymi), zdecydowali też między innymi ostatecznie o stosowaniu w niej porządku alfabetycznego.

W książce Joanny Olkiewicz *Od A do Z, czyli o encyklopediach i encyklopedystach*, prezentującej w przystępny sposób dzieje encyklopedii, można znaleźć taką oto anegdotę: „Niektóre listy wyciągnięte z przepastnego archiwum korespondencji wydawnictwa *Encyclopaedia Britannica* świadczą, że leksykograf [...] nie ma lekkiego żywota. Na przykład pewna starsza pani pisze, iż zdobyła się na duży wysiłek finansowy i kupiła komplet nowego wydania encyklopedii *Britannica*. Jest jednak bardzo rozczarowana, gdyż różni się on zasadniczo od kompletu encyklopedii, jaki miała w domu, będąc dorastającą panną. [...] Pewien pan żali się natomiast, że porównał jeden z artykułów hasłowych w swoim wydaniu *EB* z roku 1963 z analogicznym artykułem w wydaniu z roku 1947, które posiada jego przyjaciel i stwierdził, że treść tych artykułów jest całkowicie różna. Obaj byli wstrząśnięci tym odkryciem, zachwiało ono bowiem ich zaufanie do dzieła, które »podobnie jak Biblia i gwiazdy na nocnym niebie powinno się obracać stale w jednym kierunku, żeby móc mieć pewność, iż znajdzie się w nim zawsze te same, niezmiennie prawdy«.

Dla wielu pokoleń użytkowników encyklopedia była czymś w rodzaju świeckiej, naukowej Biblii – jednolitym, niewzruszonym, a nade wszystko prawdziwym obrazem świata, gwarantowanym przez autorytet nauki i rozumu. To dlatego odkrycie, że jej kolejne wydania różnią się między sobą, było w dwudziestym wieku wstrząsem dla niejednej osoby, wierzącej szczerze i głęboko w potęgę ludzkiego intelektu.

Ale idea encyklopedii w kulturze europejskiej oraz jej realizacje w postaci kolejnych dzieł encyklopedycznych nigdy nie były proste i jednoznaczne. Ich przeszłemu poświęciłem wydaną niedawno książkę *Mantykora. Wczesna historia encyklopedii*, której tytuł odsyła do figury baśniowego stworzenia ze średniowiecznych bestiariuszy, mającego ciało zwierzęcia i ludzką głowę. Podobnie paradoksalnym bytem jest encyklopedia: byt złożony ze słów, którego zadaniem jest ściśle, wierne i pełne opisanie rzeczy tego świata.

Pierwszą, o ile dziś wiadomo, próbę stworzenia takiego tekstu podjął grecki sofista Hipiasz w piątym wieku p.n.e., ale z jego dzieła o tytule *Synagoge* [Zbiór] nie zachowało się ani jedno zdanie, trudno więc powiedzieć coś o jego kształcie i zawartości. W antycznym Rzymie najpoważniejsze próby encyklopedycznego uporządkowania wiedzy o świecie podjęli Warron i Pliniusz, przy czym *Historia naturalna* tego ostatniego przetrwała do naszych czasów w całości i pozostaje naj-

większym znanym nam dziełem piśmiennictwa starożytnego o tematyce encyklopedycznej. Aby je stworzyć, Pliniusz wyżył informacje z dzieł kilkuset innych autorów, wzbogacając je wieloma własnymi obserwacjami. Praca jego, chociaż nie-



Miniatura ze Speculum maius Wincentego z Beauvais

Zdjęcie: Wikipedia

wdzięczna w lekturze i nie lubiana przez uczonych filologów, którzy musieli włożyć wiele wysiłku w jej opracowanie krytyczne, jest godna uwagi z wielu przyczyn, między innymi dlatego, że Pliniusz musiał wybrać jakąś zasadę, by uporządkować zgromadzony przez siebie materiał. Ponieważ alfabetyczny układ hasel encyklopedycznych powstał dopiero w epoce nowożytnej, Pliniusz grupował poszczególne tematy według tego, jakie miejsce zajmowały one w postrzegającym przez niego porządku natury, stąd tytuł jego utworu.

Określony porządek kulturowy i ideologiczny

Podobnie jak wszystkie kolejne encyklopedie aż do oświeceniowej *Encyclopédie, Historia naturalna* była dziełem jednego autora, co znaczy, że przednowoczesne encyklopedie reprezentowały, chcąc nie chcąc, wizję świata zawartą w konkretnym umyśle ludzkim, nie zaś będącą syntezą ogólnego obrazu świata w środowisku naukowym. To istotna, a zarazem paradoksalna

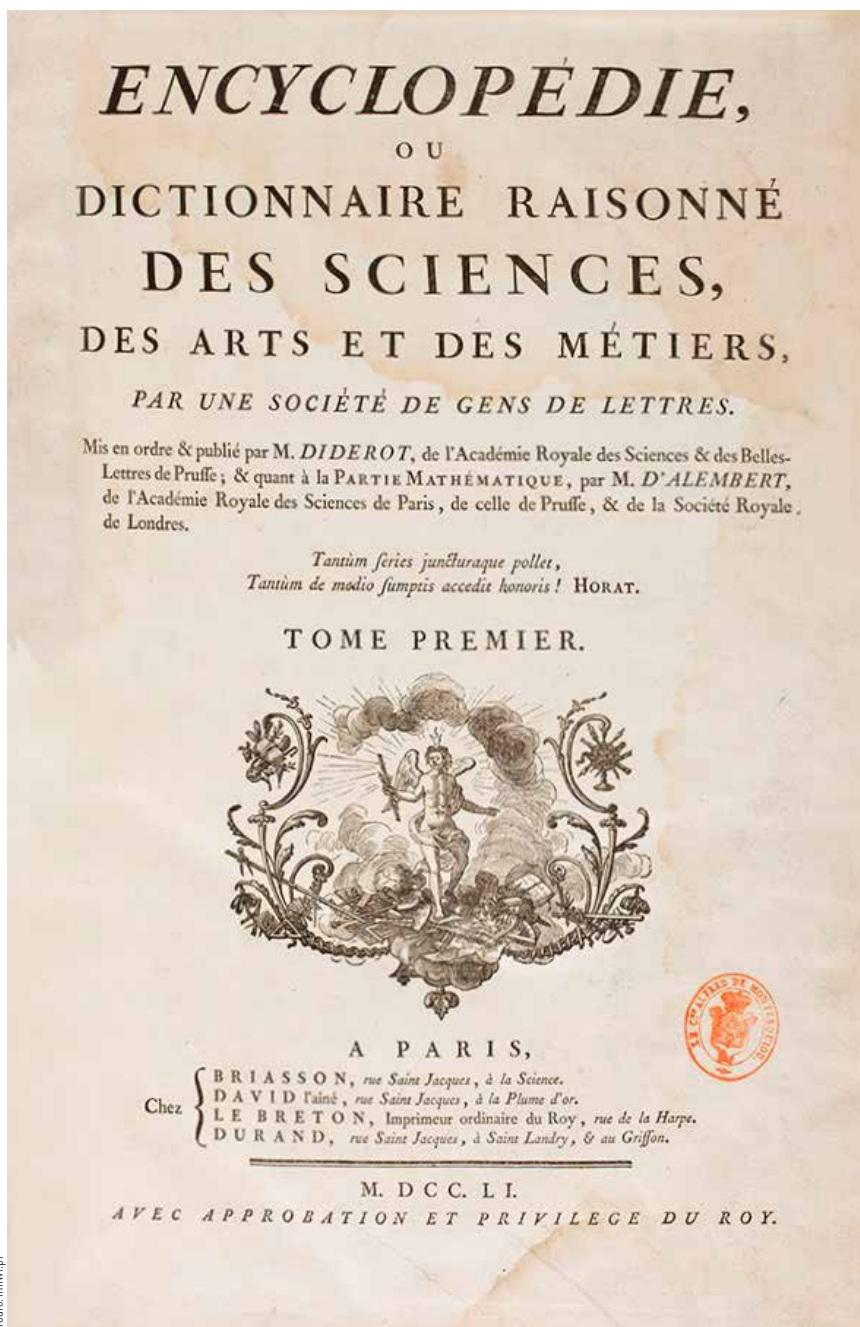
cecha encyklopedii, miała ona bowiem pozostawać, zwłaszcza w epoce nowożytnej, opracowaniem z założenia bezzałożeniowym, prezentującym obiektywny obraz świata w tekście (stąd oburzenie jej dawnych czytelników odkrywających zmienność jej tekstu w czasie). Ale w rzeczywistości nawet nowoczesne encyklopedie, opracowywane przez duże zespoły redakcyjne w oparciu o ściśle określone zasady doboru i obróbki materiału, są tekstowymi obrazami świata wynikającymi z określonych założeń, które z kolei nigdy nie są w pełni uniwersalne. W tym sensie encyklopedia jest przedsięwzięciem reprezentującym określony porządek kulturowy i ideologiczny.

Obecność takich porządków szczególnie dobrze widoczna była w tekstach encyklopedycznych, które powstawały w wiekach średnich. Do najważniejszych z nich należą *Etymologie* Izzydora z Sewilli (pierwsza połowa siódmego wieku) – dzieło, które aż do końca średniowiecza pozostawało dla Europejczyków głównym źródłem ogólnej wiedzy o świecie, bizantyńska

Księga Suda z dziesiątego wieku – ogromny zbiór wiadomości ze wszystkich dziedzin, którego autor lub autorzy są dla nas nieznanymi, oraz *Speculum maius* [Zwierciadło większe] trzynastowiecznego mnicha Wincentego z Beauvais – utwór o formie i treści zbliżonej już do nowoczesnej encyklopedii, stanowiący podsumowanie dorobku intelektualnego średniowiecza. Wszystkie te dzieła powstawały w ścisłych związkach z ówczesnymi ośrodkami władzy politycznej i religijnej. Nie były wprawdzie apologiami tej władzy, jak kroniki czy panegiryki, ale prezentowały w nich obraz rzeczywistości miał na celu między innymi ugruntowanie porządku jej sprawowania.

Ludzie renesansu, odwracając się od hołdującej tekstem i lekceważącej rzeczywistość zmysłową umysłowości średniowiecznej, niespecjalnie interesowali się ideą encyklopedii. Powrócono do niej w okresie baroku, w epoce pełnej niepokoju co do podstaw i pewników ludzkiej wiedzy. Jednak encyklopedie tworzone w siedemnastym wieku zostały zepchnięte w cień i kurz magazynów bibliotecznych przez przedsięwzięcie francuskich oświeceniowców. *Encyklopedia, czyli Słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł*, opracowana przez Diderota, d'Alemberta i ich współpracowników, słusznie uchodzi za jedno z naczelných osiągnięć swoich czasów i matkę wszystkich nowoczesnych encyklopedii, które były na niej wzorowane przez kolejne dwa stulecia.

Diderot i jego koledzy, poza tym, że postawili encyklopedię poza wpływami czynników innych niż naukowe (wskutek czego, inaczej niż ich poprzednicy z dawnych epok, mieli spore problemy z władzami politycznymi), zdecydowali też między innymi ostatecznie o stosowaniu w niej porządku alfabetycznego. Ten porządek, który każdemu użytkownikowi nowoczesnej encyklopedii wydaje się oczywisty i naturalny, w istocie jest jej cechą najbardziej paradoksalną. Podział rzeczywistości na atomy znaczenia zawarte w artykułach hasłowych i uszeregowane według całkowicie przypadkowej kolejności determinowanej następstwem liter w abecadle sprawia, że nowoczesna encyklopedia jest wyjątkowo osobliwym gatunkiem tekstu. Jest to mianowicie tekst, który zawiera, przynajmniej teoretycznie, najpełniejszy obraz ludzkiej wiedzy o świecie, ale zawiera tę wiedzę w sposób,



Strona tytułowa *Encyklopedii, czyli Słownika rozumowanego nauk, sztuk i rzemiosł* Diderota i d'Alemberta



WIKIPEDIA

Zdrob: Wikipedia

Logo Wikipedii

który nie daje żadnej informacji na temat jej uporządkowania. Właśnie dlatego linearne czytanie encyklopedii hasło po hasło jest zajęciem nie tylko bezsensownym, ale też nieprzyjemnym, stwarza bowiem często w umyśle osoby czytającej wrażenie narastającego chaosu.

Między elitaryzmem i demokratyzmem

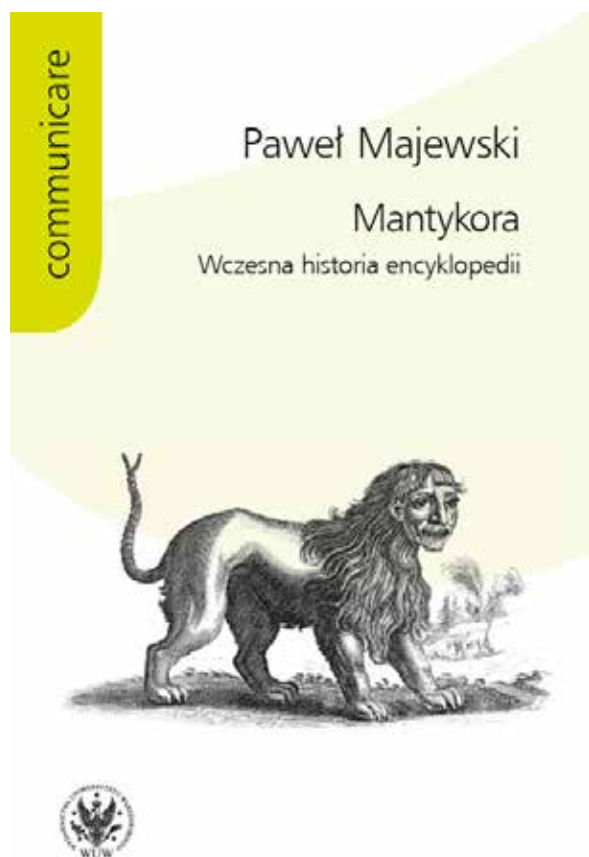
Uprzywilejowana pozycja encyklopedii w nowoczesnej cywilizacji zachodniej była problematyczna nie tylko z tego powodu, ale również dlatego, że i w tej fazie jej dziejów postulowana obiektywność i bezzałożeniowość jej treści nie szła

w parze z rzeczywistymi warunkami wytwarzania tych treści. W miejsce władzy politycznej i wiary religijnej weszły bowiem instytucje nauki, również mające swoje założenia, uprzedzenia i dystynkcje. Jedną z ważnych sprzeczności decydujących o dynamice treści i obiegów encyklopedii XIX- i XX-wiecznych było napięcie między ich deklarowaną demokratyczną powszechnością a elitarnymi mechanizmami generowania zawartej w nich wiedzy, której tworzenie powierzano członkom ścisłej elity akademickiej. Encyklopedie te były zarówno narzędziami samokształcenia dla ludzi aspirujących do awansu społecznego, jak i symbolami prestiżu społecznego dla wyższych warstw inteligencji mieszczańskiej.

Jednak wielka kariera encyklopedii skończyła się gwałtownie pod koniec XX wieku, kiedy o obiegach treści w naszej cywilizacji zaczęły decydować media cyfrowe. Wikipedia – z której chyba każdy dziś korzysta, choć nie każdy lubi się do tego przyznawać – jest w perspektywie dziejów encyklopedyzmu europejskiego ostatnim etapem, jednocześnie ukoronowaniem idei powszechnie dostępnej, wszechogarniającej zbiornicy wiedzy oraz jej unieważnieniem. Wikipedia nie jest dziełem elitarnych grup uczonych i intelektualistów, lecz inicjatywą, w której może wziąć udział teoretycznie każdy. Jest to jej wielką zaletą, a zarazem wielkim dla niej niebezpieczeństwem, ponieważ początkowa demokratyzacja procesu tworzenia wiedzy przeszła z czasem do etapu anarchizacji, co w połączeniu z lawinowym wzrostem liczby haseł wikipedycznych spowodowało, że obecnie nie ma już efektywnie działających instancji weryfikowania treści Wikipedii. Rozwija się ona w sporym stopniu pod wpływem grup nacisku i grup interesu, wchłania mnóstwo przypadkowych informacji, a nawet dezinformacji. Mimo to w ciągu dwóch dekad swojego istnienia wyparła niemal całkowicie z obiegu encyklopedie drukowane. Te ostatnie, jeszcze nie tak dawno stanowiące dumę i ozdobę inteligentnych księgozbiorów, dziś wyprzedawane są przez bukinistów za kwoty niewiele wyższe od cen skupu makulatury. I taki jest epilog dziejów encyklopedii – dość smutny, lecz chyba nieuchronny.

Artykuł jest prezentacją monografii Pawła Majewskiego, *Mantykora. Wczesna historia encyklopedii*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2022.

Dr hab. Paweł Majewski, prof. UW Zakład Historii Kultury, Instytut Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego



Kawa, witamina C, sterydy i paprocie

(Nie)zwykłe życie Tadeusza Reichsteina

Pomysł użycia bakterii jako bezpłatnych pracowników świat uznał za genialny. Przed tym odkryciem 1 kg witaminy C, otrzymywany z owoców, kosztował 7000 dolarów, po wprowadzeniu procesu Reichsteina już tylko 15 dolarów.

W powojennej Polsce mało kto kojarzył nazwisko Reichstein. Jeszcze mniej osób wiedziało, że był polskim Żydem z Włocławka. Kiedy w 1950 roku chemik dostał Nagrodę Nobla, w kraju panował siermiężny stalinizm. Władzom nie odpowiadało nagłaśnianie historii pochodzenia uczonego. Po pierwsze, ponieważ był Żydem, po drugie – ponieważ wyjechał z Polski jeszcze przed I wojną światową, uciekając przed narastającymi represjami i antysemityzmem. Do tego cała jego dalsza rodzina zginęła w obozach zagłady podczas II wojny światowej. Nagłaśnianie historii profesora budziłoby zbyt wiele pytań, zbyt wiele kontrowersji, dlatego przez wiele lat jego dorobek pozostawał w Polsce nieznany.

Dzieciństwo przerwane emigracją

Tadeusz Reichstein urodził się 20 lipca 1897 roku we Włocławku w rodzinie polskich Żydów. Jego ojciec, Izrael Reichstein, pochodził z Płocka i był z wykształcenia chemikiem. Matka – Gustawa Brokman – pochodziła z Włocławka, a jej rodzice byli właścicielami tartaku. Tadeusz Reichstein miał czterech młodszych braci. Wszystkim nadano imiona na cześć znanych Polaków. Tadeusz otrzymał swoje, by uhonorować Tadeusza Kościuszkę. Ojciec prowadził przedsiębiorstwo w Kijowie. Sprzedawał maszyny cukrownicze kupione na zachodzie Europy. Rodzina część roku spędzała w Kijowie, ciepłe miesiące we Włocławku. Prowadzili dostatnie życie, ale nastrój polityczny w zaborze rosyjskim zaczął się zmieniać. Niechęć do Żydów rosła. Zdarzały się pogromy. Coraz częściej strajkowano przeciwko władzy. Zaczęły się też represje, w tym deportacje na Syberię.

W tej sytuacji Izrael (nazwany też przez bliskich Izydorem) postanowił zabrać swoją rodzinę do Szwajcarii. Do przeprowadzki przekonał go konsul szwajcarski, którego poznał w Kijowie. Tadeusz miał wtedy 8 lat. Na dwa lata rodzice oddali go do Zakładu Wychowawczego dla Dzieci i Młodzieży w Jenie. Decyzja dziś kontrowersyjna, wtedy wydawała się praktyczna. Siedmioosobowa rodzina nie mogła się pomieścić w niewielkim

mieszkanii, więc oddano najstarszego syna do placówki wychowawczej. Tadeusz wspomina te lata jako traumę. Wychowawcy stosowali kary fizyczne i wymagali bezwzględności posłuszeństwa. Jednak po dwóch latach Reichsteinowie kupili przestronny dom i chłopiec mógł wrócić do Zurychu. Dzieci początkowo nie chodziły do szkoły. Głowa rodziny uczyła chemii, fizyki i matematyki, znajomy – przedmiotów przyrodniczych. Błędem okazało się, że nie uczono dzieci języka angielskiego. Kiedy wreszcie Tadeusz trafił do szkoły (Oberrealschule), omal go z niej nie wyrzucono przez brak znajomości tegoż języka. Tadeusz wyjechał więc do Anglii, by się go uczyć w praktyce. Miał być miesiąc, lecz wrócił dopiero po pół roku, ponieważ wybuchła I wojna światowa.

Po ukończeniu przez Tadeusza szkoły średniej rodzice zdecydowali, że wszyscy synowie powinni przyjąć obywatelstwo szwajcarskie. Sądziło się, że dzięki temu dzieci będą miały ułatwioną dalszą naukę i zdobycie pracy. Sami rosyjskich paszportów nigdy nie oddali i nie wystąpili o obywatelstwo szwajcarskie. W domu mówiono po polsku, gotowano tradycyjne potrawy i obchodzono typowo polskie święta. W 1915 roku Tadeusz stał się oficjalnie obywatelem szwajcarskim i został skierowany do służby wojskowej. Wojsko można było pogodzić z nauką, więc w roku akademickim 1916/1917 młody Tadeusz rozpoczął studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Federalnej w Zurychu. Nauka przychodziła mu łatwo. Studia ukończył z wyróżnieniem w 1920 roku.

Dla młodych i zdolnych zawsze znajdzie się ciekawe zajęcie

Postanowił jak najszybciej znaleźć pracę, żeby pomagać rodzicom i wspierać edukację młodszych braci. W tym czasie sytuacja w domu Reichsteinów zmieniła się na gorsze. Bolszewicy przejęli firmę handlową ojca. Do tego zachorował on poważnie i nie był już w stanie pracować. Ciężar utrzymania domu i pięciu synów wzięła na siebie matka – Gustawa. W rodzinnym domu utworzyła pensjonat i wynajmowała pokoje.

Pierwsza praca Reichsteina dotyczyła składu chemicznego wina. Była słabo płatna i mało ciekawa. Kolejnym zajęciem była praca w fabryce kieszonkowych latarek. Pewien przedsiębiorca miał patent na latarki, ludzi i linię produkcyjną. Problem w tym, że latarki świeciły tylko kilka minut. Młody Tadeusz rozwiązał problem, usuwając wady w bateriach. W styczniu 1921 roku na zaproszenie prof. Hermanna Staudingera powrócił na Katedrę Chemii Organicznej jako asystent.

Doktorat Reichsteina dotyczył otwarto-łańcuchowych tropin (to hormony wytwarzane przez układ nerwowy). W czasie pracy nad nim Tadeusz Reichstein zaprzyjaźnił się z dr. Leopoldem Rużičką, który pochodził ze Słowenii. Był on bardzo utalentowanym chemikiem i opracował wiele metod wykrywania substancji naturalnych w materiałach zawierających nawet śladowe ilości. Promocja doktorska Reichsteina odbyła się w 1922 roku. W tym czasie już od roku pracował nad aromatem kawy. Zarówno Staudinger, jak i Reichstein widzieli w badaniach chemicznych przede wszystkim sens praktyczny. Gdyby udało się odtworzyć w laboratorium aromat kawy, droga do produkcji surogatu byłaby otwarta. Tani zamiennik byłby dostępny dla większej grupy ludzi. Prace trwały dekadę. Żaden z chemików nie spodziewał się, że aromat kawy składa się z ponad 600 różnych substancji. Im udało się odkryć nieco ponad 30 z nich, jednak samego aromatu kawy nie udało się sztucznie odtworzyć. Prace trwały w Albisrieden, nieopodal Zurychu.

W 1927 roku Tadeusz ożenił się z Luise Henriettą Quarles van Ufford. Kobieta pochodziła z Holandii, a przysłano ją do Szwajcarii, żeby wyleczyła gruźlicę. Była kształcona w szkołach szwajcarskich, a jej zainteresowania skupiały się na sztuce. Prowadziła otwarty dom i wspierała wielu artystów. Mieli jedno dziecko – córkę Ruth. Byli dobranym i zgodnym małżeństwem.

Jak uwolnić świat od skorbutu?

W 1931 roku Reichstein i jego asystent Józef von Euw (z którym pracowali wspólnie wiele lat i napisali ponad 40 tekstów) opuścili laboratorium badania kawy w Albisrieden i wrócili na Politechnikę Federalną w Zurychu. Wtedy szefem Instytutu Chemii Organicznej był już nie Staudinger, a wspomniany Rużička. Słoweniec zajmował się też chemią zapachów, ale jego zainteresowania szły w kierunku chemii fizjologicznej. Dokonał syntezy męskich hormonów: androsteronu i testosteronu. Badał syntezę cholesterolu w ustroju i za te badania w 1939 roku dostał Nagrodę Nobla. Prof. Staudinger też dostał tę nagrodę, ale później, bo w 1953 roku, za badania nad polimerami. Dziś jest uważany za ojca współczesnych tworzyw sztucznych. Reichstein szczęśliwie pracował u boku najlepszych chemików na świecie. Prof. Rużička zaproponował mu, żeby na podstawie badań nad kawą uzyskał habilitację. Wykład habilitacyjny odbył się w 1929 roku na temat związków heterocyklicznych. Tadeusz uzyskał status prywatnego docenta i veniam legendi, czyli prawo do prowadzenia wykładów.

Do obowiązków privatdozenta na Politechnice Federalnej należało kształcenie i prowadzenie badań. Jako temat pracy naukowej Tadeusz wybrał syntezę witaminy C, znowu kierując się względami praktycznymi. Wtedy jeszcze wiele osób chorowało na skorbut. Chciał pomóc medycynie wyeliminować tę chorobę. Pierwszy projekt uzyskania witaminy C bazował na osonie – związku wywodzącym się z cukrów. W 1933 roku Reichstein uzyskał wraz ze współpracownikami prawoskrętną odmianę kwasu askorbinowego. Niestety była ona bezużyteczna biochemicznie. Żeby uzyskać lewoskrętną odmianę witaminy C, zaczęto eksperymentować na ksylozie, innym cukrze. Udało się. Badania prowadzone przez Reichsteina spotkały się z krytyką. Niektórzy uczeni (jak np. Paul Karrer) uważali, że praca nad witaminą C to temat już zarezerwowany dla



Tadeusz Reichstein

Zdjęcie: Wikipedia

nich, dlatego niechętnie dzielili się swoimi postęпами czy próbkami uzyskanych substancji. Pierwsza wytworzona sztucznie witamina C faktycznie działała. Podano ją świnkom morskim chorującym na skorbut i choroba ustąpiła. Metoda wytwarzania była jednak bardzo trudna i mało efektywna, więc Reichstein szukał dalej.

Kolejne eksperymenty prowadził na cukrze zwanym sorbitem. Potrzebował jednak czynnika, który rozłoży ten cukier do sorbozy. Postanowił wykorzystać bakterie *Acetobacter suboxydans*. Żadne laboratorium nie chciało mu ich dostarczyć, więc Reichstein postanowił wyhodować je sam. Przygotował roztwory z sorbitolem i innymi substancjami, żeby przyciągnąć muszki *Drosophila*. One właśnie w swoich układach pokarmowych mają potrzebne bakterie. Udało się. W jednym z roztworów utopiła się muszka, a na jej nodze osadziły się kryształki sorbozy. W ten sposób – w dużym skrócie – udało się opracować przemysłowe wytwarzanie witaminy C. W 1934 roku Reichstein uzyskał na to patent. Pomysł użycia bakterii jako bezpłatnych pracowników świat uznał za genialny. Przed tym odkryciem 1 kg witaminy C otrzymywany z owoców kosztował 7000 dolarów, po wprowadzeniu procesu Reichsteina już tylko 15 dolarów. Firma Hoffmann de la Roche wykupiła licencję na 12 lat. Ze sprzedanej witaminy C naukowiec miał otrzymać 5% zysku. Dzięki tym badaniom, w wieku zaledwie 33 lat, Reichstein otrzymał nominację na profesora.

Poszukiwanie substancji ratującej życie

Po tym spektakularnym sukcesie uwaga badacza kieruje się na hormony wytwarzane przez korę nadnerczy. Kiedy Reichstein podjął się pracy nad ekstraktami kory nadnerczy, znano już choroby wynikające z niedoborów i nadmiaru hormonów nadnerczy. Nie wiadomo jednak, jakie konkretnie substancje je powodują. Nawiązując współpracę z firmą farmaceutyczną ORGANON, która dostarczała mu materii organicznej

do badań, Reichstein nie spodziewał się, że substancje, które odkryje, będą miały charakter sterydowy. W tym samym czasie, w tym samym laboratorium prof. Rużička, związany kontraktem z firmą CIBA, pracował nad syntezą hormonów płciowych. W kontrakcie Rużički było zapisane, że każdy odkryty w laboratorium steryd będzie należał do koncernu CIBA. Doprowadziło to do konfliktu interesów i Reichstein został zmuszony do przeniesienia się do Bazylei w 1938 roku. To, że został szefem Instytutu Chemii jako Żyd, było dosyć niezwykle jak na tamte czasy, ale najwyraźniej w tym przypadku zadecydował dorobek i kompetencje badacza. Na szczęście.

Do 1930 roku udało się chemikowi wyizolować 29 związków sterydowych z kory nadnerczy kotów. Szczególnie jeden z nich – cortison – okazał się cenny. Jednak zawartość tych związków w korze nadnerczy była niska, uniemożliwiła przemysłową produkcję. Trzeba było szukać innego sposobu wytwarzania. Reichstein eksperymentował z kwasami żółciowymi, a potem z roślinami używanymi w lecznictwie: naparstnicą, skrzętnikiem czy konwalią. W międzyczasie wybuchła wojna i wywiad zainteresował się badaniami nad hormonami kory nadnerczy. Sądzono, że niemieccy piloci są poddawani terapii hormonalnej. W ośrodkach amerykańskich zaczęto prowadzić badania analogiczne do prowadzonych przez Reichsteina.

Zasłużony Nobel

W roku 1950 Karoliński Instytut Medyczno-Chirurgiczny w Sztokholmie przyznał Nagrodę im. Alfreda Nobla trzem badaczom. Edward Kendall i Philip Hench z USA dostali nagrodę za wprowadzenie sterydów z kory nadnerczy do terapii medycznej. Tadeusz Reichstein został nagrodzony za

wyizolowanie ich, identyfikację chemiczną i opracowywanie poszczególnych etapów syntezy. Popyt na cortison rósł. Ostatecznie najbardziej owocną metodą było wydobywanie go z pewnej rośliny meksykańskiej. Potem okazało się, że jest to możliwe także dzięki olejowi sojowemu. Dziś w każdej karetkce znajduje się lek na bazie cortisonu. Jest niezwykle skuteczny przy różnych wstrząsach alergicznych. Wiadomo już także, że podawanie go w zbyt dużych dawkach nie jest niestety wskazane.

Badania nad paprociami

Po otrzymaniu Nagrody Nobla (pierwsza taka nagroda w dziedzinie medycyny dla Polaka z pochodzenia) prof. Reichstein zajął się rozwijaniem i modernizowaniem Instytutu Chemicznego w Bazylei. Zmienił go w prężny ośrodek o międzynarodowej sławie. W 1960 roku zrezygnował z funkcji dyrektorskich, a w wieku 70 lat przeszedł na emeryturę. Od 1967 roku zaczął badać paprocie. Wybrał sobie rzadką subdyscyplinę zwaną cytogenetyką paproci. Miał dwa ogrody botaniczne (jeden w Bazylei, drugi u podnóża Alp, w miejscowości Agaronne), gdzie gromadził różne gatunki paproci i ich hybrydy. Opublikował ponad 100 prac na ten temat. Jeszcze jako 90-latek organizował wyprawy botaniczne w góry, gdzie poszukiwał rzadkich odmian paproci. Pisał teksty naukowe jeszcze w wieku 98 lat. Jego wkład w chemotaksonomię jest ważny, ponieważ to trudna dziedzina. Wymaga rozległej wiedzy z chemii i taksonomii roślin.

Tadeusz Reichstein zmarł 1 sierpnia 1996 roku w Bazylei w wieku 99 lat. Jego osiągnięcia naukowe są do dziś inspirujące. Polacy docenili go dopiero w latach 90., przyznając mu szereg honorowych odznaczeń.

Politechnika Federalna w Zurychu



Zdjęcie: Wikipedia

Piotr Hübner

Kolejny raz na czarnej liście

Wspomnienia z Marca '68

Kątem oka zobaczyłem jadący tramwaj, który miał otwarte drzwi. Wskakiwali do niego demonstranci, więc i ja instynktownie pobiegłem i wskoczyłem. Chyba byłem ostatnim, który wsiadł. Motorniczy zamknął drzwi, a pałkarze walili w poczuciu bezsilności w tramwaj.

W zorganizowanym i wypełnionym nauką życiu uniwersyteckim „gromem z jasnego nieba” były wydarzenia marcowe, chociaż o władzy i ustroju wiele wiedziałem. Obserwowałem napięcia między dysydentami a betonem partyjnym. Byłem świadomy, że dochodziło do jakichś przesilen politycznych, ale było mi to całkowicie obce. Dla mnie wydarzenia marcowe zaczęły się od wiecu 8 marca na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Od razu odebrałem to jako formę walki z komunizmem, z panującym systemem. Nie oznaczało to dla mnie dołączenia do jakiejś grupy, choć z ulotek o planie zgromadzenia znałem jego powody.

8 marca na godzinę 12:00 zwołano wiec. Zgromadzenie odbywało się przed Biblioteką Główną, na dziedzińcu. Głównym elementem wiecu było odczytanie rezolucji. Zgromadziło się kilkuset studentów. Od początku zaczęli pojawiać się ludzie obcy. Powoli dołączali do tłumu, co zauważyli zwłaszcza organizatorzy. Łatwo było ich rozpoznać, bo byli ubrani w płaszcze (często skórzane) i kapelusze (typu tyrolskiego) i uważnie rozglądali się po dziedzińcu. Wydaje się, że niektórzy z nich robili zdjęcia. W momencie, kiedy na tym tle pojawiło się napięcie, jeden z organizatorów protestu dał hasło „siadamy”. Studenci usiedli, a panowie w kapeluszach zostali. Rozległ się ryk śmiechu i gwizdy. Wydawało się, że władza skompromitowała się przez ten naiwny typ inwigilacji.

Bezpośrednio po tym na dziedzińcu wkroczyły w szyku zwartym dwa nieumundurowane oddziały ORMÓ. Było to dla mnie od razu sygnałem, że coś złego się dzieje. Ustawili się w taki sposób, że zastawiali możliwość opuszczenia placu. Na komendę wyciągnęli pałki do bicia. Jak to zobaczyłem, poderwałem się, tak jak i inni. Niektórzy nie zdążyli jeszcze wstać, a już zaczęło się bicie. W naturalny sposób wszyscy rzucili się do ucieczki, bo nie było żadnej możliwości obrony przed tym atakiem.

Chciałem wbiec do budynku mojego Wydziału. Ówczesny prorektor Zygmunt Rybicki wydał jednak polecenie zamknięcia budynków. Udało mi się dobiec do Auditorium Maximum i tam się schronić. Wokół trwała masakra. Żadna tam interwencja porządkowa, ale zwykłe bicie. Celowano głównie w koleżanki, które początkowo mogły sądzić, że funkcjonariusze będą bić tylko studentów. Po jakiejś godzinie pojawił się

w budynku umundurowany oficer. Powiedział, że wyprowadzi nas i możemy wychodzić, a było nas ok. 200 osób. W kierunku bramy stał szpaler ORMÓ. Wtedy nie bito nas. Wychodząc na Krakowskie Przedmieście, zauważyłem liczne oddziały milicji – tym razem umundurowanej – i pojazdy (gaziki). Zanośli się na kolejne bicie. Zaczęłem instynktownie biec w kierunku otwartej przestrzeni, jaka była na wysokości Kościoła Wizytek, czyli w stronę Starego Miasta. Zdołałem dobiec, za mną zamykał się szpaler. Cała ulica była już wtedy zablokowana. Bito wszystkich jak popadnie. Widziałem nawet korespondenta zagranicznego, który był bity i zabrano mu kamerę. Jednym z bardziej dramatycznych widoków była powolna ucieczka studenta o kulach, którego też bito. To był przykład sadyzmu. Ta przemoc nie miała żadnego uzasadnienia w oporze. Studenci po prostu uciekali.

Drugim etapem tego dnia była próba przejścia terenu przez reprezentantów wydziałów. Napotkała przeciwdziałanie – nielegalne siły porządkowe powróciły do bicia. Po upływie czasu, gdy spotkałem Sławka Petelickiego, sugerował, że przynajmniej część studentów, ta sprawniejsza fizycznie, była gotowa do obrony. Wśród atakujących, według Sławka, była młodzież z AWF, zostali rozpoznani. Przygotowano ich do bicia ludzi, z pełną świadomością celu. Doszło do masakry.

Od tego czasu wiedziałem, że muszę zachowywać dystans po to, żeby nie stać się fizyczną ofiarą represji. Bycie nią nie tylko szkodzi zdrowiu, ale nie przynosi żadnych korzyści. Wśród oprawców ból i tak nie budzi współczucia, ludzkich uczuć. Tak to sobie racjonalizowałem.

Ani zostać, ani się cofnąć

11 marca w Auditorium Maximum odbył się ogromny wiec, który miał zadecydować o strajku okupacyjnym. Zabrałem głos, opowiadając się za uruchomieniem strajku okupacyjnego bezpośrednio po zakończeniu wiecu. Obawiałem się zamknięcia terenu Uniwersytetu. Myliłem się z braku doświadczeń. Przegłosowano porę wieczorową, by przygotować się do noclegu. Po wiecu ruszyliśmy Nowym Światem w kierunku Politechniki, bo tam były struktury solidarnościowe. Po drodze chciano demonstrować pod Domem Partii, zwanym ironicznie „białym domem”. Idąc w drugim szeregu, patrzyłem na przemian do przodu i w tył. W tyle widać było cały wypełniony studen-

tami Nowy Świat, aż do Krakowskiego Przedmieścia. Widok ten dawał poczucie siły, choć wiedziałem, że siła ta była pozorna, że pojawi się represja. Patrząc w stronę Domu Partii, widziałem już przygotowania, stały tam gaziki z milicją, armatki wodne i inne urządzenia. Oddziały czekały na czoło pochodu. W tym momencie uświadomiłem sobie, że nie mogę tam zostać. Cofnąć się nie można było, bo z każdej strony napierali demonstranci. Część z nich pewnie nieświadoma, co się dzieje z przodu. Szybko znowu zaczęło się bicie. Odskokczyłem na lewo, gdzie był pomnik Matki Partyzanta. Rozglądałem się, jak się uratować z tej opresji i kątem oka zobaczyłem jadący tramwaj, który miał otwarte drzwi. Wskakiwali do niego demonstranci, więc i ja instynktownie pobiegłem i wskoczyłem. Chyba byłem ostatnim, który wsiadł. Motorniczy zamknął drzwi, a pałkarze walili w poczucie bezsilności w tramwaj. Pojazd okazał się skuteczną formą ochrony. Gdy doszło wieczorem do okupacyjnego strajku, spaliliśmy na podłodze w budynkach wydziałowych. Wczesnym rankiem zaproponowałem rozgrzewkę – marsz wokół dziedzińca na wzór więziowych, prowadzonych na spacerunku.

Do grupy organizatorów wiecu i protestów miałem dużo dystansu, ponieważ byli potomkami prominentnych osób stalinowskiego systemu. Kilku znałem z czasów licealnych, a z Adamem Michnikiem byłem w jednej grupie studenckiej na historii. Mimo rezerwy, nie odmawiałem im racji, ale myślałem o szerszej demokratycznej walce z władzą. Decyzja o strajku okupacyjnym spowodowała powstanie Studenckiego Komitetu Straj-

kowego Uniwersytetu Warszawskiego. Nie wspomina o nim Jerzy Eisler w książce *Marzec 1968: geneza, przebieg, konsekwencje* (1991). Komitet składał się z delegatów, po dwóch z każdego wydziału. Delegatów dobierano bez jakichś zaawansowanych procedur.

Z mojego Wydziału delegatem był działający od jakiegoś czasu lider Staszek Dąbrowa. Blisko związany z Krystynem Dąbrową, który wtedy był pierwszym sekretarzem partii rejonu Warszawa Śródmieście. Ten był po stronie Józefa Kempy, czyli we frakcji tzw. twardogłowych. To była sytuacja paradoksalna. Staszek miał spory kapitał społeczny, charyzmę i zasób wiadomości, ale odebrał inne wychowanie. Widać było więc podział ideowy nawet w tej rodzinie. Po 2-3 miesiącach dotarła do mnie informacja, że Staszek zaginął w górach. Podobno jak go odnaleziono, miał nieodpowiednie do chodzenia po górach obuwie.

Drugim delegatem z mojego Wydziału był Piotr Kruszyński. Kończył studia i starał się o asystenturę. Wybrano go, ale podjął decyzję, którą wielu przyjęło ze zdziwieniem. Zdecydował się siedzieć w zamkniętym domu i go nie opuszczać. Nie został więc de facto delegatem. W ten sposób powstała luka. Wtedy wybrano mnie jako drugiego delegata Wydziału do SKS.

Spotkania Komitetu odbywały się na zapleczu budynków uniwersyteckich. Czasami musieliśmy przerywać zebranie, bo wokół nas kręcili się różni obcy, pewnie agenci. Jeden z nich był nawet w dzieckiem i krążył tak blisko, żeby sprzęt był w stanie nagrywać obrady. Postanowiliśmy się jednak nie przejmować



Źródło: uw.edu.pl

tym i nadal rozważać zagadnienie strajku. Brałem także udział w spotkaniach z kadrą akademicką, choć prowadzący zajęcia nie okazali większego poparcia dla strajku. Starali się raczej tonować i uświadamiać konsekwencje. W pamięć zapadło mi spotkanie ze Zbigniewem Salwą. Był wykładowcą prawa pracy, pod względem naukowym niezbyt zdolnym. Podczas wykładów czytał własny skrypt, nie wychodząc poza jego treść. Był przez studentów powszechnie lekceważony jako członek komitetu partyjnego uczelni. Wygłosił przed ponad setką studentów, że podejmie z nami rozmowę, że spróbujemy sobie razem zinterpretować to, co wydarzyło się do tej pory. Po jego wstępie zgłosiłem się do spontanicznej wypowiedzi. Zapytałem o przemoc wobec studentów oraz o transparenty na uniwersyteckim placu, które rasowo szkalowały organizatorów wydarzeń marcowych (nawiązanie do pochodzenia żydowskiego i do funkcji w aparacie władzy, które pełniły osoby bliskie organizatorom). Od znajomych wiedziałem, że to była inicjatywa lokalnej władzy partyjnej. Prof. Salwa przyznał, że nie aprobuje żadnego z tych zachowań. Na koniec zapytałem, jak można nie aprobować poszczególnych działań, natomiast popierać całość zdarzeń. W tym momencie całkowicie pogubił wątek. Spotkanie przerodziło się w masową krytykę. Przez to zdarzenie znalazłem się na cenzurowanym.

Wepchnięci w pułapkę opozycyjności

Inne spotkanie, które pamiętam, to otwarte zebranie Związku Młodzieży Socjalistycznej. Ówczesnie Związek był bardziej skłonny do zmian programowych niż Zrzeszenie Studentów Polskich. Mówili, że są ze studentami, choć oficjalnie popierali działania władz. Organizatorem spotkania był Maciej Pinkwart. Był przewodniczącym wydziałowej organizacji na filologii. Po studiach został dyrektorem muzeum w Zakopanem. Wspominam o tym, ponieważ ważną rolę odegrał także w dalszych losach ludzi. Wyglądało na to, że został nagrodzony za zachowanie po wydarzeniach marcowych. Jego wystąpienie nie było agresywne. Było zbudowane według tezy, że „komandosi” wepchnęli studentów w pułapkę opozycyjności. A przemoc wobec studentów była konsekwencją tej opozycyjności. Pinkwart wystąpił po 19 marca, kiedy to Gomulka w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki wprowadził pojęcie „piątej kolumny” w stosunku do tej części Żydów, których nazywano syjonistami. Sprowadzanie komentarzy do kwestii udziału komunistów pochodzenia żydowskiego w wydarzeniach marcowych wypaczało istotę protestów. Te były skierowane przeciw władzy komunistycznej w imię ideałów demokratycznych bądź patriotycznych.



Już wtedy miałem zadatki na badacza przeszukującego archiwa, ale analizowałem też materiały prasowe. Na otwarte zebranie ZMS przyniosłem gazetowy materiał z przemówieniem Gomulki, gdzie pozaznaczałem fragmenty, które drastycznie odbiegały od oficjalnej interpretacji zająć. Pokazałem za pomocą cytatów, że władze wiedziały o wiecu i towarzyszących zdarzeniach. Zasugerowałem, że dla władzy był to pretekst do własnych zagrywek. Spotkanie było po to, żeby załagodzić nastroje wśród studentów. Represjonować chciano tylko „komandosów”, a resztę studentów przedstawiano jako oszukanych, zmanipulowanych. Wypowiadając się na tym zebraniu zapytałem, kto oszukiwał. Moim zdaniem, oszukiwał nie tylko lider – ten który narzucał narrację – ale także ten, kto nie reagował na kłamstwa i manipulacje. Efekt tych zdarzeń był taki, że trafiłem po raz kolejny na tzw. czarną listę. Mój przypadek był analizowany przez organizację partyjną uczelni. Kadra profesorska, która zasiadała w komitecie, wyrażała się na mój temat ostrożnie. Prof. Leśnodorski był dziekanem. Był też przewodniczącym komisji powołanej przez rektora, która miała wyjaśnić przebieg wydarzeń marcowych.

W pewnym momencie wytworzyła się grupa wokół Bonawentury Chojnackiego, który był wykładowcą filozofii. Działał z ramienia nowej frakcji partyjnej. Przygotowywali listy studentów, których trzeba zwalczać. Niektóre wydziały zostały rozwiązane i na nowo uruchomiono rekrutację. Wydział Prawa uchodził za spokojny. Na własnej skórze odczułem konsekwencje tej listy dopiero na początku nowego roku akademickiego, czyli jesienią 1968 roku. Okazało się wtedy, że zabrano mi stypendium naukowe. Była to decyzja podjęta na podstawie opinii samorządu studenckiego. Zorganizowano taką fikcję i posłużono się grupą studentów. Studenci byli szantażowani, jeżeli nie chcieli stosować represji, sami byli usuwani. Wiem to od Marty Zarzyckiej (później Wesołowskiej, dziennikarki „Poliptyki”). Nie chciała głosować, dlatego ją pozbawiono stypendium. W moim przypadku jeden z uczestników osądu twierdził, że jestem syjonistą, a inna uczestniczka, że jestem antysemitą. Tak czy siak, chodziło o usunięcie najzdolniejszych stypendystów. Wstrzymał się od głosu jeden z dzisiejszych emerytowanych profesorów UW, ówczesnie student z samymi ocenami „bdb”, którego nazwiska nie wymienię. Wspomnę jednak, że odwiedzając mnie w domu po zebraniu, osobiście poinformował, że nie dostanę stypendium i nie zostanę na uniwersytecie. On oczywiście został. Skończyłem studia w 1969 roku. Na drugim kierunku studia przerwałem, tj. na Wydziale Nauk Historycznych. Mój mentor – prof. Leśnodorski – chciał pomóc, ale miał związane ręce.

W konsekwencji tego, że wypowiadałem się publicznie podczas tych wydarzeń, musiałem iść do pracy w zewnętrznej instytucji. Na Uniwersytecie Warszawskim, jako pełnomocnik ds. zatrudnienia absolwentów, działała – jak się okazało – sąsiadka mojej Mamy. Zapytała mnie, gdzie chciałbym pracować. Nie lubiłem typowych zawodów prawniczych, mimo że byłem jednym z najlepszych studentów. Adwokaci, rodzice dzieci, których przygotowywałem na studia, żalowali utraty dobrego prawnika. Namiastką pracy ze studentami mogła być praca w szkole. Miałem nadzieję, że wtedy naprawiłbym wady „nauki szkolnej”. Powiedziałem pani pełnomocnik, że chciałbym podjąć pracę nauczyciela, ale studia prawnicze nie dają mi takiej możliwości. Wskazała, że we Włochach pod Warszawą, w Technikum Ekonomicznym, szukają nauczyciela prawoznawstwa. Dostałem więc skierowanie i od razu poszedłem do kuratorium. Kolejny zbieg okoliczności spowodował, że spotkałem tam dyrektora tej szkoły, który zamartwiał się, że na nowy rok szkolny nie ma nauczyciela. Na Uniwersytet Warszawski mogłem powrócić dopiero po upadku władzy komunistycznej.

Zrozumstwo na przykładzie frazeologii

Z konieczności, zbierając piśmiennictwo do pewnego artykułu na tematy frazeologiczne, sięgam do prac z ostatniego dziesięciolecia i w większości znajduję zwierzającą wiedzę. Pomijam już efekt szkodliwego działania w latach osiemdziesiątych pewnej grupy badaczy, którzy aby sobie ułatwić życie, okroili frazeologię do idiomów, zlekceważyli klasyfikację semantyczną wielowyrzowców języka polskiego, a te jednostki języka, które nie są metaforyczne, zostawili samopas. Zaniechanie badania i godnej poprawnościowej uwagi ogromnej grupy frazeologizmów polskich ma swoje widoczne skutki. Tysiące młodych polonistów uczą się, że to nie jest frazeologia. Biorący się z tej rzeszy nowi nauczyciele nie wiedzą więc, że przecież te jednostki języka są ważnymi półproduktami, które są na co dzień i przy każdej okazji używane jako zawiązki zdań, albo lepiej: mikropojemniki gotowych treści, które do zdań się dostają i je budują. Należy zatem dbać o ich kształt i poprawne użycie. Niestety ten fakt wciąż jest w nauczaniu języka polskiego (bo już nie angielskiego) solidnie pomijany. Bardzo też przeszkadza reklama, ta tak zwana żywa (czyli radiowo-telewizyjna), która zaburzenia poprawności albo nawet wprost błędy językowe rękami copywriterów pakuje do spotów, aby lepiej zwracały na siebie uwagę, co doskonale ćwiczy dzieci w nauce złej mowy.

Ale już nie tylko telewizornia, dom rodzinny i szkoła maltretują nasz język żywy, bo także uniwersytet. Ze zgrozą czytam kolejny nowy skrypt (a właściwie podręcznik, gdyż to dziełko jest dość pulchne) dla nowego pokolenia polonistów, czyli studentów mniej więcej trzeciego roku.

W dziele tym, jak w dziesiątkach innych, pojawia się klasyfikacja frazeologizmów Stanisława Skorupki (tekst jej jest we *Wstępie* do jego *Słownika frazeologicznego języka polskiego* z 1967, tom 1). Została zresztą żywcem przepisana do owego skryptu z niezbyt udanego *Słownika wiedzy o języku* Danieł Podlaskiej i Iwony Płóciennik z 2004 r. (książka ta ma układ, który bardzo utrudnia znalezienie czegokolwiek, ale i błędów naukowych nazbierała sporo).

Klasyfikacji Skorupki należało zaniechać już w 1969 roku, kiedy przejechał się po niej naukowym walcem Andrzej Maria Lewicki w „*Języku Polskim*” 1969, nr 4, s. 310-315. W kolejnych wydaniach słownika Skorupki należało to zmienić, aby przez dziesiątki lat nie zatruwać umysłów tekstem intuicyjnym, nienaukowym, wprowadzającym w błąd nawet samego jego twórcę. Zastosowany bowiem przez prof. Skorupkę podział wielowyrzowców opiera się na ocenie ich kształtu formalnego, a nie – jak w wypadku wyrazów – funkcji, którą pełnią w zdaniu. Na skutek tego wyrażenia typu „ni przypiął, ni przyłatał” są zaliczane do form czasownikowych, mimo że ani wyraz „przypiął”, ani „przyłatał”, ani też całe to wyrażenie funkcji czasownika jako żywo nie pełnią, bo są tu okre-

śleniami (przymiotnikowo-przysłówkowymi). W klasyfikacji tej powstał też worek na odpady. Autor nazwał go „wyrażenia” i wrzucił do niego wszystko, co spotkał w tekstach jako utrwalone frazeologizmy, ale których właściwości nie potrafił określić, gdyż w owym czasie jeszcze brakowało dobrych narzędzi ich opisu. Profesor Skorupka na podstawie swej wadliwej klasyfikacji opracował dziwną kolejność podawania materiału w gniazdach leksykalnych słownika. Z tego powodu (i na skutek braku indeksu) nic w nim nie można znaleźć bez przeczytania czasem nawet kilku łamów gęstego druku. Dlatego słownik ten stoi na półkach przy biurkach pisarskich – nie tknięty. Jest i tyle.

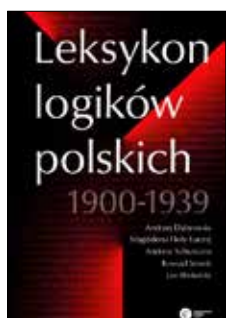
Wspomniany Andrzej Maria Lewicki, mistrz frazeologii, opracował w 1983 r. logiczną klasyfikację, która wszystko porządkuje tak, że nagle zaczynamy rozumieć, jak ten nasz język w ogóle działa.

Otóż frazeologizmy z punktu widzenia ich funkcji w zdaniu dzielą się na 1) *frazy* (kompletne zdania typu „Wyszło szydło z worka”, „Bomba wybuchła”, „I to by było wszystko”), 2) *zwroty* (formy czasownikowe, którym trzeba dodać podmiot, aby się stały zdaniami, np. „Zarobić na życie”, „Nie zasypiać gruszek w popiele”, „Pełnić funkcję”, „Grać na nerwach”), 3) *wyrażenia rzeczownikowe* (np. „Czarna owca”, „Jabłko Adama”, „Dwa grzyby w barszcz”), 4) *wyrażenia określające* (np. „Białe jak marmur”, „Ni z gruszki, ni z pietruszki”, „Z całej siły”, „W lot”), wreszcie 5) *wyrażenia funkcyjne* (które biorą udział w budowaniu zdań: wielowyrzowe spójniki, przyimki, partykuły, np. „mimo że”, „i to”, „o tyle... o ile...”, „rzecz jasna”, „na pewno”, „w stronę”, „bez mała”).

Z punktu widzenia semantyki frazeologizmy dzielą się na 1) *idiomy* (których sens nie wynika ze znaczenia ich składników; np. „Czarny koń”, „Stawać na głowie”, „Grać na fałszywą nutę”, „Mieć plecy”), 2) *frazemy* (których znaczenie wynika z jednego ze składników i jest zmodyfikowane przez składniki pozostałe, np. „Ładna historia”, „Składać podanie”, „Brać się do roboty”, „Równie jak stół”, „Dobrze wychowany”), 3) *pograniczne frazeologii* (różne sztucznie tworzone wielowyrzowce przydatne w polityce, nauce, życiu społecznym itd.).

Funkcjonują jeszcze dwie inne klasyfikacje, ale już mocno specjalistyczne, dla badaczy. Warto jednak je poznać i zrozumieć, bo otwierają oczy, naprawdę. Kładą nacisk na to, że nasz język ma niecałe pół miliona słów, ale dysponuje gigantyczną frazeologią (kilka milionów jednostek) i fenomenalnym słowotwórstwem, niezwykle pomysłowym i produktywnym, a zarazem łatwym do opanowania. Kto chce i potrafi, może stworzyć sobie nowe polskie słówko, które w dodatku wszyscy w lot zrozumieją. Bo tu chodzi właśnie o zrozumstwo.

Budowniczość polskiej logiki



Nie będzie chyba zbyt wielkim nadużyciem porównanie Doliny Krzemowej do Warszawy. Tym, czym ta pierwsza jest współcześnie dla zaawansowanych technologii, tym nadwiślańska stolica była w dwudziestolecu międzywojennym dla logiki. To tu rodziły się i stąd promieniowały przełomowe idee, w Polsce stawiano pierwsze kroki na niezbadanych dotąd polach, wyznaczając tym samym kierunek dla innych, tutaj także powstały autorskie metody, za pomocą których zgłębiano logiczne pojęcia. Nie bez powodu zatem przedstawiciele tej specjal-

ności, rozumiani znacznie szerszej niż tylko w sensie ścisłym, do dziś błyszczą najjaśniej w panteonie naszej nauki. Przecież matematycy czy filozofowie, których związku z logiką nie sposób podważyć, też grali pierwsze skrzypce w budowie tego gmachu. To właśnie częścią Polskiej Szkoły Matematycznej, jak i filozoficznej Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, była Warszawska Szkoła Logiczna. A jeszcze można dodać do tego choćby językoznawców, filologów, psychologów czy socjologów, którzy też w mniejszym bądź większym stopniu nawiązywali do logiki. Nie dziwi zatem, że spośród wybranych do reprezentowania polskiej nauki przy okazji niedawnego jubileuszu 70-lecia PAN aż jedną trzecią stanowili bohaterowie także tego leksykonu (Banach, Ingarden, Ulam, Tarski, Smoluchowski, Baudouin de Courtenay, Weigl).

W tamtej okolicznościowej publikacji równie ważne jak biografie i dokonania były emocje, przypadłości, wszystko to, co czyniło tych wielkich ludźmi. „Uwielbia szcęk sztuców, szuranie przesuwanego krzesła, cały ten gwar, który pomaga mu się skupić i dzięki któremu nadszły go najlepsze rozwiązania” – portretowano dla przykładu Banacha. Tutaj na takie opisy nie trafimy. Nie taki przecież charakter leksykonu ani jego funkcja. Na prawie czterystu stronach jest za to dużo o życiu, twórczości i publikacjach osób w ten czy inny sposób związanych z logiką. Nie umniejszając w żadnym razie wartości tych informacji, kto wie, czy dla sięgających po tę pozycję kluczowe nie okaże się co innego. W części hasel ich twórcy kresłą rangę danej postaci, pokazując znaczenie jej osiągnięć i to, jak one rezonowały. Pomysł praktyczny o tyle, że oprócz już wspomnianych i jeszcze paru dorównujących im sławą (Tatarkiewicz, Kotarbiński, Ajdukiewicz, Sleszyński, Steinhilber) był cały zastęp tych, którzy pozostawali w ich cieniu i dziś dla ludzi spoza środowiska są zapomniani albo wręcz anonimowi. Całkiem niesłusznie, skoro właśnie jednego z tej grupy tytułowano „księciem logiki”, inny założył pierwszą w tej części Europy pracownię psychologii doświadczalnej, zaś kolejnemu zawdzięczamy kształt współczesnej polskiej informatyki.

Choć pierwsze polskie prace logiczne datuje się na XIII wiek, leksykon obejmuje zasięgiem jedynie pierwsze półwiecze ubiegłego stulecia. Uwzględniono wprawdzie i tych, którzy rozpoczęli działalność jeszcze przed rokiem 1900, jak i tych, którzy kontynuowali swoje badania zainicjowane przed II wojną światową, ale czy mimo wszystko ograniczenie zakresu czasowego tylko do złotej ery w rozwoju polskiej logiki – m.in. w 1936 r. powstało Polskie Towarzystwo Logiczne – nie zubaża nadto jej dorobku? Czy można pomijać takie nazwiska jak Ehrenfeucht, Pelc, Rasiowa czy Przełęcki? Autorzy – naukowcy z Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie oraz Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie – zdając sobie sprawę z tych wątpliwości, tłumaczą, że rozszerzenie dat granicznych skutkowało by z kolei koniecznością dokonania trudnych wyborów. Kogo w takim wypadku odrzucić? Zdecydowali się więc na okres, który „stanowi w miarę zamknięty fragment dziejów intelektualnych Polski”. W sumie w leksykonie zamieszczono blisko półtorej setki nazwisk. Dużo to czy mało, przydałoby się na końcu indeks osobowy. Wprawdzie hasła są ułożone w porządku alfabetycznym, ale byłoby jeszcze łatwiej poruszać się po tym wielce wartościowym dziele.

Mariusz Karwowski

Andrzej DĄBROWSKI, Magdalena HOŁY-LUCZA, Andrzej SCHUMANN, Konrad SZOČIK, Jan WOLEŃSKI,
Leksykon logików polskich 1900–1939, Copernicus Center Press, Kraków 2022.

Potrzeba rewizji



Złą prasę miało Bizancjum od czasów oświecenia. Największą wściekłość jego luminarzy wzbudził fakt, że Bizancjum było zbiorowością fundamentalnie religijną. To kłuło w oczy. Dorzucono do tego jeszcze chroniczną biurokrację, korupcję, zawiłości niekończących się intryg, a nadto dość trudną do opanowania attycką odmianą greki, będącą w Bizancjum wzorem formułowania wypowiedzi pisemnych, oraz programową niechęć mieszkańców Bizancjum do wszystkiego co zachodnie.

Przykładowo dla Woltera Bizancjum było „bezwartościową zbieraniną przemów i cudów, stanowiących obrazę dla ludzkiego umysłu”. Cała zaś negatywna ocena Bizancjum zgrabnie zebrana przez Monteskiusza w jego *Uwagach nad przyczynami wielkości i upadku Rzeczypospolitej Rzymskiej* (tł. A. Wiśniewski, Warszawa 1762) przez wieki wpływała na intelektualistów kolejnych epok. Hegel, odrzucając osiągnięcia naukowe i intelektualne ludzi Bizancjum, wyeksponował je jako „obraz słabości, gdzie nędzne, a nawet bezmyślne namiętności nie dopuszczają do objawienia się niczego wielkiego w myślach, czynach, osobnikach” (G.W.F. Hegel, *Wykłady z filozofii dziejów*, tł. A. Zielińczyk, Warszawa 1919). Nawet dla Edwarda Gibbona, którego *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego* wywarł znaczący wpływ na świadomość historyczną wykształconych anglosaskich elit, była bizantyńska historia „nużąca i jednorodną opowieścią o słabości i nieszczęściu”. Wygodne było więc zmarginalizowanie ponadtyśiącletnich dziejów Bizancjum i uczynienie z nich – w porównaniu z miejscem, jakie zajmuje w edukacji szkolnej republika i zachodnie cesarstwo rzymskie – ledwie wrażenia czy ciekawostki i to raczej ku przestrodze. Tak też na Zachodzie pierwsze skojarzenia związane z przymiotnikiem ‘bizantyjski’ niekoniecznie tyczą się stricte historii czy kontekstu geograficznego. Dlatego należałoby pamiętać, o co apeluje Sarris, chociaż języka polskiego aż tak to jeszcze nie dotyczy, że przymiotnik Byzantios/ Byzantiakos – bizantyjski/bizantyński, dziś o pejoratywnym znaczeniu, na przełomie starożytności i średniowiecza używany był jedynie na określenie ludzi pochodzących z Konstantynopola, znanego pod grecką nazwą Bizancjum (gr. Byzantion). Było to w czasach, zanim cesarz Konstantyn I nie przemianował jeszcze na własną cześć nazwy miasta. W 325 roku nazwano je Konstantinoupolis Nea Rome – Miasto Konstantyna, Nowy Rzym.

A w jaki sposób zdefiniował Bizancjum sam Peter Sarris, profesor Uniwersytetu Cambridge? O Bizancjum mówi wprawdzie jako o „chrześcijańskim społeczeństwie”. Zaskakująca definicja. Oczekiwałoby się określenia państwo, ewentualnie cywilizacja, ostatecznie kultura, ale społeczeństwo chrześcijańskie? W społeczeństwie tym zarówno duchowni, jak i świeccy wierzący „przechowywali zdobycze klasycznej greckiej (i pogańskiej) filozofii, literatury i wiedzy”.

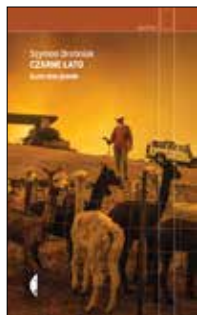
Złupienie Konstantynopola przez „łacinników” w 1204 r. było morderczym ciosem, po którym świat bizantyński już się nie podniósł. Drastyczne opisy krzywd wyrządzanych miastu i jego mieszkańcom przez zachodnioeuropejskie rycerstwo, kler i wędrowną hołotę, niszczenie ikon, płądrowanie kościołów, gwałty na mniszkach, grabież relikwii na sprzedaż, wszystko to przyspieszyło upadek, który bez tej wątpliwej pomocy Zachodu nie nastąpiłby tak szybko (XV w.). Z perspektywy Zachodu wyprawa 1204 r. się opłacała. Europejczycy się wzbogacili, poczynając od dawnej bizantyńskiej kolonii Wenecji, która rozsyłała po klasztorach i katedrach resztki skarbow upadającego wschodniego cesarstwa. Ci, którzy byli uczestnikami lub świadkami zdarzeń, a czuli dyskomfort moralny, wkrótce otrzymali zawiłe teologicznie usprawiedliwienie świętych kradzieży (furta sacra).

Bizancjum Sarrisa jest książką wymagającą namysłu, a może i rewizji, nowego spojrzenia na fakty bezsporne i utrwalone w zachodniej historiografii, jak chociażby datę upadku Konstantynopola 1453 r. Czy rzeczywiście Bizancjum wtedy upadło i czy winę za jego kres ponoszą Turcy?

Bogdan Bernat

Peter SARRIS, **Bizancjum**, tłum. Andrzej Kompa, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2022.

Koniec (bez)troski?



Codziennie dostępne słońce i plaża, czyli po prostu relaks i luz. Któż chciałby, i to dobrownie, zrezygnować z takiego stylu życia i co mogłoby go do takiego ruchu skłonić? Okazuje się, że nawet rozgrywający się tuż za plecami dramat o niespotykanej dotychczas skali nie powoduje chęci natychmiastowej zmiany ulubionych przyzwyczajzeń. Ludzka skłonność do wypierania tego, co niewygodne i ubarwiania otaczającej rzeczywistości zdaje się bowiem nie mieć granic, zauważa Szymon Drobniak. Autor *Czarnego lata*, który występuje jako świadek tego, co wydarzyło się na przełomie 2019 i 2020

roku w Australii, kiedy to szalejący przez sześć miesięcy ogień niszczył wszystko, co stanęło mu na drodze, dostarcza świadectwa potwierdzającego tezę o zdolności człowieka do wyrzucania z pamięci przykrych i niechcianych widoków.

Opisywany czas zniszczeń odebrał wielu mieszkańcom posiadany dobytek, trzem miliardom zwierząt przyniósł całkowitą zagładę. Żywe stworzenia, przerażone, spłoszone i okaleczone, piekły się żywcem we własnych norach. Ta książka powstała więc, jak pisze autor, po to, by zrozumieć logikę państwa, które „w swoim uporze (...) zmierza ku tej czarnej przyszłości”. Jest ona przejmującym zapisem rozgrywanej się współcześnie tragedii, a smutna konstatacja dotyczy roli człowieka, który jako gatunek potrafił doprowadzić Ziemię na skraj prowadzącej w nicłość przepaści. Jak podkreśla autor, czas na działania zaczyna się ludzkości w błyskawicznym tempie kurczyć, dlatego nie ma już miejsca na pozorowane ruchy, uściski dłoni czy poklepywanie się po ramieniu. Metoda chowania głowy w piasek i zaklinanie rzeczywistości z pewnością nie uratują naszej planety przed całkowitą zagładą, a spychanie na margines polityki klimatycznej i odwracanie od niej wzroku nie sprawi, że znikną problemy. Niestety wygląda na to, jakby niektórzy uważali, że to, co widać na zewnątrz, to wyłącznie scenografia filmu, którego projekcję można w każdej chwili zatrzymać.

Książka Szymona Drobniaka jest jak przesyłka z przyszłości. Jej niepokojąca zawartość powinna wstrząsnąć wszystkimi, zwłaszcza tymi, którzy negują dramatyczny stan rzeczy, nie wierząc nauce, szukając usprawiedliwień dla własnej bierności czy łagodząc wydźwięk kataklizmu poprzez dobór słów mających rozmyć widmo realnie istniejącej katastrofy. Tym, co gubi człowieka, jest oderwanie od naturalnego związku z przyrodą, jej bezlitosne zawłaszczanie oraz zachłanna eksploatacja istniejących zasobów. Autor, wyrzucając innym popełnianie błędów, uderza się także we własną pierś, wspominając o towarzyszącym mu poczuciu winy z powodu latania samolotami, a co za tym idzie pozostawiania szkodliwego śladu węglowego.

Celowy brak linearnej struktury w prowadzonej narracji pozwala, jak chce jej twórca, na swobodne nawigowanie między poszczególnymi rozdziałami, z których każdy stanowi fragment przerażającego wyglądającej układanki. Siłą owego traktatu o końcu świata sprokurowanego przez człowieka tkwi w sugestywnym operowaniu obrazem, tak by nikt, kto się z nim zetknie, nie mógł potem powiedzieć, że o niczym nie wiedział.

Szymon Drobniak z uwagą oraz niezwykłą empatią wysłuchał opowieści poszkodowanych w horrorze pożarów i te zebrane zapisy przeżytych dramatów uzmysławiają, jaką cenę płacą jednostki za zachłanność i krótkowzroczność rodzaju ludzkiego. Jego książka, niczym ustawiony w widocznym miejscu znak ostrzegawczy, informuje, czym kończy się hołdowanie zasadzie przyjemności i mentalnej sytości, które odcinają człowieka od adekwatnego postrzegania rzeczywistości, utrzymując go w euforycznym stanie życia obliczonego wyłącznie na tu i teraz. „Kolejne czarne lata, w Australii i gdzie indziej, na pewno nadejdą – i będą coraz dramatyczniejsze. Ile jeszcze takich katastrof jesteśmy gotowi zafundować sobie i tym, którzy narodzą się po nas?”. No właśnie, ile?

Aneta Zawadzka

Szymon DROBNIAK, *Czarne lato. Australia płonie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021, seria: Reportaż.

Poszukuje i broni prawdy



Książka Zbigniewa Zdunowskiego – wieloletniego nauczyciela filozofii w łódzkich liceach, pasjonata filozofii i jej propagatora – stanowi cenną propedeutykę filozofii. W pracy dominuje metoda erudycyjno-pozytywistyczna, polegająca na gromadzeniu wypisów z dzieł filozoficznych, co na poziomie nauczania filozofii w liceum wydaje się uzasadnione. Młodzi, dopiero aspirująca do sapiencjalnego rozumienia realnej rzeczywistości, potrzebuje środków ułatwiających jej poznanie, czyli erudycji – wiedzy. Młodemu człowiekowi imponuje rozległa wiedza, odnosząca się do proble-

mów świata i życia codziennego, czego w omawianej pracy nie brakuje. Stanowi to jej atut.

Książka składa się z dwóch części: *Z filozofią przez życie* i *Z etyką bliżej życia*. Część pierwsza zawiera 5 rozdziałów poświęconych kolejno: rozumieniu filozofii, filozofii Heraklita i Parmenidesa, miłości, wolności i prawdzie. Część druga zawiera aż osiem zagadnień: rozumienie etyki – filozofii działania, dobro, godność, pozycja człowieka w stosunku do zwierząt, ekologizm i weganizm, eutanazja, feminizm, gender, tolerancja, relatywizm.

Zdunowskiego wizja rzeczywistości, opisana oczyma filozofów, została zbudowana w dość oryginalny sposób. Autor nie przyjmuje tradycyjnego podziału filozofii na (poznawczy i metafizyczny) idealizm i realizm (Kazimierz Ajdukiewicz, Władysław Tatarkiewicz, Mieczysław Albert Krąpiec i inni), ale buduje, opierając się na wariabilizmie Heraklita z Efezu i statyzmie Parmenidesa z Elei. Czy taki podział można zaakceptować na użytek dydaktyki filozofii w szkole średniej? Greckie poszukiwanie arche (zasady świata) wypracowało te dwa modele rzeczywistości: dynamiczny i statyczny. Faktycznie leżą one nie tylko u podstaw filozofii presokratejskiej, ale również filozofii nowożytnej i szczególnie współczesnej (Friedrich Nietzsche, Martin Heidegger, postmodernizm, a nawet w pewnych aspektach neomarksizm). To z nimi jest konfrontowany nastolatek – uczeń liceum. Wydaje się, że taki obraz bytu i rzeczywistości (świata) w pracy propedeutycznej jest uzasadniony.

Późniejsze systemy filozoficzne Platona i Arystotelesa będą stanowiły ich konsekwencje i uzupełnienie. Czy wobec tego recenzowana książka nie stanowi zarysu dziejów filozofii idealizmu, który obejmuje wariabilizm Heraklita i statyzm Parmenidesa? Po jej lekturze okazuje się, że nie. Zbigniew Zdunowski nie tylko omawia tradycję filozofii idealizmu (materializm, spirytualizm, racjonalizm i irracjonalizm – postmodernizm), ale także referuje tradycję arystotelesowskiego i tomistycznego realizmu, dając w ten sposób czytelnikowi (i uczniom) integralny obraz metafizycznej rzeczywistości. W pewnym uproszczeniu można przyjąć, że Heraklit odpowiada za postmodernizm, zaś Parmenides za filozofię substancji – ontologię. Jednak autor książki nie ogranicza się wyłącznie do nich.

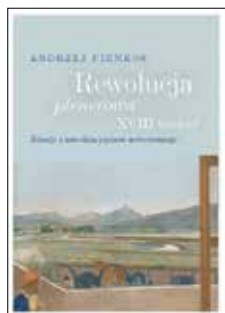
W pracy znajduje się wiele sformułowań i zagadnień świadczących, że Zdunowski nie tylko poszukuje, ale i broni prawdy, co jest zadaniem filozofa (Tomasz z Akwinu). W swojej książce nie ucieka od trudnych tematów, które są ważne dla młodego człowieka. Dodatkowym walorem publikacji jest „apologetyczność” jego filozofii. Autor dogmatycznie i autorytarnie nie narzuca swojego punktu widzenia. Przeprowadza czytelnika (i ucznia) przez logiczne wnioskowania, które naprowadzają na prawdę. Daje szkołę „rzetelnego myślenia”. Mocnym aspektem podręcznika jest jego logiczność i przejrzystość wnioskowania.

Polecam książkę wszystkim, którym nie jest obojętne „umiłowanie mądrości”, jej poszukiwanie. Autorowi gratuluję zaś tak rozległej wiedzy filozoficznej i doskonałych umiejętności dydaktycznych. Jest to cenna publikacja wprowadzająca do filozofii i może być z sukcesem używana jako podręcznik do nauczania filozofii w liceum ogólnokształcącym.

Mikołaj Krasnodębski

Zbigniew ZDUNOWSKI, *Filozofia jest ciekawa. Z ćwiczeniami dla lubiących myśleć*, Wydawnictwo von Borowiecky, Radzymin 2021.

Taki pejzaż...



Najnowsza książka Andrzeja Piętkosa stawia czytelników przed ciekawym i naprawdę istotnym w dziejach sztuki zagadnieniem. Chodzi bowiem o wskazanie początków malarstwa pejzażowego. Wszyscy wiemy, że pod tym terminem kryje się zjawisko malowania na zewnątrz pracowni, w terenie, a nazwa malarstwa plenerowego wzięła się od słów „en plain air” – „w pełnym powietrzu”. Jednakże równie powszechna wiedza, że ma ono swój początek w XIX wieku, jest po prostu fałszywa. *Rewolucja plenerowa* ma za zadanie ukazać czytelnikowi wiedzę o powstaniu tej gałęzi sztuki, której

początki autor przeszuwa na epokę wcześniejszą, czyli XVIII-wieczne oświecenie. Zbiera on w książce literaturę poświęconą temu przedmiotowi i prezentuje zjawiska nie tylko kompletnie nieznanne, ale także te świadomie pomijane. Nie da się ukryć tego, że środowiska naukowe nie chciały wiedzieć, nie chciały zauważyć tego, jak przebiegała „rewolucja pejzażowa” w XVIII stuleciu. Jednakże celem publikacji nie jest oskarżanie poprzednich pokoleń badaczy, lecz ukazanie dorobku ostatnich kilku dekad oraz własnych – bynajmniej niebagatelnych – przemyśleń autora.

Książka omawia najistotniejsze zagadnienia związane z procesem powstawania malarstwa plenerowego. Niewątpliwie istotnym elementem było doświadczenie podróży. Ludzie podróżowali zawsze, jednakże dopiero od XVIII stulecia zwiedzanie, czyli doświadczenie widoków stało się na tyle popularne, że było przedmiotem nie tylko rozmów, ale także książek czy obrazów. Doświadczenie krajobrazu i świadomego oglądania natury stało się udziałem coraz większej liczby osób. Pozwoliło to nie tylko na wprowadzenie pejzażu do kursu studiów (choć był on ćwiczeniem umiejętności technicznych), ale także zwiększenie jego prestiżu w hierarchii sztuki.

Należy także pamiętać, że XVIII stulecie było okresem odkryć geograficznych. Nie chodzi jedynie o fakt, że docierano do nowych, do tej pory nieznanych zakątków świata. Te nowo odkrywane tereny badano i opisywano zgodnie z ówczesnymi metodami naukowymi, starając się gromadzić jak najszerszy zakres informacji. Zaś podróżnikom i uczonym towarzyszyli malarze i graficy, których zadaniem było stworzenie dokumentacji ilustracyjnej. Malowali nie tylko zwierzęta, rośliny i tubylców, ale także krajobrazy, do których przybywali. Doskonałym przykładem był udział Wiliama Hodgesa w wyprawie Cooka. Pozostawił po sobie szereg obrazów ukazujących spragnionej nowych doświadczeń publiczności krajobrazy z dalekich stron, pozwalających oglądającym na poznanie odległych światów.

Ale nie tylko podróże pozwalały na poznawanie nowych – czasami zdumiewających i zaskakujących – widoków. W Europie malarze mogli zobaczyć, a dzięki temu malować, wspaniałe wodospady czy lodowce. A prawdziwi szczęściarze mieli okazję widzieć wybuch wulkanu. Widoki takie nie wymagały podróży na kraniec świata, jednakże potrafiły dostarczyć zarówno twórcom, jak i odbiorcom silnych wrażeń, co było niewątpliwie zaletą malarstwa plenerowego.

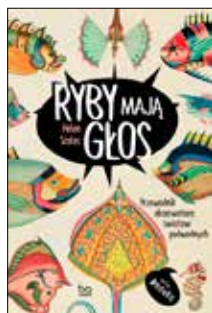
Wszystkie te czynniki składały się na podnoszenie znaczenia malarstwa pejzażowego w hierarchii sztuk, jak również wzrost zainteresowania nie tylko wśród artystów, ale także pośród kupujących. Widać to było chociażby w portretach i autoportretach, w których pejzaż nie stanowi już wyłącznie tła, często bardzo schematycznego, lecz wzbogaca treści przekazywane przez całe dzieło.

Książka napisana jest w sposób bardzo klarowny, pozwalający na zrozumienie zagadnienia nie tylko przez specjalistów. A o tym, że jest przeznaczona nie tylko dla historyków sztuki, świadczy chociażby fakt, że pośród formułowanych przez autora postulatów badawczych znajdują się także te, które dotyczą pracy antropologów kulturowych czy historii mediów. *Rewolucja plenerowa* niewątpliwie może być cennym nabytkiem dla wszystkich badaczy dziejów kultury.

Juliusz Gałkowski

Andrzej PIĘTKOS, **Rewolucja plenerowa XVIII wieku? Relacje z narodzin pejzażu nowoczesnego**, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2021.

Ludzie i ryby



Ponad 70% powierzchni ziemi pokrywa woda. Jej znaczenie dla planety jest absolutnie nie do przecenienia. Czy kiedykolwiek zastanawialiśmy się jednak, co dzieje się pod jej powierzchnią? Jakie znaczenie dla ludzi mają mieszkające w niej ryby? Jak barwny i wciągający może być ich świat?

Dla niektórych ryby to zupełnie nieinteresujący gatunek, a inni uważają je wręcz za jeden z największych sukcesów życia na ziemi. Do grona entuzjastów ryb zalicza się Helen Scales, autorka książek popularnonaukowych, w tym pozycji w całości poświęconej

wodnym istotom *Ryby mają głos*. Dr Scales na co dzień wykłada biologię morską na Uniwersytecie w Cambridge. Jako ekspert w swojej dziedzinie występuje w programach radiowych i telewizyjnych, a jej artykuły można znaleźć w takich czasopismach jak „BBC Focus” czy „BBC Wildlife”.

„Niniejsza książka to podwodna podróż przez życie ryb. To eksploatacja, czym są te zwierzęta i co robią w swoim tajemniczym świecie. Wyłuskam je z tajemniczych opowieści – a niektóre z tych baśni opowieści – oraz uwolnię od reputacji nieuczulę, niedających się poznać potworów i pokażę takimi, jakie naprawdę są, czyli najbardziej urzekającymi zwierzętami, jakie można odkryć, poznać i podziwiać w każdym zakątku świata”.

Swoją opowieść autorka zaczyna od czasów, kiedy wyobrażenie na temat tego, co jest rybą, a co nią nie jest, było zdecydowanie niekonkretne. Cofamy się więc do IV wieku p.n.e. i napisanej przez Arystotelesa *Historii animalium*, która przez tysiąclecia była jedynym sensownym opisem zwierząt żyjących w wodzie. Kolejne bowiem lata przynosiły odbiorcom jedynie zaktualizowane wersje starożytnych baśni, w których morskie stworzenia jawiły się jako potwory z głębin, a ich historie miały uczyć czytelników, jak wieść dobry żywot. Dopiero w połowie XVI w. europejscy uczeni podjęli ponownie ideę Arystotelesa. Poznaliśmy niezwykłą historię książki *De historia piscium* (z łac. „O historii ryb”), której nakład zdecydowanie przeszacowano, a obarczone długiem Towarzystwo Królewskie w Londynie zmuszone zostało wycofać wsparcie finansowe dla kolejnej książki, która miała zostać wydana w tym samym roku. I takim sposobem nie ukazałyby się *Matematyczne zasady filozofii naturalnej* Isaaca Newtona – książka, która stała się kamieniem milowym nauki.

Każdy rozdział książki poprzedzony jest mitami i folklorystycznymi podaniami ludowymi z różnych krańców świata: od starożytnego Egiptu po Mozambik. Historie te, często pełne tajemnicy, uzmysławiają nam, że od tysięcy lat ludzi i ryby łączy niezwykła, magiczna wręcz więź. Mityczne ryby mogą przynieść ludziom wiedzę i dobrobyt, mogą jednak także wywoływać powodzie, sztormy i trzęsienia ziemi.

Czytelnik znajdzie tu wiele historii i anegdot związanych z samą autorką: poznajemy początki jej fascynacji podwodnymi stworzeniami, opowieści o eskapadach nurkowych na różnych krańcach ziemi, bliższych spotkaniach z ogromnymi stworzeniami morskimi, a także historię jej telewizyjnych eksperckich wpadek. Wszystko to sprawia, że książka nabiera lekkiego charakteru. Umiejętność balansowania między wiedzą naukową a humorem zachwyca. Książka Scales jest barwna i zaskakująca jak jej bohaterowie. Kolejne rozdziały pokazują, że mimo powierzchownego piękna, podwodny świat ryb potrafi być przebiegły i brutalny. Autorka kwestionuje postrzeganie ryb jako nieskomplikowanych istot. Zachęca czytelników, żeby zbliżyli się do tego świata i lepiej go poznali. Przypominając, że przy trzydziestu tysiącach gatunków oraz bilionach osobników materiału do zachwyty wystarczy każdemu.

Katarzyna Krzyżanowska

Helen SCALES, **Ryby mają głos. Przewodnik obserwatora światów podwodnych**, tłum. Magdalena Rabsztyn-Anioł, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022.



Fot. Stefan Cielchan

Rosja obezwładnia swą wielkością, choćby tylko w rozumieniu przestrzennym: to najrozleglejsze na planecie państwo, nieustannie mające apetyt na wchłanianie w swój obszar kolejnych terytoriów. Znamy to porzekadło: „Kurica nie ptica, Polska nie zagranica”. Ale to drobiazg. W prześmiewczej, choć mającej swe poważne podłoże piosence, pojawia się szersza perspektywa: „Nad Kitajem niebo sinije/ eto jeszcze nie Rosija,/ choť pohoża na Rosiju,/ eto wsio że nie ona”. Podobnie z Kanadą: „Nad Kanadoj niebo sinije/ eto jeszcze nie Rosija...”. Przejmując po Bizancjum „rzymskie” ambicje i rysując wizję Moskwy jako Trzeciego Rzymu, władcy ówczesnego imperium planowali zajęcie Konstantynopola – z okazji chrztu wnuka Katarzyny Wielkiej nie przypadkiem wybity został medal z podobizną ozdobioną krzyżem prawosławnym Hagia Sofii; osadzenie władcy rosyjskiego na tronie w Stambule miało być zwieńczeniem podporządkowania Rosji Bałkanów. Z kolei Syberię na dobre opanowała Rosja dopiero w XVIII stuleciu. Wtedy też, ostatecznie w roku 1784, opanowała Alaskę, którą odprzedała USA niecałe sto lat później za niewiele ponad 7 milionów dolarów, co zapewne współcześnie traktowane byłoby jako budzący grozę wybryk polityczny.

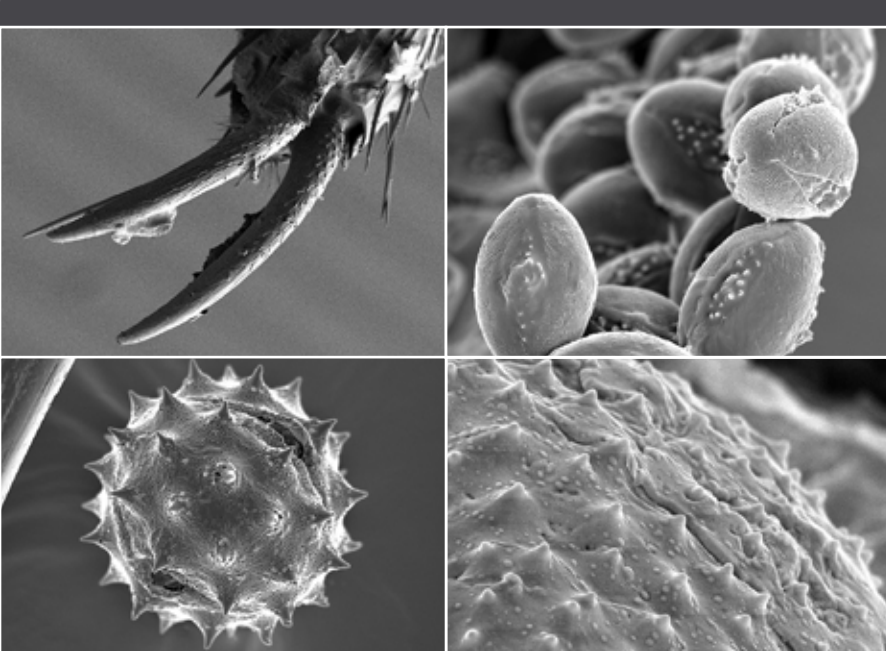
Próba ogarnięcia Europy po I wojnie światowej (powstania w Niemczech, utworzenie przyczółka na Węgrzech itp.) skończyła się niepowodzeniem spowodowanym zatrzymaniem marszu Armii Czerwonej przez Polskę w roku 1920. Ostatecznie po II wojnie światowej obszar panowania Rosji obejmował niemal wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej – wydostała się z tej pułapki Jugosławia oraz, po przegranej przez komunistów wojnie domowej, Grecja. Próby instalowania prokremłowskich władz w Afryce, Azji oraz Ameryce Południowej nie można nazwać sukcesem. Zaś w efekcie przemian po roku 1989 i rozwiązania Związku Sowieckiego odpadły z korpusu kraje bałtyckie, Ukraina i (przynajmniej formalnie) Białoruś oraz kraje azjatyckie, zaś Moskwa musiała stoczyć krwawe wojny o utrzymanie władztwa na Kaukazie. Związek Sowiecki przemianowany został na Federację Rosyjską, co, przynajmniej teoretycznie, pozwala myśleć o suwerenności poszczególnych krajów wchodzących w jej skład. Można – skrótowo rzecz ujmując – uznać, że kolosalne imperium zaczęło się kruszyć, ale o rozpadzie całego spadku po imperium carskim mówić wciąż nie sposób, choć cała niemal strefa, określana przez rosyjskich polityków mianem „bliskiej zagranicy”, w zasadzie wymknęła się spod kontroli Kremla. O przegranej Rosji w zimnej wojnie przesądziło przede wszystkim jej ekonomiczne, a tym samym technologiczne zacofanie.

Niemniej w 2007 roku okręty rosyjskie zainstalowały flagę Rosji na dnie Arktyki, pod biegunem północnym. Rosja rozbudowuje też jednostki wojskowe przeznaczone do walk w warunkach arktycznych. Pod władzą Putina trwa szarpanina zmierzająca do restauracji imperium (Gruzja, Mołdawia), co bez podporządkowania sobie Ukrainy wydaje się nieosiągalne, a co też sprawia, że Moskwa musi traktować suwerenność tego kraju jako *casus belli*. Rozpoczęta przez zajęcie Krymu w 2014 roku wojna „hybrydowa” jest obecnie wojną z udziałem regularnych formacji wojskowych, co sprawiło, że przestała już być marginalnym zjawiskiem lokalnym, lecz stała się, z powodu skutecznego oporu Ukrainy, sprawą globalną, angażującą w mniejszym lub większym stopniu całość społeczności międzynarodowej.

Tym samym i Ukraina zyskała – co najmniej na arenie europejskiej – status gracza o poważnym potencjale politycznym, wspartym zasobami surowcowymi, wydajnym rolnictwem i sprawną armią, co w oczywisty sposób jest sprzeczne z zamiarem Putina zlikwidowania ukraińskiej państwowości, tym bardziej że w swych wyborach opowiadała się za związkiem z Zachodem. Efektem wojny jest też scementowanie społeczeństwa ukraińskiego, w którym dotąd silne były, choć nie dominujące, postawy prorosyjskie. Nie bez znaczenia wydaje się też fakt, że obnażenie słabości militarnej Rosji otwiera atrakcyjną alternatywę dla krajów, które zrezygnowały ze swej niepodległości, wiążąc się z rosyjską federacją, a to oznaczałoby powstanie tendencji odśrodkowych, na skutek których Rosja mogłaby ulec dalszemu rozpadowi, by skurczyć się do rozmiarów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego i ostatecznie zostać zmuszona do rezygnacji z ambicji mocarstwowych.

Decyzja Putina o próbie rewitalizacji imperium może zatem doprowadzić w perspektywie najbliższych dziesięcioleci do kłęski Rosji, która, w odróżnieniu od potęg zachodnich, przede wszystkim Anglii i Francji, nie przyswoiła lekcji nakazującej w imię ocalenia mocarstwowości rezygnację z imperium. A jednocześnie, gdyby ów proces miał postępować, na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej pojawi się w drugiej połowie XXI stulecia nowy gracz, którego potencjał pozwala przewidywać, że miałby – zarówno w regionie, jak w Unii Europejskiej – głos równie znaczący jak dotychczasowe mocarstwa zachodnioeuropejskie, a nie pozostawać peryferyjnym obszarem wspólnoty międzynarodowej.

To, oczywiście, jedynie możliwość, ale niepozbawiona silnych podstaw.



PIĘKNO NAUKI PIĘKNO NATURY

Fotografie: **Agata Pacek-Bieniek**, Instytut Agrofizyki PAN w Lublinie;
Maciej Trzaskowski, Mikroskop: Hitachi SU8230 FE SEM,
Centrum Zaawansowanych Materiałów i Technologii CEZAMAT, Politechnika Warszawska;
Wojciech Zgłobicki, Wydział Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej
Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.





SZANOWNI TWÓRCY DZIEŁ NAUKOWYCH I TECHNICZNYCH!

Stowarzyszenie KOPIPOL uprzejmie informuje, że przystąpiło do repartycji środków zainkasowanych w **2021 roku** tytułem opłat o których mowa w art. 20 oraz 20¹ ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, tj. od producentów i importerów urządzeń reprograficznych (kserokopiarek, skanerów, drukarek, itp.) oraz tzw. punktów ksero. **Środki te stanowią formę rekompensaty strat ponoszonych przez twórców na skutek kopiowania ich prac za pomocą urządzeń reprograficznych w ramach dozwolonego użytku osobistego.** Jednocześnie informujemy, że Stowarzyszenie KOPIPOL kontynuuje repartycję środków zainkasowanych za lata 2011-2020.

Wszystkich uprawnionych Twórców uprzejmie prosimy o zgłaszanie się do Stowarzyszenia w celu podjęcia należnych środków.

Każdy Autor może sprawdzić swoje uprawnienie do otrzymania należnych wynagrodzeń oraz wygenerować niezbędne dokumenty korzystając z wyszukiwarki uprawnionych autorów znajdującej się pod adresem wyszukiwarka.kopipol.org.pl.

Wyjaśniamy przy tym, że uprawnionymi do otrzymania wynagrodzenia z systemu repartycji indywidualnej są ci autorzy, którzy publikowali swoje utwory naukowe i techniczne w wydawnictwach, których udział, oszacowany na podstawie badań statystycznych przeprowadzonych przez CEM Instytut Badań Rynku i Opinii Publicznej Sp. z o. o. w Krakowie, wyniósł w danym roku podziałowym co najmniej 1% ogółu publikacji wszystkich wydawców.

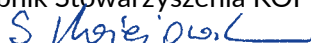
W podziale środków zainkasowanych w 2021 roku biorą udział autorzy publikujący w następujących wydawnictwach: *Wolters Kluwer, Wydawnictwo C.H. Beck, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Helion oraz PWN Wydawnictwo Szkolne.*

Wykaz wydawnictw objętych systemem repartycji indywidualnej w latach 2011-2021 dostępny jest na stronie internetowej Stowarzyszenia w zakładce *Strefa Autora*.

Serdecznie prosimy wszystkich uprawnionych Twórców do zapoznania się z zasadami repartycji indywidualnej oraz szczegółowymi informacjami na temat działalności Stowarzyszenia dostępnymi na stronie internetowej www.kopipol.org.pl.

Informacje o systemie repartycji indywidualnej udzielane są również telefonicznie pod numerem: (41) 341 54 39 lub drogą e-mailową pod adresem repartycja@kopipol.org.pl.

Czekamy na Państwa dokumenty.

Skarbnik Stowarzyszenia KOPIPOL

dr hab. Sylwia Hożejowska, prof. PŚk